

# Władza Słowa



# Władza Słowa

ZBIORY OŚRODKA KARTA

Gdańsk

1989

podpunkt nr 6

## Spis treści

### Seria pierwsza: Wykładnie

Umberto Eco: Język, władza, siła / przekład M. D.-B. / .....	3
Stanisław Rosiek: Referat .....	13
Ch.M.: Under western eyes .....	26
Tom Stoppard: Kwadratura koła. Część pierwsza / przekład Ch.M. / ..	28

### Seria druga: Skandujemy

Społeczeństwo nówi ulicą .....	41
Co powiedziano 1 maja 1982 roku w Gdąnsku? .....	48
Liturgia i eksces .....	54
Mechanizm zbiorowej ekspresji .....	61
Janusz Górski: Co czyta kraj .....	69
Maszynopis autorski:	
Stanisław Rosiek: Ze środka .....	70

### Seria trzecia: Szałamow. Rossi. Bienek

Adam Ciszek: Głos z odchłani .....	76
Warłan Szałamow: Sherry brandy. Apostoł Paweł / przekład ABC / .....	79
Alain Besançon: Człowiek z 'ostatniego kręgu' / przekład zet. / ...	86
Zet: Przewodnik po Gulużu .....	87
A.M.: Uniwersytety Horsta Bienka .....	90
Horst Bienek: Zapisywanie pewnej prowincji. Fragmenty / przekład Bolesław Fac / .....	90

### Pozaseria: Poza zbiorowością

Jan Picro: Rajzerka .....	96
Tadeusz Żukowski: Zapiski .....	101

# Seria pierwsza

## Wykładnie

Umberto Eco

Język, władza, siła

17 stycznia 1977 r., wobec licznej publiczności zbierającej się z okazji wielkich imprez towarzyskich i kulturalnych, Roland Barthes wygłosił swój wykład inauguracyjny w Collège de France, gdzie został świeżo mianowany kierownikiem katedry semiologii literackiej. Wykład ten, o którym pisano w ówczesnej prasie ("Le Monde" poświęcił mu całą kolumnę), wydany obecnie przez Editions du Seuil pod pokornym i zarazem bardzo dumnym tytułem "Wykład" <sup>1</sup>, liczy niewiele ponad czterdzieści stron i składa się z trzech części: pierwsza ma za temat mowę (le langage), druga - funkcję literatury w odniesieniu do władzy mowy, a trzecia semiologię, w szczególności semiologię literacką.

Powiedzmy od razu, że część trzecią (która, ze względu na swą związek, wymagałaby obszernej dyskusji metodologicznej) pozostawimy na boku, a część drugą omówimy tylko powierzchownie. Pierwsza część stawia, naszym zdaniem, rozleglejsze zagadnienie, wykraczające poza literaturę oraz techniki badań literackich, i dotyka problemu władzy. Problemu, który pojawia się również w innych książkach, analizowanych przekrojowo w niniejszym artykule.

Z punktu widzenia retoryki wykład inauguracyjny Barthesa jest zbudowany wspaniale; zaczyna się od pochwały godności, która ma być przyznana mówcy. Jak zapewne Czytelnikowi wiadomo, profesorowie Collège de France ograniczają się do mówienia: nie prowadzą egzaminów, nie mają władzy zaliczania lub oblewania, ludzie przychodzą ich słuchać z miłości do tego, o czym mówią. Stąd satysfakcja Barthesa: oto wkraczam na miejsce, które znajduje się poza zasięgiem władzy. Oczywiście, to hipokryzja, nie bowiem nie daje we Francji większej władzy w sferze kultury niż nauczanie w Collège de France, produkujące wiedzę. Ale wybiegamy tu zbyt naprzód. W omawianym wykładzie (którego przedmiotem jest, jak zobaczymy, gra za pomocą mowy) Barthes

\* Umberto Eco, *La langue, le pouvoir, la force* (pierwotnie "Alfabeto", 1979), przekład według Umberto Eco, *La guerre du faux*, tłum. z wł. na fr. Myriam Tanant, Paris, Ed. Grasset et Fasquelle, 1985, s. 333-352.

prowadzi grę, choć czyni to naiwnie: wysuwa bawną definicję władzy, uprzednio dopuściwszy inną definicję.

Z pewnością Barthes jest zbyt subtelny na to, by zignorować Foucaulta, przeciwnie, dziękuje temu ostatniemu za patronowanie mu w Collège de France: a zatem wie, że władza nie jest "jedna", że wślizguje się wszędzie tam, gdzie nie dostrzega się jej od pierwszego spojrzenia i że jest "mnoga", jak demony, że imię jej jest legion. Władza jest obecna w najsubtelniejszych mechanizmach wymiany społecznej: nie tylko w państwie, w klasach i grupach społecznych, ale i w modach, w obiegowych opiniach, w widowiskach, zabawach, sporcie, w informacjach, w układach rodzinnych i prywatnych, a nawet w wyzwolonych zrywach, usiłujących tę władzę podważyć. "Nazywam dyskursem władzy wszelki dyskurs rodzący niedostatek, a zatem poczucie winy u tego, który go odbiera" <sup>2</sup>. Zróbcie rewolucję, by zniweczyć władzę, a ona znów ożyje w ramach nowego stanu rzeczy. "...władza jest pasażem organizmu transspołecznego, przynależnym całej historii człowieka, a nie tylko jego historii politycznej czy historycznej. A oto i on, przedmiot, w który wpisuje się władza całej ludzkiej wieczności - mowa (le langage), a mówiąc bardziej precyzyjnie, jej konieczna reprezentacja: system językowy (la langue)".

Władze ustanawia nie zdolność artykułowania słów, lecz zdolność mówienia, w miarę jej usztywniania się w pewnym porządku, w pewnym systemie przepisów - czyli język. Język, powiada Barthes (w wywodzie powtarzającym obszernie, nie wiem jednak, do jakiego stopnia świadomie, poglądy Benjamina Lee Whorfa), każe mi "umieścić się w pierw w podmiocie, zanim wypowiem czynność". Od tej chwili wszystko co czynię będzie konsekwencją tego, czym jestem; język zmusza mnie do wyboru między rodzajem męskim i żeńskim, zabrania wyrazić rodzaj nijaki; narzuca mi charakter stosunku wobec drugiego człowieka przez formę "vous" albo "tu". Nie mam prawa wstrzymać się od sprecyzowania mego stosunku uczuciowego lub społecznego. Barthes mówi oczywiście o języku francuskim; angielski przywróciłby mu co najmniej dwie wymienione wolności, ale za to (mógłby słusznie powiedzieć) odebrałby mu inne. Wniosek: "... w samej strukturze system językowy zawiera fatalną relację wyobcowania". Mówić, to znaczy uzależnić się: język jest reakcją uogólnioną. Więcej jeszcze: "... nie jest ani reakcyjny, ani postępowy: jest zwyczajnie faszystowski, albowiem faszyzm bynajmniej nie zabrania mówić, on zmusza do mówienia".

-Od stycznia 1977 roku stwierdzenie to wywołało najliczniejsze reakcje polemiczne. Z niego wynikają wszystkie następne stwierdzenia: nie zdziwimy się zatem słysząc, że język jest władzą, ponieważ zmusza nas do używania wcześniej uformowanych stereotypów, w tym nawet słów, i że posiada tak fatalną strukturę, iż - będąc niewolnikami wewnątrz niego - nie potrafimy się wyzwolić na zewnątrz, gdyż w stosunku to języka nic nie jest zewnętrzne.

Jak wyjść z tego, co Barthes, powołując się na Sartre'a, nazywa "drzwiami bez klamki"? Otóż, oszukując. Można oszukiwać za pomocą języka. Ta gra nieuczciwa, zbawcza i wyzwalająca, nazywa się literaturą.

Stąd zarys teorii literatury jako pisania, gry słów i gry za pomocą słów. Kategoria ta obejmuje nie tylko praktyki zwane literackimi, jej funkcjonowanie można odkryć nawet w tekście przedstawiciela nauk ścisłych lub historyka. Dla Barthesa jednak modelem tego wyzwalającego działania jest w końcu zawsze model działania zwanego "twórczym" lub "kreatywnym". Literatura stawia mowę na scenie, wypełnia jej szczeliny; literatury nie ocenia się na podstawie gotowych wypowiedzi, lecz na podstawie samej gry wypowiedzania się podmiotu, który odkrywa smak słów. Literatura wie dobrze, że może zostać z powrotem zawłaszczona przez siłę języka, ale właśnie dlatego gotowa jest wyrzec się sama siebie, mówi i wypiera się tego, co powiedziała,

obstaje przy swoim i przemieszcza się gładko; nie niszczy znaków, każe im grać i igra z nimi. Stwierdzenie, czy literatura jest rzeczywistością wyzwoleniem spod władzy języka, zależy od istoty tej władzy. Wydaje się, że Barthes traktuje ten temat w sposób wymijający. Z drugiej strony, cytuje on Foucaulta nie tylko bezpośrednio i jako przyjaciela, lecz nawet pośrednio, parafrazując go, gdy w krótkim ustępie mówi o "mnogości" władzy. Wypracowane przez Foucaulta pojęcie władzy jest, być może, najbardziej przekonujące spośród będących dziś w obiegu, a z pewnością najbardziej prowokujące. Odnajdujemy je w całym jego dziele, budowane cegiełką po cegiełce.

Pod wpływem dokonującego się, w jednym studium po drugim, różnicowania stosunków między władzą i wiedzą, między praktyką dyskursywną i praktyką niedyskursywną, jasno zarysowuje się u Foucaulta pojęcie władzy, które posiada co najmniej dwie cechy interesujące nas w tym kontekście. Po pierwsze, władza nie jest jedynie powstrzymywaniem i zakazem, jest także pobudzaniem do dyskursu i wytwarzaniem wiedzy; po drugie, na co wskazuje również Barthes, władza nie jest jedna, nie jest jednolita, nie jest procesem jednokierunkowym, odbywającym się pomiędzy określoną osobą rządzącą a osobami jej podległymi.

"W sumie należy uznać, że władzę raczej się sprawuje, niż się ją posiada, że nie jest ona nabytym lub odziedziczonym przywilejem klasy panującej lub efektem całokształtu jej strategicznych pozycji - efektem, który objawia, a niekiedy odnawia wpływ osób podlegających władaniu. Z drugiej strony, władzy tej nie stosuje się wyłącznie i po prostu jako zobowiązania lub zakazu wobec tych, którzy "jej nie mają; ona ich osacza, przechodzi przez nich, przenika; opiera się na nich, tak samo jak oni ze swej strony, walcząc przeciwko niej, opierają się na chwytach stosowanych przez władzę wobec nich". ("Nadzorować i karać")<sup>3</sup>. I jeszcze: "Przez władzę nie rozumiem również takiego sposobu podporządkowania sobie, który, w przeciwieństwie do przemocy, miałby formę reguły postępowania. Wreszcie, nie rozumiem przez władzę ogólnego systemu dominacji jednego elementu czy jednej grupy nad inną, przy czym skutki tego systemu, w drodze kolejnych pochodnych, przenikałyby cały organizm społeczny. Analiza kategorii władzy nie powinna postulować, jako danych wyjściowych, najwyższej władzy państwa, ustroju prawnego ani globalnej jedności władania; są to raczej formy końcowe. Wydaje mi się, że przez władzę należy rozumieć przede wszystkim mnogość stosunków sił, które to stosunki są właściwe dla dziedziny swego funkcjonowania i stanowią o organizacji sił; należy rozumieć grę, która w drodze nieustających walk i konfrontacji przemienia te stosunki, umacnia je, odwraca. Następnie - punkty oparcia, jakie te stosunki znajdują w drugim, tworząc w ten sposób łańcuch lub układ, albo przeciwnie: przemieszczenia, sprzeczności, które izolują je od siebie. Wreszcie - strategie, w ramach których działają stosunki sił i których ogólny wzór lub krystalizacja instytucjonalna znajduje swe wcielenie w aparatach państwowych, w kształtowaniu się prawa, w hegemoniach społecznych".

Władzy nie należy szukać w jakimś jednym centrum wszechwładania, lecz jako ruchomego cokołu stosunków sił, które, z powodu swej nierówności, bezustannie wytwarzają stany władzy, zawsze jednak lokalne i niestabilne (...). Władza jest wszędzie, co nie znaczy, że obejmuje wszystko, tylko że pochodzi zewsząd (...) Władza pochodzi z dołu (...), nie ma w zasadzie stosunków władzy, a ogólnego jej wzorca nie stanowi dwoista i całkowita przeciwstawność między rządzącymi i rządzonymi (...). Należy raczej przypuszczać, że stosunki wielorakich sił, formujących się i działających w aparatach produkcji, w rodzinach, w ograniczonych grupach i instytucjach, stanowią oparcie dla efektów rozszczepiających, które obejmują swym zasięgiem całość organizmu społecznego". ("Wola wiedzy").

Ctóż ten obraz władzy bardzo przypomina koncepcję systemu, nazywanego przez lingwistów językiem. Język ma wprawdzie właściwości przymuszające (zabrania mi powiedzieć, pod karą niezrozumiałości: "Ja chcielibyśmy w jaki sposób"), ale jego charakter przymuszający nie zależy od jednostkowej decyzji, ani od jakiegokolwiek centrum, z którego promieniowałyby reguły: jest on wytworem społecznym, rodzi się jako aparat przymusu właśnie z powodu powszechnego consensusu, wszyscy pomijają milczeniem przestrzeganie zasad gramatyki, ale zgadzają się na nie i wymagają, aby inni ich przestrzegali, ponieważ znajdują w tym korzyść dla siebie.

Nie wier, czy można powiedzieć, że język jest mechanizmem władzy (nawet jeśli, właśnie wskutek swego systemowego charakteru, jest istotnym czynnikiem powstawania wiedzy), ale z pewnością jest on wzorcem władzy. Można by powiedzieć, że będąc aparatem semiotycznym par excellence albo (jak powiadają semiologowie rosyjscy) podstawowym systemem modelującym, język stanowi wzorec dla innych systemów semiotycznych, które ustalają się w różnorodnych kulturach jako mechanizmy władzy i wiedzy (wzórne systemy modelujące).

W tym sensie zatem Barthes ma słuszną określenie język jako coś związanego z władzą, natomiast nie ma słusności, gdy wyciąga z tego dwa wnioski: że wobec tego język jest faszystowski i że jest to "przedmiot, w który wpisuje się władza", czyli jej zagrażająca epifania.

Rozprawmy się od razu z pierwszym, bardzo oczywistym błędem: jeżeli władza jest taka, jak ją definiuje Foucault, i jeżeli cechy charakterystyczne władzy można odnaleźć w języku, to twierdzenie, że język jest z tego powodu faszystowski należy uznać za coś więcej niż żartobliwy wybrzyk: jest to w istocie zaproszenie do ogólnego zamętu. Bo w takim razie faszyzm - obecny wszędzie, w każdej sytuacji władania i w każdym języku od zawsze - nie byłby już nigdzie obecny. Jeżeli stawia się kondycję ludzką pod znakiem faszyzmu, to faszystami są wszyscy i nikt nie jest faszystą. Ukazuje nam to niebezpieczeństwo argumentów demagogicznych, używanych w obfitości na poziomie codziennej prasy, bez wyrafinowania Barthesa, który przynajmniej wie, że posługuje się paradoksami i używa ich dla celów retorycznych.

Drugi błąd wydaje się subtelniejszy: język nie jest tym, w co wpisuje się władza. Szczerze mówiąc, nigdy nie rozumiałem tej francuskiej, czy też udającej francuskość manii wpisywania wszystkiego i widzenia wszystkiego jako wpisane w coś: jednym słowem, nie wiem dokładnie, co ma znaczyć zwrot "wpisywać się". Zdaje się, że ten czasownik należy do wyrażen rozwiązujących autorytatywnie problemy, których nie potrafimy określić w inny sposób. Nawet gdybyśmy dopuścili to wyrażenie, powiedziałbym, że język jest mechanizmem, za pomocą którego władza jest wpisana tam, gdzie się ustala. Chciałbym wytłumaczyć moją myśl jaśniej i dlatego powołałem się na niedawną pracę Georges'a Duby 4, poświęconą teorii trzech stanów.

Duby bierze za punkt wyjścia Stany Generalne, u zarania Rewolucji Francuskiej: duchowieństwo, szlachtę i stan trzeci. Zadaje sobie pytanie, skąd wzięła się teoria (i ideologia) trzech stanów. Odnajduje ją w bardzo dawnych tekstach kościelnych z epoki karolingów, w których to tekstach mowa jest o ludzie Bożym, jako dzielącym się na trzy stany albo grupy, albo poziomy: na tych, którzy się modlą, którzy walczą i którzy pracują. W średniowieczu istniała jeszcze inna obiegowa metafora, mianowicie metafora trzody lub stada: many więc pasterzy, mamy psy pasterskie i owce. Innymi słowy, interpretując ten trójpodział tradycyjnie, mamy duchowieństwo, sprawujące duchowe kierownictwo nad społecznością, mamy wojujników, którzy ją chronią i lud, który żywi jednych i drugich. Jest to dosyć proste i wystarczy przypomnieć spór o inwestyturę oraz konflikt między pa-

piestwem i cesarstwem (uczyliśmy się tego w szkole), aby zrozumieć, o czym jest tu mowa.

Duby jednak wykracza poza banalną interpretację. Na przeszło czterystu stronach swego dzieła, odznaczającego się wyjątkowym zagęszczeniem treści, dokonuje on przeglądu przemian tej idei, poczynając od epoki karolingów aż do końca XII wieku (i tylko w odniesieniu do Francji), wykazując, że ten model organizacji społeczeństwa nie jest nigdy zupełnie jednaki. Często zjawia się on powtórnie, ale w odmiennym układzie składników; niekiedy, zamiast formy trójkatnej, przyjmuje kształt czworokąta. Raz mówi się o milites, innym razem o pugnatores, to znów o rycerzach; raz o klerze, kiedy indziej o mniach; raz o rolnikach, to znów po prostu o pracownikach albo kupcach.

Trzeba powiedzieć, że w ciągu trzech stuleci zachodzą w społeczności europejskiej liczne przemiany i występują różnorodne układy przymierzy, mających za cel wyzyskiwanie ludu: przymierze między duchowieństwem diecezjalnym i feudalnymi seniorami; między tymże duchowieństwem a monarchiami narodowymi; między monarchiami narodowymi a wielkimi zakonami... Można by tak wyliczać w nieskończoność; książka Duby ego sprawia wrażenie studium na temat stosunków politycznych między chrześcijańską demokracją, Stanami Zjednoczonymi, partią komunistyczną i patronatem w współczesnych Włoszech - stosunków widzianych tak, jak mógłby je widzieć czytelnik w roku 3000. Ukazuje nam to natychmiast, że sprawy nie zawsze są takie proste, jak mogłoby się wydawać, że takie poświęcone zwroty, jak otwarcie się na lewicę albo rozwój gospodarczy, przybierają rozmaite znaczenia, nie tylko gdy przechodzimy od Andreottiego do Craxiego, ale nawet w ramach jednego kongresu chrześcijańskiej demokracji i w okresie czasu pomiędzy dwiema konsultacjami wyborczymi. Owe średniowieczne polemiki, które wydawały się nam takie proste ze swoim dobrze określonym podziałem ról, są, przeciwnie, bardzo subtelne. W końcu uprawdliwiła to niemal fakt, że książka Duby ego jest jednocześnie taka zagęszczona, fascynująca i nudna, taka trudna do rozjaśnienia, bo pozbawiona bezpośrednio zrozumiałych streszczeń. Książka ta stawia nam mianowicie w obliczu wciąż wzbierającego strumienia śliskich manewrów. Kiedy mnich z Cluny mówi o podziałach między duchowymi, rycerzami i chłopami, a zdaje się równocześnie manewrować widmem podziału społeczeństwa na cztery części, dodając do owej trójstej osi, dotyczącej życia doczesnego, ós dwoistą, która dotyczy życia nadprzyrodzonego i w której trzy wymienione poprzednio stany przeciwstawione są mniom, pośrednikom wieczności - to gra odnawia się bardzo nieznacznie; mamy tu aluzję do władzy, jaką zakony chcą sprawować nad trzema innymi stanami, przy czym duchowieństwo diecezjalne miałoby spełniać w ustalaniu wzajemnych relacji wyłącznie funkcje pomocnicze, bezpośrednio zaś byłyby one ustalane między klasztorami a strukturą feudalną.

Zdarza się, że każda z tych formuł, tak podobnych do siebie, a przecież tak różnych, rozpina się na sieci stosunków sił: rycerze pustoszą wieś, lud szuka jakiegoś oparcia i próbuje bronić płodów ziemi. Ale spośród ludu wyłaniają się ci, którzy posiadają jakieś pieniądze i usiłują odwrócić sytuację na swoją korzyść, itd.

Te stosunki sił miałyby charakter czysto przypadkowy, gdyby nie regulowała ich struktura władzy, skłaniając wszystkich do zgody i uznania swojego miejsca w danym układzie. Dla osiągnięcia tego celu interweniuje retoryka, to znaczy mowa w funkcji normy i wzorca, która - za pomocą minimalnych przesunięć akcentów - legalizuje pewne stosunki sił, inne zaś uznaje za przestępcze. Ideologia obleka się w formę: władza, która się z niej rodzi, staje się prawdziwą siecią consensusów wychodzących od dołu, ponieważ stosunki sił zostały przestoczone w stosunki symboliczne.

W tym punkcie mojej lektury tak bardzo różnych tekstów zarysowuje się przeciwstawność między władzą a siłą, przeciwstawność, która



zdają się całkowicie zacierać dyskursy na temat władzy, przebywając obecnie codzienną drogę od szkody do fabryki i do getta. Wiemy, że poczynając od roku 1968 do dzisiaj poziom krytyki i sporów z władzą bardzo się obniżył, właśnie dlatego, że nabrały one charakteru masowego; proces ten jest nieunikniony i nie ja powiem (udając reakcjonistę), że z chwilą gdy jakieś pojęcie staje się dostępne dla wszystkich, wystrzegają się ono i wobec tego powinno pozostawać dostępne tylko dla niektórych. Przeciwnie: właśnie dlatego, że powinno być udostępnione wszystkim i wystawione w ten sposób na ryzyko wystrzeżenia się, krytyka tych zwyrodnień staje się sprawą ważną.

Tak więc, w masowych dyskursach politycznych na temat władzy były dwie fazy dwuznaczne: pierwsza, naiwna, w której władza miała posiadać swoje centrum (system, który, na podobieństwo złego pana z wąsami, manipulował przy czarnoksiężskim pulpicie dyspozytorskim na zgubę klasy robotniczej). Ta idea była wystarczająco krytykowana i oto pojęcie władzy wypracowane przez Foucaulta zjawia się, aby wyказаć jej antropomorficzną naiwność. Ślady dokonującej się rewizji tego pojęcia można odnaleźć nawet w wewnętrznych sprzecznościach rozmaitych grup terrorystycznych: w sprzecznościach między tymi, którzy chcą uderzyć w samo "państwo, a tymi, którzy - odwrotnie - niszczą poszczególne ogniwa władzy na jej peryferiach, w punktach, które nazwę "foucaultowskimi", gdzie działają dozorczy więzienni, drobny kupiec, majster. Druga faza jest dwuznaczna w większym stopniu, ponieważ nazbyt łatwo miesza z sobą siłę i władzę. Mówię tu o "sile" zamiast o "przyczynowości", chociaż ta ostatnia nasuwałaby mi się spontanicznie, a to z powodów, które poznamy nieco później. Na razie znacznie od dosyć naiwnego pojęcia przyczynowości.

Pewne rzeczy bywają przyczyną innych: piorun spala drzewo, członek mężczyzny zapładnia macicę kobiety. Relacje te nie są zwrotne, drzewo nie spala piorunu, kobieta nie zapładnia mężczyzny. Istnieją natomiast relacje, w ramach których ktoś każe komuś innemu czynić pewne rzeczy na mocy stosunku symbolicznego: mężczyzna ustanawia, że to kobieta ma zmywać naczynia w domu, Inkwizycja ustala, że heretyk będzie spalony na stosie i przywłaszcza sobie prawo określania, co jest herezją. Relacje te opierają się na strategii mowy, która, po stwierdzeniu kruchości stosunków sił, zinstytucjonalizowała je w sposób symboliczny, uzyskując consensus rządzących. Relacje symboliczne mają charakter zwrotny, czyli przechodni. W zasadzie, wystarczy, żeby kobieta powiedziała mężczyźnie "nie", a naczynia będzie zmywał on; wystarczy, żeby heretycy nie uznali autorytetu inkwizytora, a spalony zostanie on sam. Sprawy te, rzecz jasna, nie są takie proste, właśnie dlatego, że dyskurs ustanawiający symbolicznie władzę musi się liczyć nie z prostymi racjami przyczynowości, lecz ze skomplikowanymi interakcjami sił. Wydaje mi się jednak, że tu tkwi różnica pomiędzy władzą jako faktem symbolicznym a czystą przyczynowością: pierwsza ma charakter zwrotny, dla przejścia władzy robi się rewolucję; druga działa tylko w jednym kierunku, pozwala na reformy (np. wynajdując piorunochron, kobieta decyduje się stosować środki antykoncepcyjne, nie mieć stosunków płciowych albo mieć tylko stosunki jednopłciowe, lesbijskie).

Niezdolność rozróżnienia między władzą a przyczynowością prowadzi często do infantylnych zachowań politycznych. Powiedzieliśmy, że sprawy te nie są proste. Pojęcie przyczynowości (jednokierunkowe) zastępujemy pojęciem władzy. Siła oddziałuje na inną siłę: układają się one w równoległobok sił. Nie znoszą się wzajemnie, jeżeli są posłuszne pewnemu prawu. Gra sił działa reformistycznie: wytwarza kompromisy. Ale ta gra nigdy nie toczy się między dwiema tylko siłami, lecz między siłami niezliczonymi, a równoległobok wytwarza dużo bardziej złożone figury wielowymiarowe. Aby wiedzieć, które siły

należy przeciwstawić którym innym siłom, wkraczają decyzje zależne nie od gry sił, lecz od gry władzy. W ten sposób powstaje wiedza o strukturze sił.

Wracając do Duby'ego, kiedy istnieją rycerze, kiedy kupcy wchodzą do gry ze swymi bogactwami, kiedy pchani głodem chłopci emigrują do miast, mamy do czynienia z siłami: strategia symboliczna, formułowanie przekonywających teorii trzech lub czterech stanów, a zatem zarys stosunków władzy wkracza do gry, aby określić, które siły mają działać hamująco na inne siły i w jakim kierunku będą musiały rozwijać się wynikające stąd równoległoboki. Jednak w książce Duby'ego, wobec dominującego wywodu o ciągłej reorganizacji figur symbolicznych, gra sił może zniknąć z pola widzenia czytelnika, przynajmniej rozstrągniętego.

Sięgnijmy teraz po ostatnią książkę z naszego stosu, mianowicie po pracę Howarda o historii broni w ewolucji dziejów Europy. Powiemy o niej bardzo krótko, zachęcając Czytelnika, aby sam sprawił sobie przyjemność zapoznając się z tą fascynującą książką, która zaczyna od wojen epoki feudalnej, aby dojść do ery atomowej, książką obfitującą w anegdoty i zaskakujące odkrycia. W 1346 roku, pod Crécy, Edward III wystawia przeciw nieprzyjacielskiej jeździe swoich łuczników, uzbrojonych w długie łuki. Ponieważ wyrzucają one pięć lub sześć strzał w czasie, jakiego potrzebowano, aby wystrzelić z kuszy tylko jedną strzałę, oddziałują na konne rycerstwo z inną siłą. Zadzają mu klęskę. Rycerstwo zostaje więc zmuszone do użycia cięższych zbroi, wskutek czego traci swą zwrotność, a spieszono - nie jest już zdadne do niczego. Siła zbrojnego rycerza zostaje sprrowadzona do zera

Chodzi tu o stosunki sił. Reakcja polega na usiłowaniu okiełznania nowej siły. Reformuje się cała struktura wojska. Poprzez tego rodzaju restrukturyzującą historią Europy posuwa się naprzód, siły zbrojne podlegają zmianom. Przypomnijmy w związku z tym skargi rycerzy u Ariosta na ślepe okrucieństwo rusznicy. Ale oto nowe stosunki sił, mieszając się z sobą i organizując, tworzą nową ideologię sił zbrojnych i wytwarzają nowe układy symboliczne. Wywód Howarda w tej materii wydaje się odwrótny w stosunku do książki Duby'ego: od siły prowadzi do nowych struktur władzy drogami pośrednimi, podczas gdy Duby wychodził od formułowania wyobrażeń władzy, by dojść do stosunków sił dawnych i nowych, które leżały u ich podłoża.

Jeśli nie zastanowimy się głębiej nad tą przeciwstawnością, to popadniemy w formy politycznego infantylizmu. Nie oświadcza się jakiejś siły: "Nie, nie będę ci posłuszny"; wypracowuje się mechanizmy hamujące. Ale wobec stosunku władzy nie reaguje się czystym i prostym aktem siły: władza jest znacznie bardziej subtelna, posługuje się znacznie bardziej "wkoskawatymi" consensusami i zabliznia ranę zadaną w miejscu, które zawsze ma z konieczności charakter peryferyjny.

Dlatego właśnie fascynują nas zazwyczaj wielkie rewolucje, uchodzące w oczach potomności za konsekwencję pojedynczego aktu siły, który, uderzając w punkt pozornie pozbawiony znaczenia, powoduje pełny obrót osi danej sytuacji władzy: zdobycie Bastylli, atak na Pałac Zimowy, zamach na koszary Moncada... Z tego powodu zielonemu rewolucjonistom pilno jest powielać tego rodzaju akty wzorcowe i dziwi go, że się nie udają. "Historyczny" akt siły nigdy nie był w istocie aktem siły, lecz symbolicznym gestem, efektywnym finałem teatralnym, który sankcjonował w sposób znaczący, także na poziomie dekoracji, kryzys stosunków władzy od dawna już rozprzestrzeniony i rozgałęziony. Bez takiego kryzysu rzekomy akt siły byłby tylko zwykłym aktem siły, pozbawionym symbolicznej władzy i skazanym na ułożenie się w kształt małego lokalnego równoległoboku.

W jaki sposób władza, powstała z sieci consensusów, może się rozpaść? W książce "Wola wiedzy" ("La Volonté de savoir") Foucault

wciąż stawia sobie to pytanie: "Czyżby trzeba było powiedzieć, że jesteśmy z konieczności «wewnątrz» władzy. że nie możemy jej «umknąć», że w odniesieniu do niej nie istnieje absolutne «zewnątrz», ponieważ inaczej byłibyśmy niechybnie poddani prawu?" Jeżeli przyjrzeć się temu dokładniej, okaże się, że jest to to samo stwierdzenie, które formułuje Barthes mówiąc, że nigdy nie wychodzimy poza granicę mowy (le langage). Odpowiedź Foucaulta brzmi: "Byłoby to niezrozumieniem ściśle relacyjnego charakteru stosunków władzy. Mogą one istnieć wyłącznie jako funkcja wielości punktów oporu: te ostatnie odgrywają w stosunkach władzy rolę przeciwnika, tarczy strzelniczej, oparcia, odszkodni do objęcia władzy (...). Nie istnieje zatem, w odniesieniu do władzy, j e d n o miejsce wielkiej Odmowy - dusza buntu, ognisko wszystkich rebelii, czyste prawo rewolucjonisty. Istnieją natomiast w i e l o r a k i s opory, będące przypadkami różnych rodzajów: możliwe, konieczne, nieprawdopodobne, spontaniczne, dzikie, jednostkowe, zespolone, pełzające, gwałtowne, bezkompromisowe, skłonne do pertraktacji, interesowne albo gotowe do poświęceń (...) punkty, węzły, ogniska oporu rozsiane są w czasie i przestrzeni, wystawiając niekiedy grupy ludzi albo jednostki w sposób ostateczny, zapalając niektóre punkty organizmu, niektóre momenty życia, niektóre typy zachowań. Wielkie, radykalne przełomy, podziały dwuiste i masowe? Tak, czasami. Ale najczęściej mamy do czynienia z ruchomymi i przejściowymi punktami oporu, które tworzą w społeczności przemieszczające się szczeliny, rozbijając związki jedności i pobudzając przegrupowania, rozszczepiając nawet jednostki, kawałkując je i formując na nowo (...)"

W tym sensie władza, wewnątrz której się znajdujemy, widzi, jak w jej własnym wnętrzu zachodzi rozkład consensusów, stanowiących jej fundament. W niniejszym artykule zależy mi na wykazaniu odpowiedzialności między tymi ciągłymi procesami rozkładu, opisanymi (raczej aluzyjnie) przez Foucaulta, a funkcją, jaką Barthes przypisuje literaturze wewnątrz lingwistycznego systemu władzy. Przywiódłoby to nas może do kilku refleksji na temat swoistej estetyki wizji Foucaulta w momencie, gdy (por. wywiad z 1977 r., w aneksie do włoskiego wydania "Woli wiedzy") wypowiada się on przeciwko kresowi działalności pisarskiej i przedw teoretyzowaniu na temat piśmiennictwa jako działalności wywrotowej. Doprowadziłoby to nas także do postawienia sobie pytania, czy Barthes nie widzi w literaturze (gdy mówi, że taka możliwość jest w równej mierze otwarta dla naukowca i dla historyka) alegorii stosunków oporu i krytycyzmu względem władzy w samym wnętrzu życia społecznego. Wydaje się jasne, że ów mechanizm rozproszonej opozycji wobec władzy, działający zawsze od wewnątrz, nie ma nic wspólnego z mechanizmami opozycji wobec siły, które są zawsze zewnętrzne i lokalne. Opozycje wobec siły spotykają się zawsze z bezpośrednią odpowiedzią, podobnie jak w zderzeniu dwóch kul bilardowych; opozycje wobec władzy wywołują zawsze reakcje pośrednie.

Pokuśmy się o alegorię godną pięknego filmu amerykańskiego z lat trzydziestych. W chińskiej dzielnicy miasta pewien gang organizuje napać rabunkowy na pralnię. Akty siły. Wchodzą, żądają pieniędzy, jeżeli pralnia nie płaci, demolują wszystko. Właściciel pralni może siłę przeciwstawić siłę: rozkwasza mordę gangsterowi. Skutek jest natychmiastowy. Nazajutrz gangster używa większej siły. Gra sił może doprowadzić do pewnych modyfikacji w systemie ochrony mieszkańców dzielnicy: opancerzone drzwi dla pralni, urządzenia alarmowe. Piuronochny.

Stopniowo jednak mieszkańcy dzielnicy uwewnętrzniają ten klimat: restauracje zamyka się wcześniej, ludzie po wieczornym obiedzie nie wychodzą z domu, kupcy uznają za rozsądne opłacać się, żeby ich pozostawiono w spokoju... Ustala się system legalizujący władzę gangsterów i współdziałającą z nim wszyscy, nawet ci, którzy życzyliby so-

bie innego systemu. Władza gangsterów zaczyna się teraz opierać na symbolicznych stosunkach poskuszeństwa, w ramach których poskuszny ponosi taką samą odpowiedzialność jak ten, komu jest on poskusznym. W pewnym sensie każdy ma w tym układzie swoje konto.

Przyczyną pierwszego rozpadnięcia się consensusu mogłaby być grupa młodych, którzy postanawiają urządzić co wieczór zabawę z partadami i papierowymi smokami. Jako akt siły, mogłoby to stanowić przeszkodę w przechodzeniu przez ulicę lub ucieczkę gangsterów, ale w tym sensie ma to pomniejsze znaczenie. Jako pewna forma oporu wobec władzy, zabawa taka wprowadza w grę element pewności siebie, która przyczynia się do rozkładu consensusu dyktowanego przez strach. Rezultat nie może być natychmiastowy; przede wszystkim nie osiąga się żadnego rezultatu, jeżeli zabawa nie znajduje swoich odpowiedników w innych postawach peryferyjnych, innych sposobach wyrażania swego "Nie zgadzam się". W naszym filmie mógłby to być jakiś odważny geet miejscowego dziennikarza. Ale takie postępowanie mogłoby również skończyć się niepowodzeniem. W przypadku, gdyby system gangsterski okazał się zdolny do wpisania takich taktyk w miejscowy folklor, trzeba by wyrzec się ich natychmiast. Skończmy w tym miejscu z alegorią, która, jako film, zmuszałaby nas do happy endu.

Nie wiem, czy zabawa ze smokiem jest alegorią literatury według Barthesa, czy też literatura Barthesa i zabawa są alegoriami kryzysów w systemach władzy w rozumieniu Foucaulta. Nie wiem także dlatego, że wykania się tutaj nowa wątpliwość: do jakiego punktu język Barthesa jest posłusznym mechanizmem zgodnym z tymi, które działają w systemie władzy opisanym przez Foucaulta?

Weźmy język jako system reguł, nie tylko gramatycznych, ale również takich, jakie dzisiaj nazywamy pragmatycznymi. Na przykład, reguła rozmowy, która wymaga, aby na zadane pytanie odpowiedzieć w sposób stosowny, kto zaś ją łamie, albo uważany jest za źle wychowanego, za idiotę czy prowokatora, albo też podejrzewa się go o robienie aluzji do czegoś innego, o czym nie chce mówić. Literatura, która oszukuje za pomocą języka, jawi się jako działanie dezintegrujące reguły i ustanawiające inne: prowizoryczne, ważne tylko w jednym dyskursie albo w jednym nurcie, a nade wszystko - ważne w ramach laboratorium literackiego. Znaczy to, że Ionesco oszukuje za pomocą języka, gdy każe swoim postaciom mówić tak, jak mówią, na przykład, w "Łysej śpiewaczce". Ale gdyby, w relacjach społecznych, wszyscy mówili tak, jak ta śpiewaczka, społeczeństwo uległoby dezintegracji. Zauważmy, że nie byłoby rewolucja lingwistycznej, ponieważ rewolucja implikuje obalenie stosunków władzy; świat mówiący jak Ionesco niczego by nie obalił, ustanowiłby natomiast rodzaj n-tego stopnia (przeciwieństwo zera, liczba nieokreślona) zachowań. Nawet kupienie chleba w piekarni nie byłoby już możliwe.

W jaki sposób język broni się przed tym ryzykiem? Barthes odpowiada na to, rekonstruując sytuację władzy w obliczu jej pogwałcenia, wchłonięcia owego ryzyka (anaktolut artysty staje się pospolitą normą). Jeśli chodzi o społeczeństwo, to broni ono języka zwabiając literaturę, która podaje język w wątpliwość, do pewnych rezerwatów. W ten sposób nigdy nie dochodzi do rewolucji w mowie. Zdarza się albo rewolucja fikcyjna - na scenie, gdzie wszystko jest dozwolone, potem zaś wraca się do domu rozmawiając normalnie - albo ciągły, niezauważalny ruch reformatorski. Postawa estetyzmu polega na wierze w to, że sztuka jest życiem, a życie sztuką, na pomieszaniu stref. Na samozłudzeniu.

Język nie jest więc scenariuszem władzy w rozumieniu Foucaulta. Zgoda. Dlaczego jednak mieliśmy wrażenie, że odnajdujemy tak wyraźne zgodności między mechanizmami lingwistycznymi i mechanizmami władzy? I że zauważamy, iż wiedza, z której władza czerpie swoją substancję, wytwarzana jest za pomocą środków lingwistycznych?

Wyłącznie się wątpliwość. Może nie należy myśleć, że język jest czymś innym niż władza, ponieważ władza jest miejscem rewolucji, a językowi tego nie przyznajemy. Może należy myśleć, że władza jest jednorodna z językiem, ponieważ tak, jak ją opisał Foucault, nie może być nigdy miejscem rewolucji. Znaczy to, że we władzy nie ma nigdy różnicy między reformą a rewolucją, gdyż rewolucja jest chwilą, kiedy powolny proces postępowych przystosowań ulega nagle temu, co René Thom nazwałby katastrofą, mianowicie brutalnemu zwrotowi: ale w takim sensie, w jakim koncentracja ruchów sejsmicznych wywołuje brutalne wstrząśnienie terenu. Nie następuje żadne ostateczne zerwanie z tym, co już wcześniej ukształtowało się było krok po kroku. Rewolucje byłyby zatem katastrofami powolnych ruchów reformatorskich, całkowicie niezależnymi od woli podmiotów, byłyby przypadkowym efektem układu sił końcowych, który jest posłuszny dojrzwiałej od dawna strategii symbolicznych przystosowań. Sprowadzałoby się to do stwierdzenia, że trudno jest wiedzieć, czy koncepcja władzy Foucaulta (przez Barthesa genialnie zastosowana do języka) jest wizją neorewolucyjną, czy też neoreformistyczną. Foucault ma przede wszystkim tę zasługę, że usunął różnicę między tymi dwoma pojęciami, zobowiązując nas do zrewidowania, jednocześnie z pojęciem władzy, pojęcia inicjatywy politycznej. Już widzę, jak ci, co gonią za modą, oskarżają mnie o upatrywanie w Foucault cie typowego myśliciela pokolenia *riflusso*<sup>5</sup>. Bzdura. Taktem jest, że w tym kątowisku problemów zarysowują się nowe pojęcia władzy, siły, przewrotów politycznych i postępowych przystosowań poprzez powolne przesunięcia peryferyjne, w świecie nie mającym żadnego centrum, gdzie wszystko stanowi peryferię i gdzie nic już nie ma swojego "eerca". Piękny splot myśli, jak na refleksje zrodzone pod znakiem pewnego "wykładu". Pozostawmy ten splot w zawieszeniu. Są to problemy, jak by powiedział Foucault, których nie rozwiąże jeden człowiek. Chyba żeby się ograniczył do fikcji literackiej.

1) Roland Barthes, *Leçon*, Paris, Le Seuil, 1978.

2) Wszystkie cytaty z R. Barthesa w tłum. T. Komendanta, "Teksty", 1979, nr 5, s. 9-29.

3) Wszystkie cytaty z Foucaulta tłum. M.B-B.

4) Georges Duby: *Les Trois Ordres, ou l'Imaginaire du féodalisme*, Paris, Gallimard, 1978.

5) Słowo to oznacza zaniechanie działalności politycznej na korzyść zwiększonego zainteresowania różnymi aspektami życia prywatnego, czemu towarzyszy, ze strony uczestników skrajnie lewicowych ruchów rewolucyjnych we Włoszech, przechodzenie od drugiej połowy lat 70-tych na reformizm, a nawet konserwatyzm.

Stanisław Rosiek

## Referat

Rozpocznę od paru niezbędnych wyjaśnień i sprostowań. Tytuł, jaki Państwo znaleźli w programie sesji\* : Poezja Sierpnia i o Sierpniu, jest niewłaściwy. Trafił tam przez nieporozumienie. W żadnym wypadku nie zdecydowałbym się, tu czy gdziekolwiek indziej, wypowiadać na temat, który tak obcesowo zapowiada. Zamierzam mówić o poezji i o Sierpniu - tak, jednak o tym, lecz w ujęciu odmiennym, myślę nawet, że polemicznym, zwłaszcza wobec drugiego członu tytułowej formuły.

Obwieszcza ona pewien rodzaj dominacji i zarazem kres możliwości literatury: polityczny t e m a t, jakby w tym "wzięciu w posiadanie" wyczerpywała się już cała energia słowa poetyckiego, jakby wiersz mógł być tylko uśmiercającą swoich bohaterów pieśnią. Zbyt łatwe to zwycięstwo myśli porządkującej nad żywiołem poezji i polityki, zbyt prędkie, więc trochę też podejrzane rozgłoszenie faktu ich pojednania. Dlatego, odkładając na później szersze uzasadnienia, uchylam teraz ten niewłaściwy tytuł.

Pozostaje mi jeszcze wyjaśnić, w jaki sposób, mimo iż niewłaściwy, trafił on do znanego Państwu programu sesji. Przyznaję, cała wina spada wyłącznie na mnie. Temat mojego wystąpienia zgłosiłem organizatorom ustnie. Ulotne, bo tylko raz czy dwa razy wypowiedziane słowa, przemieniły się, przybrały nową postać, podobną, lecz przecież odmienną, różną od pierwotnej.

Zastanowiło mnie to przeistoczenie. Wyczułem w nim ukryty prąd powrotu, cofnięcie - a bezpośrednio: nacisk cudzej myśli porządkującej, myśli, która tym przeistoczeniem przywracała zachwiany porządek rzeczy. Rozpocząłem wówczas grę na zwłokę. Nie prostowałem błędę, co było przecież łatwe i naturalne. W końcu postanowiłem w ogóle tego nie robić. Sytuacja wrogiego współistnienia dwóch różnych tytułów, będących sygnaturą odmiennych sposobów myślenia o poezji i polityce, stworzyła pokusę tak silną, że nie potrafiłem się jej oprzeć.

\* Publikowany tu tekst jest pierwszą częścią referatu wygłoszonego podczas sesji naukowej "Literatura Gdańska i Ziemi Gdańskiej po 1945 roku". Sesja, zorganizowana przez Zakład Historii Literatury i Kultury Pomorza XIX i XX wieku (Uniwersytet Gdański), odbyła się na Uniwersytecie Gdańskim 20 i 21 maja 1983 roku. Referat ukazuje się w wersji rozszerzonej i poprawionej.

Podając temat poezji i Sierpnia mogłem bowiem równocześnie ujmować go w dwóch sprzecznych trybach: odrzucanym i afirmowanym. Miałem szansę na nowo wytyczyć między nimi granicę, oponować wobec cudzego sposobu myślenia nie w zewnętrznej, więc siłą rzeczy teatralizowanej i "politycznej" polemice, lecz w polu własnej myśli. Oto wstępne wyjaśnienie błędu.

Czas już odsłonić właściwy tytuł. Na pierwszy rzut oka niewiele różni się od swej zdeformowanej postaci. A zatem:

## POEZJA W SIERPNIU I WOBEC SIERPNIA

Władza przyimków sięga jednak daleko w głąb mowy. Przyimki, współrządzając składnią, współrządzają sensem. Te, które pojawiły się w nowym tytule: "w", "wobec" (zamiast dawnego "o"), ustanawiają inny niż poprzednio sens połączenia w jednym wypowiedzeniu poezji i Sierpnia. Pod pewnym względem cała moja dalsza wypowiedź okaże się być może tylko stopniowym odsłanianiem i eksploataowaniem tej r ó ż n i c y. Zapamiętuje tu wkrótce duch zmiany, duch porównań. Nim to jednak nastąpi, chciałbym jeszcze wskazać na dwie stałe w ramach tej wypowiedzi wielkości, na dwie - zarazem - przemieniające się w swym społecznym istnieniu siły, mianowicie na Literaturę i Władzę, na Literaturę wobec Władzy...

Mój tytuł jest względem nich neutralny. Nie orzeka, nie rozstrzyga, lecz jedynie osacza, jedynie otwiera przestrzeń wypowiedzi historycznej. Mówiąc o "poezji w Sierpniu i wobec Sierpnia", zajmuję się - w końcu - dziejami najnowszy Literatury i Władzy, a ściślej: mową, którą władza Literatura, i ta, dzięki której utwierdza się Władza.

Historyczny wywód wymaga precyzji. O jaką i czyją poezję będzie tu chodziło? Temat sesji określa to wyraźnie: o poezję "gdańską i ziemni gdańskiej". Pragnąłbym jednak zmącić nieco wyrazistość tej lokalizacji przestrzennej. Mówiąc o poezji, będę brał pod uwagę nie tylko to, co napisali poeci mieszkający w naszym regionie kulturalnym lub ci, którzy są członkami istniejącego tu, choć dzisiaj w zawieszeniu, oddziału Związku Literatów Polskich. Miejsce zasiedlenia czy przynależność organizacyjna to wyróżniki często zwodnicze, zawsze krepujące i jałowe. Będę więc mówił o powszechnym doświadczeniu polskiej poezji, która chcąc nie chcąc, tak jak my wszyscy, w Sierpniu 1980 roku stanęła przed bramą Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Będę też mówił o Gdańsku symbolicznym, o miejscu, w którym poezja zetknęła się z żywiołem wyzwolonego słowa, z prawdziwą Poezją Sierpnia.

Zetknęła się, lecz nie utożsamiła.

Oto więc jeszcze jedna przyczyna mojej niezgody na zdeformowany tytuł. Sugeruje on, zwłaszcza w sąsiedztwie tak statecznych tytułów innych referatów, jak choćby "Marynistyczne zainteresowania pisarzy gdańskich" czy "Edukacja teatralna dzieci i młodzieży w gdańskim ośrodku kulturalnym", jakieś wielkie ożywienie "poezji gdańskiej" w Sierpniu, jakąś jej misję czy znaczenie w czasie historycznym - słowem: s p e ł n i e n i e - tak oczywiste i tak doniosłe, że można je wyróżnić nazwą historycznego miesiąca, podobnie jak wyróżnia się na przykład "poezję powstania listopadowego".

Tymczasem Sierpień był dla poezji w Polsce, nie tylko przecieć dla "poezji gdańskiej", wstrząsem. W Sierpniu poezja oniemiała. Powstające wówczas wiersze - nie było ich chyba zbyt wiele - bezradnie ponawiały stereotypy patriotyczne, narodowe, ludowe... Poezja - tak to na razie określe - nie odnalazła własnego głosu, własnego tonu, własnej intonacji. Nie potrafiła zakorzenić się w zrewoltowanej przestrzeni mówienia, w której nie obowiązywał już znany jej porządek. Wstuchiwała się uważnie w słowa, które - długo tłumione - na głośnie dostawały się na powierzchnię życia społecznego, w wypowiedzi milczących dotąd, pozbawionych prawa głosu, i tylko niekiedy im wtórowała.

Trochę to chyba za mało, by nazwać ją "poezją Siernia".

Poezja Siernia - o niej także będę mówił - powstawała poza granicami Literatury, jakby niwoltownie, przypadkowo, w impecie wywalających się słów.

Powiedziałem już nieco o Literaturze, o Władzy zaś zaledwie wspomniałem. O Władzy pisanej wielką literą, "przez duże <w>", jak zwykło się mówić. Wielka litera w nazwie nie jest jednak znakiem szczególnego szacunku czy adoracji. Nie "przez uszanowanie" określam tak Władzę, lecz po to, by zaakcentować, iż szło tu będzie o pewną jej szczególną postać - o polityczne władanie społeczeństwem z pomocą słowa, o w k ł a d z ę s ł o w a.

Roland Barthes, w wykładzie inauguracyjnym wygłoszonym w Collège de France 7 stycznia 1977 roku, postąpił akurat odwrotnie. On przemienił Władzę we w k ł a d z ę, zrywając tym sposobem z osadzoną dobrze w tradycji europejskiej postawą: "Niektórzy oczekują od nas, intelektualistów, abyśmy przy każdej okazji występowali przeciw Władzy; tymczasem - obwieszczał - nasza prawdziwa walka trwa gdzie indziej, trwa przeciw władzom (...)" (ten i następne fragmenty z "Teçon" w przekładzie Tadeusza Komendanta).

Trudno odrzucić uzasadnienia przedstawione przez Barthesa: "Władza jest mnoga jak demony", "jest obecna w najbardziej delikatnych mechanizmach społecznej wymiany: nie tylko w Państwie, w klasach, w grupach, ale również w modach, w obiegowych opiniach, w spektaklach, w zabawach, w sporcie, w informacjach, w układach rodzinnych i prywatnych, a nawet w wolnościowych zrywach, usiłujących jej zaprzeczyć (...)". Wszystko to - powtarzam - prawda, której nie zamierzam podważać, lecz siła nacisku i niedostatek (la faute), jaki rodzą dyskursy tych mnogich władz, nie zawsze jest taki sam. Sądzę na przykład, że spośród wszystkich wyliczonych przez Barthesa miejsc obecności władzy najistotniejsze jest Państwo - rozumiane jako symbol "rodzącego niedostatek" dyskursu politycznego i ideologicznego. Czy zawsze tak jest? Nie wiem, wypowiadał to stwierdzenie dzisiaj, wypowiadał je w Gdańsku. I właśnie tu i t e r a z w najsilniej odczuwalna jest obecność jednej władzy - władzy politycznej, która totalizuje przestrzeń społecznej wymiany i podporządkowuje sobie wszelkie inne władze.

Dla Barthesa problem sprowadza się do języka, "w który wpisuje się władza całej ludzkiej wieczności". Każdy, kto mówi, jest "narażanym panem i niewolnikiem", ponieważ "w systemie językowym służalczość i władza łączą się nierozdzielnie". Niewątpliwie Barthes dociera do ukrytych źródeł. Przemoc tkwi już w systemie językowym. "Język, choćby się go wyrzekło w najgłębszej intymności podmiotu, natychmiast idzie na służbę władzy". Nie znajdziemy ukrytych w nim sarmy sił wolności. Zniewolonym pozostają jedynie sposoby Literatury. Ona potrafi niekiedy "oszukiwać z językiem", "oszukiwać język".

Dalszy ciąg swej "Teçon" Barthes poświęca właśnie Literaturze i trzem przynależnym jej siłom: Mathesis, Mimesis, Semiosis, dzięki którym udaje jej się odnosić zwycięstwa nad systemem językowym. Za lekcja "bezinteresowności" politycznej udzielona przez Barthesa Literaturze byłaby może i dzisiaj (i tu) wystarczająca, gdyby istotnie - jak zakłada - język nie czynił rozróznień. Jest jednak inaczej. Nie wszyscy spośród tych, którzy mówią, są wobec niego równi. Jedni ulegają naciskowi tkwiących w nim sił. Inni, przeciwnie, biorą je na służbę. Zadanie Literatury powinno więc być podwójne. Nie tylko "oszukiwać z językiem, oszukiwać język". Również: godzić w tych, którzy nad nim panują.

Oto bowiem - ten spektakl powtarza się codziennie - Władza potwierdza nieustannie swą zwierzchność nad mową i na swoją korzyść obraca tkwiące w niej przymusy.

Przyjrzyjcie się jej, gdy mówi. Umieszcza się ponad wypowiedzią,



wymyka "fatalnej relacji wyobcowania" narzucanej mówiacym przez system językowy. Obce jest jej pospolite w gruncie rzeczy doświadczenie jednostki, która - powierzając mowie swą podmiotowość, wzamian zyskuje jedynie obiegowe słowo. Władza natomiast nie wie, co to poczucie nieautentyczności w chwili ekspresji słownej, okaleczenia wswętrzone, niemożność zakorzenienia się w słowie. Nie wie, ponieważ wtedy, gdy ona przemawia, wszystkie te, tak groźne dla jednostki, siły nagle stają się uszuźne.

Nie będzie więc chyba przesadą, gdy powiem, że mowa jest dla Władzy zbawiennym żywiołem. Gdyby nie ona, Władza byłaby tylko ślepią siłą, przymusem, zawsze możliwym uderzeniem. Dopiero dzięki mowie zyskuje szczególną podmiotowość, jakkolwiek - w sensie personalnym - wypowiedzi, jakie przedkłada, to wypowiedzi n i c z y j e. Prawdą, że zawsze przecież zabiera głos ktoś konkretny, jakaś polityczna osobistość: pierwszy sekretarz lub też rzecznik prasowy rządu. Wypowiedzi Władzy nie zyskuje jednak przez to "piętna osobowego". Politycy, którzy próbują "uprywatnić" swoje wystąpienia - ostatnio to częsta praktyka - grają fałszywie. Dzięki nim Władza ubiera maskę cudzej podmiotowości, sama zaś nie ulega zmianie. Politycy ci, choćby nas zapewniali, że jest inaczej, mówią a nawet wybuchają gniewem w jej imieniu: sekretarz wygłasza referat biura politycznego, rzecznik prasowy przedstawia etanowisko rządu. "Ludzkie emocje", jakie wówczas ujawniają, nie mają żadnego znaczenia. Oni mówią z miejsca Władzy, z miejsca zarezerwowanego dla Władzy - choć więc zawsze przecież jednostki zabierają głos, to jednak tą, która wówczas mówi, jest Władza.

Dotąd jej jeszcze "nie było", nie istniała w przestrzeni mówienia. Teraz, gdy padły pierwsze słowa, j u ż j e s t. Już bierze w posiadanie tych, do których się zwraca. Już narzuca im swój - tworzący się właśnie w mowie i dzięki mowie - obraz. Wypowiedzi indywidualów sprawujących rządzą formują bowiem jakaś ponadjednostkową podmiotowość, formują oblicze Władzy symbolizujące i ją samą, i jej potęgę. "Fatalna relacja wyobcowania" nie może jej zagrozić, ponieważ podmiotowość nie jest tu czymś wnoszonym i powierzanym mowie, a przeciwnie: osiągniętym dzięki niej. Jest efektem czysto językowym. Z tego też prawdopodobnie powodu Władza obraca na swoją korzyść obydwą kruczki zdezasutowane przez Barthesa: "zwierzchnictwo asercji, stałość powtarzania" - "l' autorité de l' assertion, la grégarité de la répétition".

Pierwszy z nich stwarza i upowszechnia autorytet Władzy. Język jest "bezpośrednio asertywny". Oznacza to, że nadaje wypowiedziom charakter twierdzeń, konstatacji, sądów a wszelkie odstępstwa i zmiany tej podstawowej modalności należy w specjalny sposób zaznaczać. "Zwierzchnictwo asercji" nad mowieniem. Ono jest dla Władzy zbawienne. Dla mówiącej jednostki inaczej - to często uciążliwy przymus, ponieważ nie wszystko z tego, co pragnie wypowiedzieć, może być wypowiedziane - jak to określa logika - z całą pewnością, "pod postacią przekonania, że tak a tak jest lub nie jest". Władza zaś po to mówi, by wydawać sądy (i osadzać), twierdzić (i zatwierdzać), orzekać (i przyrzekać), by ponadto naznaczać, piętnować, potępiać, ostatecznie określać i podsumowywać... Nawet te jej wypowiedzi, które nie mają charakteru sądów i nie odnoszą się do tego, co jest - nakazy, przypuszczenia, życzenia, oczekiwania czy obietnice - wzmacnia szczególna re - t o r y k a a s e r c j i nadająca im status konstatacji - konstatających istnienie tego, co dopiero będzie, czego się oczekuje lub pożąda, lecz co przecież nie istnieje inaczej jak tylko w mowie. Mówiąc, Władza pragnie stwarzać fakty, panować słowem nad rzeczywistością. Jej twierdzenia niczego nie twierdzą. Przedstawione przez nią sądy nie są ani prawdziwe, ani fałszywe, bo zwykle niewiele mają wspólnego z rzeczywistością. Są urojone. Ale są również krystalicznie asertywne. Nie znajdziemy w tym, co Władza mówi, znaków wątpienia czy wahania. Wypowiedzi Władzy przedstawiają przede wszystkim p e w n o ś ć s ą d u nad utkanym ze słów światem.

Równie wiele korzyści przyniesie Władcy "staćność powtarzania". Znak językowy jest "następczy, staćny, w każdej z nich - tak to Barthes używa - drzenie owa monstrum - stereotyp". I dopowiada: "Właź mówić gromadząc to jedynie, co o n i e w i e r a s i ą w s t e r i e językowym" - mówić i być rozumianym. Kryje się tu przyznanie pozostawania w obrębie wspólnej mowy. Tymczasem ekspresja indywidualna a zwłaszcza ekspresja postępa dąży zwykle do przecwiczenia wewnętrznego "staćności". Poszukuje wyrazu, poszukuje słowa jednorozowego, w którym - ponad brawani języka - mogłoby wypowiedzieć się przedkone i niepowtarzalne doświadczenie. Władzy chce jest to utopijne dążenie. Obiera przeciwną orientację, zgodną z duchem języka. Gdy mówi, nigdy nie poprzestaje na "jednym razie". Powtarza w nieskończoność. Gigantyczny aparat artykulacyjny, jakim dysponuje, przenosi zarznięte innym lub przez nią samą stworzone wyrażenia we frazesy, stereotypy, klisze... Dlatego język, którym włada, język wierny owej "staćnej" naturze, jest nam - próbującą mówić zawsze pojedynczo i na własny rachunek - tak obcy i tak bezużyteczny.

Stereotyp powiększa ponadto doświadczony często przez mówiących rozdźwięk pomiędzy prawdą bycia i prawdą tego, co wypowiedziane. "Każna by wyobrazić sobie - rozważa Barthes - historię literatury, a mówiąc dokładniej produkcji językowej, która byłaby historia jakże niekiedy szalonych słownych wbiegów użytych przez ludzi, by zmniejszyć, oswoić, zaprzeczyć albo przeciwnie - przyjąć w całej rozciągłości to, co zawsze jest obłądem, tzn. fundamentalną nieadekwatność języka i rzeczywistości". Władzy przypadłoby w tej historii miejsce szczególne. Władza unieważnia zarysowany przez Barthesa dylemat. Zdecydowanie staje po jednej tylko stronie spójnika "albo" i nie tyle nawet, jak niekiedy spośród mówiących, "przyjmuje w całej rozciągłości" ową fundamentalną nieadekwatność - lecz co więcej: utwierdza ją, wzrasta z niej. I znowu w błasnie zysków i strat osiąga dodatnie saldo. I znowu warunkiem zysku jest radykalna zmiana orientacji.

Godzienna praktyka językowa wydać się może paradoksalna, teoretycznie niemożliwa, ponieważ kieruje nią utopijne założenie. "Ludzie nie przyjmują do wiadomości - zauważa Barthes - że zupełnie nie istnieje paralelizm między rzeczywistością a językiem i to wyparcie (...) poprzez niustanną krzątanie tworzy literaturę". Władza inaczej. Ona lekceważy rzeczywistość i bez żadnych obciążeń wszczynając samowolną działalność w sferze języka. Nie wie, co to etyka p r z e d s t a w i a n i a, której podstawowa zasada to dążenie do zgodności między klasycznie jako zgodność z rzeczywistością (zgodność niemożliwa do osiągnięcia w praktyce...). Nie zna lub nie chce znać właściwych literaturze sposobów osiągnięcia niemożliwego. Wybiera pragmatyczną skuteczność stereotypu. I ten jej wybór jest zarazem opcją na rzecz prawdy bez odniesień, prawdy uwierzytelnionej jedynie słowem - słowem obiegowym.

Być może Władza - taka, jaką znamy - to unostacowanie tego, co w mowie ciemne i złowroczne, wymykające się kontroli mówiących. Być może przybrałaby ona zupełnie inną postać, gdyby system językowy nie był wobec niej tak usłużny - bo daje jej wiele: podmiotowość, autorytet, słowo... Niewątpliwie istnieje jakaś ścisła współzależność między Władzą i mową ludzką. Byłoby rzeczą interesującą i ważną poznać początki ich związku. Zobaczyć jak Przeroc, będąca efektem społecznych nierówności, staje się dzięki mowie Władzą i jak ta Władza coraz bardziej różnicuje i wysubtelnia formy władania: przechodzi od przymusu bezpośredniego do przymusu językowego, by wreszcie utworzyć złożoną formację - mowy mającej oparcie w sile, siły, która noszącej się słowem.

O tak właśnie rozumiana Władzą będzie tu chodziło, o władzę słowa. Jak dotąd nie wykroczyłem poza wstępne identyfikacje. Fakt zawarty z mową - o nim głównie mówiłem - staje się jednak zwykle początkiem

(i warunkiem wstępnym) całego ciągu późniejszych, tak dobrze znanych nam gestów i ekscesów Władzy, początkiem jej trwania w czasie, jej uporczywej obecności w przestrzeni społecznej wymiany. Nawet jeśli Władza nie została zrodzona przez mowę (co wcale nie jest takie pewne zważywszy rolę rozkazu w jej początkach), to i tak mowa stała się na skutek jakiegoś wtórnego uzależnienia jej niezbędnym współczynnikiem, jej oparciem. Spróbujmy do tego później powrócić, biorąc za przykład Władzę, która opanowała przestrzeń, w której właśnie mówię.

Jak państwo zapewne zauważyli, przyjęty przeze mnie punkt wyjścia różni się od Barthesowskiego w kilku dość ważnych kwestiach. Gdybym miał teraz jednym zdaniem określić podstawową różnicę, zrobiłbym to tak: wedle Barthesa Władza wciela się w systemy komunikacyjne, rozpada się na władze mnogie (jak demony) i zatracca tym sposobem swą polityczną i ideologiczną wyrazistość (nie ma Władzy poza dyskursem władzy). Tu natomiast przyjmuje się pogląd bardziej chyba tradycyjny, że system językowy jaśli nie stwarza, to przynajmniej określa formę bytów społecznych, co znaczy: przemocy społecznej nadaje oblicze - surowe oblicze Władzy.

Na obydwu założeniach ciąży zapewne czas i miejsce powstania. Różnica jest więc efektem odmiennych doświadczeń (Władzy i z Władzą). Nie chciałbym jednak iść zbyt daleko w tym porównaniu. Niewiele zrozumiećmi przeciwstawiając doświadczeniom Francuza nasze, tak chętnie mitologizowane polskie doświadczenia. Nie zamierzam tu występować jako jeden z doświadczonych przez Historię. Moja rola jest mniej patetyczna. Opiewam jedynie "ilościowy" aspekt Władzy. "Wykład" Barthesa powstał i został wygłoszony w społeczeństwie wielu przymusów (jeśli kto chce, może je nazwać pluralistycznym), mój natomiast "Referat" jest mówiony - półgłosem i pokątnie - w zasięgu jednej Władzy mniej lub bardziej skutecznie totalizującej przestrzeń mowy. Oczywiście, potrafię sobie wyobrazić odmienny rodzaj niedostatku (la faute) zrodzonego przez któryś z niezliczonych dyskursów władzy, na jakie wskazuje Barthes, przez dyskurs sportu czy dyskurs mody, jednakże z n a m głównie jeden taki dyskurs - dyskurs, którym posługuje się Władza. Pozostałe są maską tego jednego, albo są "niewinne", co znaczy, że stwarzają ośrodki oporu przed totalizacją.

Miejsce, z którego mówię, określiło też w dużym stopniu formę mojej wypowiedzi: "referat". Na pierwszy rzut oka nic w tym niezwykłego. Podczas sesji naukowej forma ta wydaje się naturalna i "niewinna", właśnie tu jest "na miejscu". Wystarczy jednakże uważniej wsłuchać się w nakaz ukryty w jej nazwie (urobionej od łacińskiego imperativu "referat": "niech zda sprawę"), by zwątpić w tę domniemaną niewinność. My tu przecież, wygłaszając nasze referaty, idziemy śladem Władzy. Równie korzystnie próbujemy osadzić się w systemie językowym i podporządkować sobie tkwiące w nim siły przymusu. W referacie biura politycznego i w moim "prywatnym" referacie panoszy się ten sam żywioł asercji.

Nie zapomniałem, pamiętam oczywiście, że tzw. "asertoryczność sądów" to powszechnie uznawany warunek wypowiedzi prawdziwie naukowej. Ja jednakże nawet tu, w referacie wygłaszanym podczas sesji naukowej, pragnąłbym "po ludzku" modalizować: wątpić, przyszczać, pytać, zawięzać pewność sądu... nie tylko "coś z całą pewnością konstatować", "o czymś orzekać". W gruncie rzeczy pragnę formy Barthesa. I ryzyka, jakie narzuca, ryzyka znacznie większego niż pospolitość błędu. Słowo "leçon", któremu Barthes nadał ważność tytułu, podobnie zresztą jak polski odpowiednik "lekcja", pochodzi od łacińskiego czasownika "legere", "czytać". Zapowiada ono, jak sądzę trafnie, inną niż referatowo: - sprawozdawczą praktykę poznania rzeczywistości ludzkiej i inną zasadę tworzenia dyskursu na jej temat. Zapowiada lekturę, która nie określa swego kierunku i swych granic, interpretację wychodzącą od warunków mówienia i wypowiedź tworzącą za każdym razem od nowa

swe zasady.

Lekcja jest wykładem, ryzykownym wykładem czyjejs lektury. Referat natomiast - demonstracyjnie objawiający pewność sądu, ufający usłuszności języka i z jego pomocą przetwarzający migotliwą rzeczywistość w zastępy porządek twierdzeń - nawet jeśli przybiera maskę wypowiedzi naukowej, nie ukryje tego, czym jest w istocie. A jest niewątpliwie formą przemocy.

Nazwałem swoje wystąpienie referatem. Nazwałem je tak pod przymusem. Pod presją sytuacji - moje pragnienia nie są na miarę moich możliwości. Zademontrowana w "Leçon" praktyka, mimo rozlicznych pokus, jakie stwarza, wartości, które przyrzeka, nie może być tu i teraz podjęta. Anie przez Literaturę, ani przeze mnie - mówiącego o Literaturze i Władzy. Nasz przeciwnik jest inny. Barthes, wskazując Literaturze sposoby walki z władzami tkwiącymi w mowie, sam również postępuje zgodnie z zalecaną taktyką. I on w pewnym sensie "oszukuje język, oszukając z językiem". W Polsce 1983 roku to trochę za mało (choć równie dobrze mógłbym w tym miejscu powiedzieć: nazbyt wiele). W sytuacji, gdy Władza obraca na swą korzyść tkwiące w mowie władze, trzeba iść jej śladem. Podchwytwać i imitować formy, w jakich zwykła się wypowiadać. Doprowadzić je do wyczerpania, do rozpadu. Przedzierać się i przenikać. Trzeba więc najpierw wygrać walkę o język, odzyskać zawłaszczoną przestrzeń mówienia - rozprzyszczyć Władzę we władze mnogie.

Nazwałem swoje wystąpienie referatem i to, co mówię, jest nim - w pewnym sensie. Słowo "referat", choć pojawiło się w tym samym miejscu, co słowo "leçon", nie pretenduje do miana tytułu. Nadal podtrzymuję znany już państwu, właściwy tytuł. "Referat" to tylko mimetyczna etykieta.

Mając w żywej pamięci tradycję Arystotelesowską, zapominamy, że słowem "mimetyzm" nazywa się nie tylko pewną właściwość czy też jakość dzieła sztuki, lecz również zdolność niektórych zwierząt do przybierania barwy lub wzoru środowiskowego podłoża. Mój mimetyczny referat spełnia obydwie czynności równocześnie. Naśladuje i ukrywa się w tym, że naśladuje, upodabniając się do naśladowanej formy. Jest referatem - w pewnym sensie.

A skoro jest (czy dopiero ma stać się) tym właśnie, nie mogę dłużej zwlekać. Muszę wreszcie przystąpić do referowania, do "zdawania sprawy". Muszę zatem zacząć przedkładać państwu sądy a nie, jak dotąd, zwierzenia, muszę także - twierdząc, orzekając, stawiając tezy - korzystać o ile to możliwe z retoryki asercji. Zacznę od wstępnego porządkowania. Niestosowny, zwłaszcza w tym miejscu, i może nazbyt już nużący chaos mojej wypowiedzi przetworzę teraz w zdyscyplinowaną sekwencję tez, twierdzeń i eksplikacji. Niektóre z nich jedynie powtórzę, lecz z większą, jak myślę, siłą to, co w innym trybie zdołam dotąd wypowiedzieć. Inne odsłonię i mam nadzieję, że również choć trochę wytłumaczają rodzaj presji, której - jako mówiący - podlegałem i nadal podlegam. A zatem - t w i e r d z ę, że:

1. Nie można dzisiaj mówić nie ustalwszy wcześniej warunków mówienia.

Po tej autotematycznej tezie mogę przejść do następnych:

2. Powstała (kiedy? gdzie?) złożona formacja: mowy mającej oparcie w zorganizowanej przemocy - przemocy, która posługuje się słowem.

Pierwotnie mowa władzy była jedynie zewnętrznym wobec niej narzędziem: rozkazem podporządkowującym jednych woli innych. Była więc w y r a z e m n i e m e j s i ł y, wyrazem samowolnym i dowolnym, który rozbrzmiewał we wszystkich sferach życia społecznego. Później z kolei prawo - raz wypowiedziane - poczęło ujarzmić i regulować

naturalną żywiołowość stosunków międzypersonalnych. Zwolniło ono władzę od konieczności ciągłych interwencji (prawo to wieczny rozkaz, stojący ponad bytem społecznym), lecz zarazem ograniczyło początkową swobodę i kapryśność wypowiedzi. Odtąd władza musiała uzgadniać aktualne wypowiedzi z porządkowym prawem. Ale zawsze pozostawiała sobie przywilej interpretacji.

Jakkolwiek było - tak, jak to tu, nazbyt chyba swobodnie przedstawiam, czy może inaczej - niema siła musiała zawrzeć nierówny pakt z mową. I wówczas doniero, gdy ją na mocy tego paktu wzięła w posiadanie. stała się władzą - władzą rozkazodawczą, władzą ustanawiającą prawa.

Jedną z pierwszych w starożytności teorii państwa i władzy, "Polityka" Arystotelesa, opisuje dojrzałą już formę takiego paktu. "Czynnik władający i słuchający - twierdzi Arystoteles w I Księdze - występuje wszędzie, gdzie coś składa się z wielu części, a tworzy pewną wspólną jedność bez względu na to, czy części są z sobą związane, czy też rozdzielone". W zdaniu wcześniejszym mowa jest o dwóch istotach, z których "jedna władza, a druga słucha". Wreszcie - zawsze, gdy Arystoteles przedstawia idealny obraz władcy, wypowiada warunek: "nie może dobrze rządzić, kto się wpięrować nie nauczył słuchać".

Nie zamierzam tu poddawać głębszej analizie poglądów Arystotelesa na naturę władzy. Fragnę jedynie zwrócić uwagę na sprzeczność (zwłaszcza w idealnym obrazie władcy) dwu przeciwstawnych czynności: *w ł a d a n i a* i *s ł u c h a n i a* (rozkazu, prawa, cudzego słowa). Nie mogę i nawet nie potrafię sprawdzić, czy przeciwstawienie to istnieje w języku oryginału. Bez wątpienia jest ono natomiast żywe w polszczyźnie, gdzie "słuchać" to w jednym ze znaczeń "być rządzonym", "podlegać i ulegać władzy". Odpowiednio zatem "władać" i "rządzić" to tyle, co "mówić i zmuszać innych do słuchania i posłuszeństwa".

Władza, którą znał i opisywał Arystoteles, korzystała ze słowa (w formie rozkazu bądź prawa) jak z narzędzia. Będąc niema siłą, czyniła zeń w y r a z swej woli. Prawda, że dzięki mowie odnajdywała swój społeczny obraz i pozostawiała znaki swej obecności - lecz legalność, lecz dowodów wywodziła skądinąd. Spoza granic mowy. Podobnie w późniejszych formach panowania. Słowo nie stało się jeszcze ciałem władzy, pozostawało jej narzędziem. Radykalna zmiana nastąpiła dopiero wówczas, gdy

### 3. Wzrosła władza słowa.

To nowa formacja. Nie mieści się ona w przedstawionej przez Maxa Webera systematyce czystych typów panowania. Z kilku powodów. Nie może ona - po pierwsze - powoływać się na tradycję jako na podstawę legalności, ponieważ jej pojawienie poprzedza zawsze drastyczne zerwanie ciągłości panowania i obalenie dawnych rządów. Władza słowa zaczyna zawsze "od nowa". Zaznacza się to również w sferze zwyczajów językowych. Natychmiast powołuje własną idiomatykę ideologiczną, która demonstracyjnie przeciwstawia się dotychczasowej. Ten nowy rodzaj panowania nie należy ponadto do typu charyzmatycznego. Imituje, co najwyżej, właściwe mu gesty i zachowania. Nie jest wreszcie panowaniem legalnym, ponieważ prawo nie stoi - niewzruszone - ponad władzą i jej dyskursem. Przeciwnie, w niezliczonych proklamacjach, manifestach, dekretach ciągle przemienia swą literę. Władza słowa prozaizuje prawo, obraca je w gadanie.

Skąd więc ta władza czerpie prawomocność? Jak uzasadnia siebie i swój autorytet? W pytaniu tym nie chodzi o to, w jaki sposób użrzmia żywił społeczny i osadza się na miejscu przynależnym władzy. Tu bowiem niewiele może się zmienić. Jest przecież siła a siła (ekonomiczna i militarna) pozwala każdej władzy osiągnąć pewną pozycję i pewien stopień trwałości.

Pytanie o prawomocność władzy wykracza poza sferę ekonomicznych i militarnych przymusów. Pyta - o co? Najkrócej mówiąc: o to, dlaczego jedni p o w i n n i służyć drugim. Przymus przemienia się w powinność dobrowolnie przyjmowaną na siebie przez rządzących (gdy oczywiście uznają legalność i autorytet władzy). Niekiedy racjonalne uzasadnienia, najczęściej jednak powszechna wiara przyznaje władzy - tej a nie innej - cechy, które wynoszą ją ponad doraźność bytu społecznego. Prawomocność to bezdyskusyjne w ramach jakiegoś systemu ustrojowe prawo panowania.

W jaki sposób odpowiada na to pytanie władza słowa? Istnieje dzisiaj w obiegu wiele gotowych odpowiedzi. Pojawiały się nim ktokolwiek zapytał nową władzę o jej legitymację. Od początku swych niedługich dziejów władza słowa przedstawiała liczne samo-uzasadnienia, samo-legalizacje. Przyszła z nimi. I powtarzała je przy każdej sposobności. I nadal zresztą powtarza, tyle że czasem zapomina o jednych i powołuje do życia nowe. Powtarza odpowiedzi, choć zarazem samo pytanie najchętniej przemilcza, jakby obnażało ono jakąś jej wstydliwie skrywaną słabość, jakby stanowiło zbyt wielkie zagrożenie dla siłowości jej istnienia. Odpowiadając, wikła się często w sprzeczności. Oto na przykład powołuje się na ideę powszechnej sprawiedliwości społecznej, której jest strażnikiem i opiekunką - równocześnie zaś mówi o dyktatorskiej klasie robotniczej i utrzymuje, że jest "prodującą siłą", "awangardą"...coś dla umysłów dialektycznych.

Wśród rozmaitych prób legalizacji jest też i taka, która - jak się wydaje - cieszy się największym wzięciem. Władza słowa zyskuje dzięki niej miejsce najwyższe, niedostępne dla wszelkiej krytyki czy pretensji. Obwieszcza, że wykonała ją "obiektywny proces dziejowy". Dlatego jest konieczna i dlatego jest nieuchronna - którą "powstrzyma bieg Historii"? Jak przecież wiadomo, w tym miejscu cytat: "zegara Historii cofnąć nie można". Rozumowanie to chętnie posługuje się stylizacją charyzmatyczną. Władza słowa przypisuje sobie niezwykle przymioty. Zna prawdę zwikłanych dziejów ludzkich. Z tą samą swobodą wymierza sprawiedliwość spełnionej już przeszłości jak i teraźniejszości. Objawia ponadto przyszłość, która jest jej władoma na mocy cudownego utożsamienia. Jest przecież g ł o s e m Historii.

Dzisiaj, po latach panowania, władza słowa zwraca się również ku przeszłości i wskazuje na tradycję - tradycję s w o j e g o panowania, która uzasadni i uprawomocniła panowanie w przyszłości. Liczy na to, że upórcożywość w utrzymywaniu się na miejscu zajęтым siłą powinna być w końcu nagrodzona powszechnym uznaniem.

Proszę zwrócić uwagę, że zreferowane tu pokrótce odpowiedzi podejmują dawne wzory. Każda z nich próbuje przedstawić władzę słowa jako wcielenie jednego z klasycznych typów panowania - legalnego, charyzmatycznego, tradycyjnego... Ale to tylko kostium, drugorzędna stylizacja, która przesłania prawdziwy obraz rzeczy, ponieważ

4. Władza słowa wywodzi swą prawomocność z czystego aktu wypowiedzania - wypowiedzania czerokolwiek. Z narzędzia dawnej władzy czyni podstawę swego istnienia.

Tak radykalna operacja w przestrzeni mówienia - przejście od wypowiedzi ideologicznej do ideologii wypowiedzania - uchyla konieczność legalizacji tradycyjnych. Przystaje być ważne to, że wszelkie próby stylizacyjne kończą się nieuchronnie niepowodzeniem, że poza zasięgiem możliwości władzy słowa pozostaje stworzenie wypowiedzi, która uzasadniłaby jej byt. Liczy się przede wszystkim fakt nierrzerwanej działalności językowej (także poza sferą ścisłej ideologii), nie zaś taka czy inna, mniej lub bardziej wiarygodna wypowiedź. Efekt ideologiczny (jest nim uznanie prawomocności) odłączył się i niezależnie od efektywności ideologii. Otworzyło to przed władzą słowa nowe i oszałamiające perspektywy.

M ó w i ć. Mówić cokolwiek i ani na chwilę nie odzwęcić innym głosu. Milczenie byłoby znakiem słabości, zapowiedzią upadku. Dlatego działość językowa powinna być ciągła i uporczywa. Słowa władzy muszą bowiem szczerze wypełniać przestrzeń komunikacyjną, rozpościć się władczo ponad bytem społecznym, nadawać mu formę, ujarzamiać naturalny chaos. Mówiąc, władza słowa nie jest skrępowana żadnym tematem czy stylem dyskursu. W ostatecznym rozrachunku i tak przecież ważniejsze okazuje się to, że mówi, nie zaś o co jest przedmiotem jej wypowiedzi. I to także, że nieprzerwanie utrzymuje się przy głosie

Władczy dyskurs (stanowienie praw, rozkazywanie) jest przywilejem każdej władzy. Ale w wypadku władzy słowa ów dawny przywilej, z którego można było korzystać wedle potrzeby i chęci, przeradza się w obowiązek. Historia odnotowuje chwile złowrogiego milczenia władców (Iwan Groźny jest tu najlepszym przykładem), zna też wiele przypadków rozszerzenia prawa głosu na szereg instancji przedstawicielskich i - wyjątkowo - na całą społeczność. Nie do pomysłenia natomiast wydaje się milczenie władzy, która swa prawomocność wywodzi z aktu mówienia. Nie może też ona, co chyba zrozumiałe, dopuścić innych do głosu. Prędko dorównałoby to do zakwestionowania podstaw jej bytu. Tak oto nieprzerwana produktywność językowa i ranowanie w rzeczywistości społecznej osiągają doskonałą tożsamość. Dlatego prawdą jest, że

##### 5. Być przy głosie to być u władzy.

Tożsamość tę można rozbić na dwa przeciwie zorientowane ciągi rozumowań. Pierwszy: ponieważ mówię, ponieważ utrzymuję się przy głosie - więc władam, panuję nad tymi, którzy słuchają. I drugi: skoro jestem u władzy - mówię, wypowiadam rozkazy (po to, by być słuchane). Jak łatwo zauważyć, kierunek wynikania zmienia się, przesłanka poszukiwania zajmuje miejsce wniosku, wniosek staje się przesłanką. Całe to rozumowanie jest zwrotne czy może raczej "koliste", zdaje się nie mieć początku. Tożsamość - raz osiągnięta - rozciąga się wtórnie poza granice ustanawiającego ją aktu. To dlatego władza słowa u początków swego panowania podjęła głośną działalność językową, której nie uzasadniała ani tradycja, ani charyzma, ani prawo. W chwili później, gdy osadziła się we władczym dyskursie, już była legalna. I nadal pozostaje legalna - o tyle, o ile utrzymuje się przy głosie, a jest legalna dlatego, że czyni to właśnie.

Ale tożsamość mówienia i panowania odgrywa znacznie ważniejszą rolę. Już wcześniej wspominałem o tym, że milczenie to znak słabości, zapowiedź upadku, stawia ono bowiem władzę słowa na granicy niebytu (lub nawet osuwa ją w niebyt). Teraz chciałbym zwrócić uwagę państwa na inny jeszcze aspekt sprawy. Mam na myśli nieograniczoną swobodę słownych manifestacji. Wiadomo dobrze - pisano o tym wielokrotnie - że wypowiedzi władzy nie dążą do prawdy rozumianej jako zgodność z rzeczywistością, lecz przeciwnie - niczym nie skrępowane - powiększają rozdział między mową i światem. Nie tylko. Uporczywość w utrzymywaniu się przy głosie zwalnia władzę słowa z konieczności logicznego i merytorycznego uzgadniania kolejnych wypowiedzi. Nie musi ona w jakimkolwiek stopniu bród pod uwagę tego, co powiedziała, co nawet wypowiedziała przed chwilą. W dowolny sposób może formować swój władczy dyskurs, niespodziewanie przechodzić od afirmacji do negacji, zaprzeczać swym wczorajszym deklaracjom, przedstawiać słuchającym nowe. W żadnej mierze nie narusza to ani podstaw, ani też ciągłości jej istnienia. Ideologiczne kryzysy, tak niebezpieczne dla każdej innej władzy, przynoszą jedynie niewiele znaczącą odmianę dyskursu, ponieważ

6. Nieciągłość i sprzeczność ideologicznych wypowiedzi władzy  
słowa jest neutralizowana przez ciągłość stanowiących je aktów mówienia.

Gdyby było inaczej - czy władza ta mogłaby tak długo nie oddawać innym miejsca? I czy byłaby identyfikowana jako ciągle ta sama władza? Jeśli przyjrzeć się jej niedługiej historii - pełnej ideologicznych zakamów i kryzysów, składającej się z okresów "błędów i wypaczeń" i z okresów "odnowy" - trudno nie zauważyć, że jedyną sferą, w której osiągnęła bezsporną tożsamość i ciągłość swych manifestacji, jest czysta działalność językowa. Wynika stąd, że

#### 7. Władza słowa może mówić cokolwiek.

Cóż jednak znaczy owo "cokolwiek"? Czy istotnie prawdą jest, że w swej językowej swobodzie mówienia władza słowa nie jest związana żadnym przymusem? Ktoś z państwa - zniecierpliwiony - zwróci mi w końcu uwagę, że nie uwzględniłam w dostatecznej mierze udziału siły militarnej i ekonomicznej. To dzięki niej przecież władza słowa tak długo i nieprzerwanie utrzymuje się przy głosie. Prawda, lecz każda siła, pozostawiona sobie, jest ślepa i nie ona ustanawia władzę. Po to, by władza, jakakolwiek władza, mogła powstać, konieczny jest akt wstępny, konstytucyjny: **p r z e k r o c z e n i e b e z p o s r e d n i o s c i**. Siła musi odnaleźć drogę do sfery symbolicznej i tam dopiero konstytuuje się jako władza. Rozpoczyna się wówczas dwukierunkowa wymiana, która przybiera niekiedy bardzo drastyczne formy. Oto bowiem władza próbuje zapanować nad żywiołem społecznym, Powraca więc do swych źródeł, znów staje się "bezpośrednia", lecz tym razem siła, jaką posiada, nie jest już ślepa. Kieruje nią projekt ustanowiony w sferze symbolicznej. Projekt ten nie jest nigdy ostateczny. Ponowne zetknięcie z żywiołem społecznym skłania władzę - władzę idealną, jak u Arystotelesa - do rewizji wcześniejszych postanowień (ter, kto mówi, powinien również słuchać) i tym sposobem dokonuje się stopniowo mediatyzacja rzeczywistego bytu i sfery symbolicznych przedstawień. Powstaje prawo, powstaje ekonomia, powstają ideologie...

Władza słowa wprowadza w tym mechanizmie istotną zmianę, co stawia ją w opozycji do wszelkich innych typów panowania. Przekroczenie bezpośredniości nie jest wstępem do późniejszych stopniowych mediatyzacji. W wypadku władzy słowa to akt jednorazowy i ostateczny. Apodyktyczność i arogancja, z jaką obraca się następnie ku rzeczywistości, świadczy o tym, że sfera symboliczna, zwłaszcza zaś język, staje się prędko jedyną domeną jej działań. W tym nowym sprzężeniu siły i mowy niewiele znaczą już ekonomia czy ideologia. Władza słowa przyznaje im funkcje wyłącznie symboliczne. Dyskurs ekonomiczny (ideologiczny) nie jest już drogą ku uymykającej i nieustannie zmiennej rzeczywistości, lecz fantazją na jej temat - fantazją, która raczej swego istnienia odnajduje wyłącznie w tym, co należy do porządku mowy. Nic zatem dziwnego, że

#### 8. Władza słowa totalizuje przestrzeń, w której mówimy.

"Czysta", pozbawiona więzi z rzeczywistością działalność językowa mogłaby być bez trudu zakwestionowana i zniesiona przez dyskurs, w którym słowa i rzeczy stępląby znowu naprzeciw siebie. Znamienne, że w wielu, tak bardzo przecież zróżnicowanych analizach funkcjonowania tej władzy przewija się ciągle ta sama myśl: powrót do prawdy (lub choćby do kłamstwa, bo nawet ono ma na względzie to, co rzeczywiste) oznaczałby koniec władzy słowa, położyłby kres panowaniu fikcji. Nic takiego jednak nie następuje, ponieważ

#### 9. Gdy władza słowa zabiera głos - zabiera go innym.

Jest w jej poczynaniach coś, co rzuca się w oczy w pierwszej chwili: szczególna dbałość o zachowanie uprzywilejowanej pozycji w przestrzeni komunikacyjnej. Władza osiąga ją w chwili, gdy wypowiada pierwsze słowo, i następnie - ustanawiając cały szereg instytucjonalnych wzmocnień i zabezpieczeń, pośród których cenzura jest najbardziej widoczna - utrzymuje aż po swój kres. Mamy tu do czynienia z czymś więcej niż z pospolitą pragmatyką panowania. Akt demonstracyjnygo



"zabrania głosu" kryje w sobie mroczną głębię, którą po raz pierwszy chyba dostrzegł Nietzsche.

Muszę w tym miejscu odwołać się do wywodu Michela Foucaulta - tym bardziej, że patronuje on wygłoszonej przed chwilą tezie. We fragmencie "Słów i rzeczy" który chcę teraz państwu przypomnieć, Foucault rozważa fundamentalne pytanie postawione przez Nietzschego w "Genealogii moralności" (I, par. 5). Píše: "Rzeoz - wedle Nietzschego - tkwika nie w tym, by wiedzieć, czym są same w sobie dobro i zło, lecz w tym, by wiedzieć, kto był oznaczony, a raczej, k t o mówić, gdy dla oznaczenia samego siebie powiedział Agathos, zaś Deilos dla oznaczenia innych. Albowiem to tam, w tym kimś, kto z a b i e r a głos, kto w gruncie rzeczy z a b i e r a go innym, by m i e ć ostatnie słowo, zbiera się i skupia całą mową".

Byłoby chyba rzeczą zbytęzną, abym i ja raz jeszcze "zabrał głos" w sprawie, którą z tak wielkim trudem próbowałem państwu zreferować. Powiem tylko, że to władza jest dzisiaj - tu i teraz - tym kimś, kto mówi, kto podstępnie osadził się w przestrzeni komunikacyjnej i zagarnął dla siebie język.

Mam nadzieję, że mój dotychczasowy wywód nadał władzy słowa dostateczną wyrazistość pojęciową. Powyższe tezy nie są być może jeszcze należycie uzasadnione, lecz - jak sądzę - przynajmniej jedna z nich nie powinna budzić niczyich wątpliwości. Potwierdza ją codzienne doświadczenie. Każdy, kto spróbuje otwarcie, to znaczy imiennie i oficjalnie zabrać głos (w mowie lub piśmie) natychmiast stanie twarzą w twarz z Władzą obecną w języku i poza nim.

Jeśli jednak istotnie jest tak, że Władza totalizuje przestrzeń komunikacyjną, jak w takim razie możliwe jest mówienie? Otwarte mówienie p r z e c i w Władzy, w b r e w niej?

Pytanie to kieruje nas w stronę Literatury. Nie mogłaby ona w ogóle istnieć, gdyby nie znała sposobów pozwalających jej utrzymywać się przy głosie w obliczu Władzy. Wielu r ó ż n y c h sposobów, które wyznaczają dzieje jej nieprzerwanej obecności w historii.

#### 10. Literatura i Władza to formacje przeciwstawne - równorzędne wobec mowy i dlatego antagonistyczne.

Literatura z równa niekiedy łatwością, choć w znacznie lepszym stylu niż Władza, panuje nad żywiołem mowy i wymyka się przymusom, jakim podlega głos codzienności. Powoływane przez nią do życia byty językowe - w równym stopniu bezinteresowne wyznanie liryczne, co satyra czy paszkwil - zagrażają władzy słowa i mogłyby bez trudu znieść ją i zająć oswobodzone miejsce, gdyby ta nie miała oparcia w sile pozasłownej, dzięki której kontroluje przestrzeń mówienia i zapewnia w niej sobie niepodważalne miejsce. Siła ta jest jednak faktem. Dlatego tylko na krótkie chwile i tylko podstępnie Literaturze udaje się wkroczyć na teren zajmowany przez Władzę - i drwić z niej, obnażać i rozbrajać tworzone przez nią konstrukcje językowe - lub ostentacyjnie wskazywać na swą obecność. Zwycięstwo, jakie Literatura może osiągnąć, jest więc czysto słowne. W każdej chwili łatwo je unieważnić, ponieważ nie podtrzymuje go siła pozajęzykowa. Nigdy jednak do końca i bez reszty nie jest ono zatarte. Nawet krótkotrwałe zwycięstwa Literatury pozostawiają w języku trwałe ślady.

W walce, na jaką jesteśmy skazani - z językiem i z panoszącą się w nim Władzą - Literatura staje po naszej stronie. Nie wyrzeka się cierpienia, nie odrzuca języków indywidualnych. Przeciwnie, wychodzi od doświadczeń tych wszystkich, którzy mówią pod podwójną presją - języka i władzy słowa. Przekraczając doraźność wypowiedzianych przez kogoś słów, Literatura ocala je, wydobywa ze zgiełku codzienności i obdarza donośnością równą tej, jaką posiada mowa Władzy. A przy tym nie stwarza sytuacji opresyjnych - słowa te nie układają się bowiem w "dyskurs rodzący niedostatek".

## 11. Literatura jest wielogłosowa i dlatego "niewinna".

Nie ma w niej sił, które wynosiłyby jakiś jeden rodzaj wypowiedzi ponad inny, jedno słowo ponad drugie. Wewnętrznie różnicują się one, to prawda, lecz wedle demokratycznych zasad: nowości, oryginalności, wyczerpania... Wszelkie natomiast mechanizmy krytyczne, porządkujące i hierarchizujące Literaturę, są wtórne i pochodzą spoza granic. W tym sensie krytyka literacka zawsze jest "polityczna", wiąże bowiem Literaturę z bytem społecznym. Tak samo zresztą postępuje polityczna krytyka władzy słowa. W obydwu wypadkach idzie o to, by czytając działalność językową poddać próbie rzeczywistości. Podobieństwa nie powinny jednak przysłaniać różnic.

## 12. Literatura jest mową bez Władzy.

Wielokrotnie już była przedstawiana w tej postaci. "Wykład" Barthesa, podobnie mój "Referat", odwołuje się do zakorzenionego w tradycji obrazu Literatury jako sfery wolności i mówienia. Zwiększa chyba w Polsce jest to tradycja żywa. Od dawna Literatura ustanawia swój byt w opozycji do kolejnych władz i władców. I w walce z nimi, w różnicy raczej niż tożsamości i afirmacji odnajduje swój sens, swoje powołanie, swą godność.

Oczywiście nie zawsze, oczywiście nie cała Literatura. Podobnie jak język, i ona idzie niekiedy na służbę Władzy - tej czy innej. Czy zyskuje wzamian poczucie bezpieczeństwa? Niewątpliwie. Przyjmując formułę panegiryzmu, który zna tylko jeden rodzaj modalności: afirmację, może liczyć na niemałe względy afirmowanej Władzy. Ale nie tylko. Zyskuje wówczas znacznie więcej - świat cudozy, już uporządkowany przez ideologię, obiecano przez Władzę. Gdy ponadto uzna zasadę partyjności, wówczas wszelkie jej wypowiedzi zyskają stałą orientację interpretacyjno-aksjologiczną a świat, wymykający się nieustannie poznaniu i mowie, zastępuje w jednej postaci.

Z rozmaitych powodów, których nie jestem tu w stanie wyliczyć, Literatura albo dobrowolnie, albo pod przymusem rezygnuje niekiedy z dostępnego jej, choć trudnej do osiągnięcia wolności w przestrzeni mowy. A czyniąc to, sprzeniewierza się samej sobie, staje się częścią władzy słowa, jej przedłużeniem, narzędziem. Stan ten nie trwa jednak długo i nigdy nie obejmuje całej Literatury. Nigdy nie jest ona bez reszty panegiryczna, ideologiczna czy partyjna. Zawsze przecież jakaś jej utajona część przetrwa i prędzej czy później odrodzi się w nowych wypowiedziach, które wznowią grę z Władzą o język i o miejsce w przestrzeni mowy. Bez wątplenia (zaznaczam w ten sposób banalną bezspornność kolejnej tezy)

## 13. Literatura jest niezniszczalna.

I w pewien sposób wieczna, ponieważ istnieć będzie tak długo jak język, który stanowią jej zagrożone dziedzictwo. Pokusa identyfikacji, przejścia na stronę Władzy nie jest nigdy tak wielka, by cała Literatura jej uległa i wyrzekła się swej autonomii, presja nigdy tak silna, by zniszczyć wszelkie formy istnienia. Słowa wykluczone z przestrzeni mowy, niecenzuralne, wymierzone w stabilność Władzy kryją się w szczelinach totalizacji. Literatura "schodzi do podziemia", tworzy utajone sfery swej społecznej obecności, przysłania się maską aluzji, peryfraz, alegorii. Zmienia się wówczas jej społeczna donosność, lecz ona sama wcale się nie zmienia w tym, że nadal prowadzi paradoksalną walkę z językiem i przeciwstawia się władzy słowa. Dopóki mowa rozbrzmiewa w świecie i ludzie mówią (choćby szeptem i tylko "do siebie"), dopóki nie zostało im odebrane prawo posługiwania się językiem na własny użytek - Literatura nie zniknie z powierzchni ziemi. Żadnej jeszcze Władzy nie udało się zmusić tych, nad którymi panuje, którym włada, do ostatecznego wycofania się z mowy, do milczenia. Nawet długotrwała presja władczego dyskursu, zalew "mowy niczyjej" produkowa-

nej przez władzę słowa nie unicestwi mechanizmu indywidualnej ekspresji. Obrona własnego języka przed interwencją wrogich i obcych słów jest przecież obroną bycia.

Dopiero w tym miejscu mogę, a nawet chyba powinienem już podjąć "historyczny" temat mojego wystąpienia. Dopiero teraz bowiem, gdy ontologiczne (sięgające podstaw istnienia) i polityczne (wynikające z usytuowania w przestrzeni mowy) przeciwieństwo Literatury i Władzy, zwłaszcza zaś władzy słowa, zostało tu pokrótce przedstawione, mogę sobie pozwolić na zmianę perspektywy. Odtąd, mówiąc o literaturze i Władzy, będę wskazywał na c z a s, który spośród wielu teoretycznie możliwych form ich współistnienia wybiera zawsze jedną i nadaje jej historyczną konkretność.

Oczywiście, każde rozprawianie - a więc i mój referat - czy tego chcę czy nie, zawsze ulega presji czasu i w tym sensie jest historyczne. O jakiej Władzy mogłem tu w końcu mówić, jeśli nie o tej, której słowa obracają się przeciwko mnie a która sama siebie nazywa niekiedy "ludową", niekiedy "robotniczą" a czasem jeszcze "komunistyczną"? O jakiej literaturze jeśli nie o zwracającej się do mnie (równie dobrze jak do innych) literaturze polskiej? Ale rozprawianie, gdy nadmiernie ufa przypisanej mu historyczności, prędko wkracza w martwą fazę. Podobnie i tym razem. W obowiązującej dotąd perspektywie antagonizm Literatury i Władzy wydaje się nierozwiązywalny. Władza, choć posiada wystarczającą siłę, nie skazuje całej Literatury na wygnanie, ta natomiast nie znajduje w sobie dostatecznych możliwości czy środków, by wyprzeć Władzę z przestrzeni mowy i poprzestać na mniej lub bardziej skutecznej dywersji. Układ ten jest stabilny i mógłby - tak się wydaje - trwać wiecznie, gdyby nie interwencje z zewnątrz.

Taką zewnętrzną interwencją był w Polsce Sierpień.

Ch.M.

## Under western eyes

Widowisko telewizyjne "Kwadratura koła" ("Squaring the circle") powstało na Zachodzie w dwa lata po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce. Najpierw ERICSSON ASSOCIATES - firma researcharska, a więc trudniąca się profesjonalnym gromadzeniem informacji na zadany temat - opracowała szczegółową kronikę wydarzeń, jakie rozgrywały się w naszym kraju od Sierpnia 80 do połowy grudnia 81. Następnie TOM STOPPARD - pisarz, dramaturg, autor scenariuszy filmowych - wydobyl z surowego materiału skondensowaną wizję, która przybrała kształt kilkudziesięciu scen i dialogów. Wyreżyserował widowisko MIKE HODGES obsadzając w roli Lecha Wałęsy - BERNARDA HILLA, wicepremiera Rakowskiego - ALECA MCCOWENA, Stanisława Kani - ROYA KINNEARA, Edwarda Gierka - JOHNA WOODVINE'A, generała Jaruzelskiego - RICHARDA KANE'A, Jacka Kuronia - DONA HENDERSONA, Leonida Breżniewa - FRANKA MIDDLEMASSA, a w roli wsządobyjskiego i świetnie poinformowanego (choć nie zawsze od razu pojmującego prawdziwy sens zjawisk) zachodniego korespondenta

w Warszawie - RICHARDA ORENNE. Muzykę - garściami czerpiąc z Chopina - ekomponował ROY BUDD, a kamerę poprowadził w ozasie zdjęć MICHAEL GARFATH.

Czy najnowsza historia Polski może wzbudzić zainteresowanie w oczach Zachodu? Twórcy "Kwadratury koła" zdają się odpowiadać: może, ale trzeba ją odpowiednio podać. Zawiłe układy wewnętrzne i niezatwe stosunki z sąsiadami trzeba narysować grubą krechą, z postaci występujących na politycznej scenie wydobyć najbardziej charakterystyczne cechy, na napięcia i starcia między nimi - spojrzeć przez pryzmat, który ujawni ich aspekt komiczny. W efekcie otrzymujemy komiks - pędzący do przodu jak ekspresowy pociąg, skrzający się błyskotliwymi epizodami i wyszukaną grą słów; otrzymujemy widowisko, które gwarantuje, iż masowego widza Zachodu (w końcu przede wszystkim dla niego ten towar!) nie znudzi.

Tego, że "Kwadratura koła" jest komiksem nikt przed nami nie ukrywa. Już w pierwszej scenie NARRATOR mówi: "Wszystko jest prawdziwe. Oprócz słów i obrazów". Wkraczamy wraz z nim w świat skondensowany, przerysowany, umowy (podkreśla to scenografia, która minimalnymi reżyserskimi to samo pomieszczenie przekształca w miejsce posiedzeń KC PZPR, salę BHP w Stoczni Gdańskiej czy halę "Olivia" albo idealyczną figurę Matki Boskiej stawia w szpitalu, w którym przebywa powalony przez zawał serca Gierek i w tym, w którym leży pobity przez milioję Rulewski). A przecież film - mimo wszystkie uproszczenia i skróty - dostarcza zupełnie przyzwoitego klucza do najnowszych dziejów Polski, daje możliwość do przyjęcia wersji szkicowego ujęcia całości dramatu. Szereg zagadnień - trzeciorzędne znaczenie postaci takich jak Babiuch czy Pińkowski, przełomowe znaczenie wydarzeń bydgoskich, różnice między linią Wałęsy i radykałów "Solidarności", napięcia wewnątrz PZPR - przedstawiono sięgając samego ich sedna. I jest to walor filmu zasługujący na najwyższe uznanie.

"Kwadraturę koła" przygotowano dla widza zachodniego, którego wiedza o prezentowanych na ekranie wypadkach z konieczności musiała być dosyć mglista. Czy widowisko to może coś dać tym, którzy wypadki owe sami przeżyli? Chyba tak. Pozwala bowiem spojrzeć na polskie sprawy oczyma obserwatora pozostającego na zewnątrz głównego pola gry; zarazem obserwatora, który trzymając się na dystans, nie zapomina przecież o własnych interesach. Pozwala na "wzrucie się" w tego obserwatora emocje i opinie.

Otóż opowiadając się generalnie po stronie "Solidarności", nie są autorzy filmu jednostronni. Ukazując niezręczności i potknięcia władzy, nie kryją niezręczności i potknięć drugiej strony (kompromitujące przemówienia Jurczyka, nie zamierzony żart, jakim w oczach profesjonalnych polityków mogło się okazać "Pożądanie do narodów Europy Wschodniej", tarcia w Prezydium Związku etc). Patrząc na historię Polski - zwłaszcza na dziewiętnastowieczne niepodległościowe zrywy - autorzy filmu wyrażają uznanie i sympatię, ale przecież nie sposób nie wyczuć przebijającego przez nie tonu wyższości i rozbądzania. I może jeszcze jedna uwaga - dla autorów filmu sprawa Polski jest przede wszystkim sprawą Rosji. Zachód może się nią interesować, fascynować, nawet roznamietniać, ale w razie czego to nie on podejmie działania. A zachodni bankierzy - kapitalnie w filmie ukazani - bardzo chłodno przeanalizują wszystkie aspekty sytuacji...

Nie brak w utworze Stopparda i Rodgesa miejsc, które polskiego odbiorcę mogą rozczarować, zastanawiać czy burzać. Ale przecież jednocześnie skłaniać do refleksji. Wzbogacającej, bo odmiennej od tej, jaką mógłby rodzić film na ten sam temat, przez któregośkolwiek polskiego reżysera nakręcony z myślą o rodakach.

Tom Stoppard

## Kwadratura koła

Część pierwsza

Plaża i błękitne morze, które na pierwszy rzut oka zdradzają, iż są tylko malowaną na płótnie dekoracją (teatralna umowność cechować będzie wszystkie plenery i wnętrza występujące w filmie). Z przeciwnych stron wołno, pełnymi dostojeństwa krokami, zbliżają się ku sobie dwie postaci; w kapeluszach, w ciężkich, zimowych płaszczach. Rozlega się głos niewidocznego na razie NARRATORA.

NARRATOR Dwudziestego ósmego lipca 1986 roku Edward Gierek, pierwszy sekretarz Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej - to znaczy szef komunistycznej Polski - opuścił Warszawę, jak co roku udając się na wczasy w Związku Radzieckim, nad Morzem Czarnym. Spotkał się tam z Leonidem Breżniewem, sekretarzem generalnym Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. W atmosferze serdeczności i pełnego wzajemnego zrozumienia dwaj przywódcy dokonali szczerzej wymiany poglądów.

BREŻNIEW Toooowwaaarzyszu!!! He! he! he!

Dwie postaci padają sobie w ramiona, całują się "z dubeltówki".

BREŻNIEW Towarzyszu - jako wasi przyjaciele i sojusznicy na marszu ku nieuchronnemu tryumfowi marksizmu-leninizmu jesteśmy zaniepokojeni ... Jesteśmy głęboko zaniepokojeni ostatnimi naruszeniami norm lenińskich, jakich dopuszczają się polscy robotnicy manipulowani przez elementy rewizjonistyczne wywodzące się spośród polskiej inteligencji...

GIEREK Towarzyszu Sekretarzu Generalny! Jako wasi przyjaciele i sojusznicy w zmaganiach proletariatu ze światowym kapitalizmem...

Gierek mówi coś dalej, ale jego słowa ulegają wyciszeniu. Pojawia się NARRATOR.

NARRATOR To nie jest tanta rozmowa. A to nie jest Morze Czarne. Wszystko jest prawdą. Oprócz słów i obrazów. Bo jeśli była plaża, to Breżniew i Gierek najprawdopodobniej nie prowadzili tam rozmów. A jeśli nawet prowadzili, to raczej nie nosili - na plaży, w lipcu - tych kapeluszy, tych ubrań i tych sznurowanych wysoko butów, które nosi się będąc komunistycznym przywódcą. Ostatecznie to miały być ich wczasy.

Gierek i Breżniew pojawiają się przebrani w szorty, kolorowe koszule typu "urlop na Hawajach" i słomkowe kapelusiki. Z wysbkich szklanek sączą orzeźwiający trunki. Erzygrywa im skocznie zespół mandolinistów.

NARRATOR Zreszta, gdyby przyjrzed się sprawie dokładniej, Gierek i Breźniew najprawdopodobniej nie mówili do siebie jak redaktorzy "PRAWDY". Bo jeśli jesteś szefem KPZR, i jeśli masz dwadzieścia dywizji pancernych w WRD, i jeśli twoje linie zaopatrzenia muszą przebiegać przez Polskę, i jeśli polscy kolejarze prowadzą strajk - to na pewno nie powiesz, że jesteś "głęboko zaniepokojony naruszeniami norm leninowskich". Powiesz raczej:

BREŻNIEW Co u diabła się u was dzieje, chłopaki?! (uderza pięścią w stół). Kto rzadzi krajem, co?! Wy czy maszyniści kolejowi?! Wszystko staje, a wy i bez tego nie możecie się wypłacić niemieckim bankierom... amerykańskim bankierom...szwajcarskim bankierom... Tego tylko brakowało, żebyście chcieli pożyczyc od nas!!! (odwraca się do sekretarza) Ile im właściwie trzeba? Milionów czy miliardów?!

SEKRETARZ Trylionów.

BREŻNIEW Trylionów rubli!!!!

SEKRETARZ Złotych.

BREŻNIEW Zamknij się!

NARRATOR Kto wie? Może jednak działa się wówczas coś, co jest prawdą - nawet jeśli większość tych słów i obrazów została wymyślona. Między sierpniem 1980 roku a grudniem roku 1981 w Polsce próbowano połączyć dwie idee, które ani rusz nie chcą do siebie pasować. Ideę wolności w znaczeniu takim, w jakim pojmowana jest na Zachodzie. I ideę socjalizmu w znaczeniu takim, w jakim rozumie się ją w imperium sowieckim. Próba zakończyła się klęską, ponieważ połączenie takie jest niemożliwe. W tym samym sensie, w jakim w geometrii niemożliwością jest przekształcenie koła w kwadrat o takiej samej powierzchni - nie dlatego, że nikt nie potrafił odkryć rozwiązania, ale dlatego, że rozwiązanie nie istnieje. To, co zdarzyło się w Polsce, to działanie ludzi, którzy przez szesnaście miesięcy próbowali zmienić kształt systemu nie zmieniając powierzchni, jaką zajmował kształt pierwotny. Przegrali...

## C z o ł ó w k a

Migawkowe ujęcia ukazują większość postaci, które wystąpią w filmie. NARRATOR - pracowicie wystukujący na maszynie tekst korespondencji - okazuje się w tym momencie bawiącym w Polsce zachodnim dziennikarzem.

NARRATOR 14 sierpnia, kiedy Edward Gierek bawił jesoze w towarzystwie Leonida Breźniewa nad Morzem Czarnym, Stocznia Gdańska rozpoczęła strajk. Następnego dnia Gierek wrócił do domu.

## C z ę ś ć I

### PIERWSZY SEKRETARZ

Ryk odrzutowych silników i metalowe pomosty przypominające te, po których wkracza się na pokład samolotu, sugerują, że scena rozgrywa się na lotnisku. Na końcu pomostu ukazuje się Edward Gierek.

ŁUKASZEWICZ Witam was, towarzyszu! Przykro mi, że musieliście przezwalczyć urlop.

GIEREK (wręczając Łukaszewiczowi walizkę) Nie upuść tego!

ŁUKASZEWICZ Towarzysz Kania jest w Gdańsku.

GIEREK Dlaczego?

ŁUKASZEWICZ Dlaczego?! W Stoczni Lenina nastąpił kompletny przestój. Tamtejszy sekretarz wpadł w kompletną panikę.

GIEREK Wiem o tym. Ale co to za członek Biura Politycznego, który gna nad morze tylko dlatego, że złamano zasady dyscypliny pracy!

EUKASZEWICZ Przecież sami wysyłałście Jagielskiego, żeby opanował strajk kolejarzy.

GIEREK Złamanie zasad dyscypliny pracy w kolejnictwie to była zupełnie inna sprawa!

EUKASZEWICZ Kania twierdzi, że dopiero teraz to jest zupełnie inna sprawa!

GIEREK Ile chcą?

EUKASZEWICZ Dwa tysiące miesięcznie. Ale to nie pieniądze nas prze-rażają.

GIEREK A powinny! Nie mamy pieniędzy!

Opuszczają pomost. U stóp schodów oczekuje samochód, a wokół niego grupka witających. Urodziwa stewardessa usiłuje wręczyć Gierkowi bukiet biało-czerwonych goździków.

BABIUCH (odpychając stewardessę) Nie teraz! (głośno, oficjalnym to-nem) Jak się macie, towarzyszu pierwszy sekretarzu!

GIEREK (tym samym tonem) Dziękuję, towarzyszu premierze!

NARRATOR Premier stoi rzecz jasna na czele rządu. Dzisiaj i w ciągu dni, które nadejdą, jego nazwisko brzmi: Babiuch.

GIEREK Przywiozłem ci trochę kawioru.

Podaje Babiuchowi snora buszkę. Po krótkiej chwili wacania odbiera mu ją i wręcza o połowę mniejszą.

NARRATOR Oprócz premiera Polska ma również wybory, parlament i głowę państwa. Zupełnie jak Wielka Brytania, Francja czy Ameryka. Jedyna różnica w stosunku do zachodniej demokracji burżuazyjnej polega na tym, że na Wschodzie wszystko to jest wystawą, podczas gdy sklepik prowadzony jest przez partię. Partia kontroluje wybory, partia domi-nuje w Sejmie, partia decyduje o nominacjach na najwyższe stanowiska. A wszystko to wynika z najgłębszej troski o interesy ludu pracującego...

Gierek i Babiuch dojechali już do gmachu EG, którego wejście zdobi wielkie popiersie Lenina (w kolejnych sekwencjach to samo popiersie zdobić będzie salę obrad w Stoczni Gdańskiej). W wejściu przybyli mi-jają się z Szydłakiem.

GIEREK Przywiozłem ci trochę kawioru.

NARRATOR ... kawior, linuzyny...

Za plecami NARRATORA pojawia się TAJNIK. Od tego momentu postać ta mniej lub bardziej aktywnie towarzyszyć będzie większości wydarzeń.

TAJNIK Muszę się wtracić. To przecież zwykli ludzie. To ludzie o <sup>zwykłych</sup> obywatelskich obowiązkach.

NARRATOR Dzieliłem się tylko moimi spostrzeżeniami...

TAJNIK To nie tak, proszę pana. Ja też nigdy nie widziałem prezy-denta Francji jadącego na rowerze i jedzącego bułkę z kiełbasą. I niech pan sobie zapamięta jeszcze jedno: nie mówi się "ZŁOTYS" tylko "ZŁO-ty".

NARRATOR Najmocniej przepraszam. (kontynuując po chwili) A działa to tak: zjazd partii w składzie około dwóch tysięcy delegatów, który zbiera się raz na pięć lat - nie licząc oczywiście wypadków nadzwyczajnych - wybiera dwuosobowy komitet centralny, który z kolei zbiera się...

od czasu do czasu, by nadzorować politykę partii. Aby wdrażać tę politykę - KC wybiera elitę wykonawczą: biuro polityczne. To nie jest posiedzenie rządu. To posiedzenie biura politycznego.

GIEREK Towarzyszu Kania!

KANIA W Gdańsku, w Stoczni Lenina, żądają: po pierwsze - podwyżki płac o dwa tysiące; po drugie - ponownego zatrudnienia zwolnionych wichrzycieli; po trzecie - podniesienia zasiłku rodzinnego do takiego samego poziomu, jak w milicji i SB; po czwarte - wcześniejszych emerytur; po piąte - pomnika przed główną bramą...

GIEREK Pomnika?!!!

KANIA Tak. Ku czci poległych w roku 1970. Przewodniczący strajkujących jest opętany myślą o wzniesieniu pomnika. Dyrektor stoczni próbował to zmienić na tablicę pamiątkową w stołówce, ale on upiera się przy pomniku. (wzdycha ciężko) Wysokim na 40 metrów...

GIEREK Czy ten facet zwariował?!!!

KANIA O nie!

GIEREK Kto to jest?

KANIA Wałęsa. Kiedyś już się z nim spotkaliście.

GIEREK Kiedy?

KANIA Dziesięć lat temu. Po rozruchach w 70. Byliście na rozmowach z robotnikami Wybrzeża. W Gdańsku spotkaliście się z trzyosobową delegacją. Wałęsa był jednym z nich. Taki z wąsami. Nie odzywał się. Przypominacie sobie?

GIEREK Nie...

KANIA Myślę, że możemy się zgodzić na pieniądze i na zatrudnienie wichrzycieli. To im musi wystarczyć! (tak samo jak poprzednie ciężko wzdycha) Przynajmniej powinno...

WRZASZCZYK Już jest więcej pieniędzy niż towarów! Mamy inflację. Byłaby jeszcze większa, gdyby nie sztuczne zaniżanie cen żywności. Ich subsydiowanie kosztuje nas już 300 miliardów rocznie. Tyle nam brakuje, żeby spłacić w tym roku długi zachodnim bankom.

GIEREK Tak. Nie możemy im dać pieniędzy. I tak nic za nie nie można kupić.

KANIA Można kupić trochę czasu!

GIEREK Znasz się na ekonomii?!

KANIA Byłem w Gdańsku

SZYDLAK Wyślijcie tam milicję. Siły bezpieczeństwa.

KANIA Tam nie ma żadnych zakłóceń porządku publicznego!

SZYDLAK Sam strajk jest zakłóceniem porządku publicznego! Jest nieelegantny! A jak milicja nie da sobie rady - poślijcie tam wojsko!

Jak na komendę wszystkie głowy obracają się w jedną stronę. Wszystkie oczy zawisają na obliczu generała Jaruzelskiego.

JARUZELSKI W jakim celu? Powiedziałem już w 1970, że niewydam polskiemu żołnierzom rozkazu strzelania do polskich robotników.

SZYDLAK Ale strzelali! I milicja i wojsko! I strajkujący podjęli pracę!

JARUZELSKI Nie wszyscy.



SZYDLAK Wszyscy!

JARUZELSKI Nie ci, których zabito.

Zapada przejmująca cisza. Po pauzie głos zabiera Gierek.

GIEREK Towarzysz minister obrony ma rację. Nie wolno nam powtórzyć Grudnia 70. Nawet wtedy ludzie w stocznicach nie przystąpili do pracy, póki nie przybyłem na rozmowy z nimi. W styczniu 1971 Plamy krwi nie zniknęły jeszcze z bruku, ja dopiero od miesiąca byłem pierwszym sekretarzem. Pikiety przy bramach nie poznały mnie. Musiałem wyjaśnić, kim jestem. Nic dziwnego. Czy kiedykolwiek wcześniej przywódca partii przybył do robotników, by rozmawiać z nimi na ich własnym terenie? I rozmawialiśmy. Powiedziałem im, że pracowałem w kopalniach. W Belgii. We Francji. Tymi rękami! Rozłożyłem je bezradnie. Powiedziałem: pomóżcie mi! Ja też jestem robotnikiem! Możemy zacząć od nowa! To może być nowy kraj! Druga Polska! Bogata Polska! A później trucizna raz jeszcze dostała się do żył systemu! I co można teraz zrobić?

KANIA Można odciąć połączenia telefoniczne z Gdańskiem.

GIEREK Nie! Nadszedł czas, żeby zdobyć się na szczerość. Musimy powiedzieć całemu krajowi, co się dzieje.

JARUZELSKI (z flegmatyczną ironią) Wszyscy słuchają zachodnich rozgłośni radiowych. Świetnie wiedzą, co się dzieje.

GIEREK Jeśli wiedzą, to tym bardziej możemy być szczerzy. I oczywiście część odpowiedzialności musimy wziąć na siebie. W radio. I w telewizji. Dzisiaj wieczorem.

BABIUCH Zrobisz to?

GIEREK Ja? Nie... To ty jesteś premierem!

Członkowie Biura Politycznego skupili się wokół telewizyjnego odbiornika. Na ekranie widoczny przemawiający Babiuch.

BABIUCH Opinia publiczna nie była dostatecznie informowana o naszych trudnościach, o stanie gospodarki i wielkich niepowodzeniach, jakie nas dotknęły. Nie przygotowaliśmy się dostatecznie na trudne czasy...

(Babiuch dalej przemawia, ale jego głos ulega wyciszeniu)

KANIA Co zrobimy, jeśli to nie da rezultatu?

GIEREK Zawsze jeszcze można wypróbować nowego premiera.

BABIUCH (na ekranie telewizora) Nie wszyscy zdają sobie sprawę, jaka jest naprawdę sytuacja ekonomiczna naszego kraju. Przerwy w pracy nie tylko szkodzą gospodarce narodowej, ale również uderzają w interesy ludzi pracy... (wyciszenie)

KANIA Już późno, a będę jeszcze dziś musiał wyjść z jakimiś propozycjami.

GIEREK Więc ile?

KANIA Półtora tysiąca, zatrudnienie wicherzycieli i ... (wzdycha ciężiej niż kiedykolwiek) ... i pomnik.

GIEREK To załatwi sprawę?

KANIA (bez wielkiego przekonania) Tak...

GIEREK Dobra. Idę do domu. I nie dzwońcie do mnie. Chyba, żeby coś zupełnie wyjątkowego.

BABIUCH (na ekranie telewizora) ... ich cele polityczne nie mają nic wspólnego z interesami ludu pracującego... (wyciszenie)

GIEREK (odchodząc i wskazując przemawiającego na ekranie Babiucha)  
A to dla towarzysza Bieżniawa!

BABIUCH Mamy zaufanych sojuszników, którzy również niepokoją się naszymi kłopotami, ale wierzą, że będziemy w stanie pokonać je sami. I z całego serca życzą nam sukcesu.

Kawiarnia. Na ekranie ustawionego nad barem telewizora również widać Babiucha. NARRATOR, po wysłuchaniu ostatnich słów premiera, wygłasza komentarz.

NARRATOR Zaufany sojusznik Polski to sąsiad ze wschodu, którego czujna i zastraszająca obecność odczuwana jest w Polsce od 1945 roku...

STARSZY PAN PRZY SĄSIEDNIM STOLIKU Od początku osiemnastego wieku!

NARRATOR Od początku osiemnastego wieku?

STARSZY PAN No dobra - od połowy. Ale nie później. Chce pan zrozumieć stosunki polsko-rosyjskie, a czy zna pan choć trochę historię Polski? (sposstrzega przestrasch na twarzy NARRATORA i śpieszy go uspokoić) to nie zajmie za wiele czasu.

NARRATOR (z rezygnacją) Mam nadzieję...

STARSZY PAN Nikt - poza samymi Polakami - nie pamięta, że przed trzystu laty kraj ten był największym i gwarantującym najpełniejszą wolności obywatelskie w całej Europie Środkowej. Rozciągał się od Bałtyku po Morze Czarne, sięgał na setki kilometrów w głąb terytorium dzisiejszej Rosji. Wielkość Rosji przyszyła później i została osiągnięta kosztem Polski. W XVIII wieku Polska dostała się w zasięg wpływów rosyjskich. To zaalarmowało inne wielkie mocarstwa - Prusy i Austrię. By je uspokoić - Katarzyna Wielka dała im po kawałku Polski.

Starszy Pan sięga po stojący na sąsiednim stoliku wiklinowy koszyczek z bułeczkami; będą mu służyły do zilustrowania wykładu.

STARSZY PAN (kontynuuje wykład rozkładając bułeczki na trzy oddzielne kupki) 1772 - pierwszy z trzech rozbiorów, które przed upływem osiemnastego stulecia doprowadziły do całkowitego zniknięcia państwa. Jak na ówczesne stosunki, Polska była krajem głęboko liberalnym. Musiała zostać zgnieciona przez trzy imperia. Jeszcze w 1795 roku Polska - czy też raczej to, co z niej pozostało - zbankrutowała się i właściwie wtedy mocarstwa zakończyły swoją robotę. Później, przez ponad sto lat, Polska pozostawała przede wszystkim idea. Idea podtrzymywana przy życiu przez ruch podziemny w kraju i przez emigrantów. To był okres romantycznej egzaltacji...

NARRATOR (z uśmiechem tyleż pełnym sympatii, co protekcyjnym) Wiem, wiem ... Słyszyszam... Młodzi ludzie... Konspirowali i grali na fortepianach w Paryżu... Jestem pełen podziwu.

STARSZY PAN Czekali na cud. I w roku 1918 cud się ziścił, gdy równocześnie upadła mocarstwość austriacka, niemiecka i rosyjska. Zwycięzcy spotkali się w Wersalu i na powrót umieścili Polskę na mapach (zgarnia wszystkie bułeczki na jeden pokaźny stosik). Ta Polska przetrwała aż do sowiecko-hitlerowskiego paktu z 1939 roku (rozdziela stosik na dwie połowy). Później najeźdźcy pokłócili się ze sobą, Hitler przegrał, a kiedy alianci spotkali się nad mapą w Jałcie - i Roosevelt i Churchill zadecydowali: "Niech Stalin zatrzyma sobie swój kup!" (zgarnia wszystkie bułeczki na brzeg stołu i strąca do koszyka). To jest prawdziwy obraz. Poza bułeczkami. W polskich kawiarniach nie ma zwyczaju stawiania na stolikach koszyków z nie wliczonymi do rachunku bułeczkami.

Gabinet Gierka.  
Dzwoni telefon.

GIEREK (w słuchawkę) Przecież mi obiecywałeś, że to załatwi sprawę!

W sali posiedzeń Biura Politycznego

KANIA Właściwie wszystko bez zmian. W Stoczni przegłosowali kontynuację strajku. Jest nowe wsparcie dla elementów radykalnych.

SZYDLAK Co znowu? Jakie wsparcie?

KANIA Stocznia umacnia solidarność z innymi strajkującymi zakładami.

GIEREK (z przekąsem) Solidarność...

KANIA (żywo zaprzeczając) Nie taka jak inne. Nie mamy już do czynienia z samą stocznia, ale z komitetem strajkowym reprezentującym 150 fabryk i zakładów.

SZYDLAK To już prawdziwy skandal! Co oni wygadują o niezależnych związkach zawodowych?! A te inne żądania?! Zniesienie cenzury! Dostęp do środków masowego przekazu! Prawo do strajku!

GIEREK To wszystko dlatego, że dotychczasowe związki zawodowe oderwały się od mas!

SZYDLAK A to co za mowa?!

GIEREK Pożegnajcie się ze stanowiskiem, towarzyszu. Niezależne związki zawodowe są oczywiście poza dyskusją, ale reforma dotychczasowych jest konieczna. Tak! Reforma związków zawodowych. I teraz to ja muszę z nimi porozmawiać.

KANIA Chcecie, żebym pojechał z wami do stoczni, towarzyszu?

GIEREK Nie. Porozmawiam z nimi przez telewizję.

GIEREK (na ekranie telewizyjnego odbiornika) Jakiegokolwiek akcje, które uderzają w podstawy porządku politycznego i społecznego w Polsce nie mogą być i nie będą tolerowane. Chciałbym powiedzieć tak szczerze, jak tylko mogę, że mamy świadomość, iż poza wieloma czynnikami obiektywnymi, na sytuację wpłynęły pewne błędy w polityce ekonomicznej. Rozumiemy rozgorzczenie i zniecierpliwienie mas pracujących trudnościami w życiu codziennym, brakami w zaopatrzeniu, kolejkami...

Pod sufitem studio, w którym przemawia Gierek, stoją na pomoście dwaj operatorzy świateł. Leniwie palą papierosy strząsając popiół na siedzzące w dole rówce.

I OPERATOR Jakbym to już kiedyś słyszał...

II OPERATOR Ta sama drętwa mowa. Wszystko się powtarza...

GIEREK (na ekranie telewizora) I znowu musi być lepiej. Razem musimy znaleźć wyjście z tej sytuacji.

Gierek kończy przemówienie. Podbiega do niego rozentuzjasmowany Maciuś Szczepański.

MACIUŚ Dobrze! Doskonale! Cudownie! Przy okazji - jak ci się podoba ta biblioteka?

Biblioteka przesuwana na szynach atrapa - przemieszcza się w bok odsłaniając czuwających za nią tajników.

GIEREK Ładna. Bardzo ładna...

MACIUŚ Edward, naprawdę myślisz, że jest im tak źle?

GIEREK Komu?

MACIUŚ Ludziom. Przecież nie mnie...

GIEREK Ile ty masz samochodów, Maciek?

MACIUS Samochódów? Nie wiem. Kto by liczył?

GIEREK Kania.

MACIUS Kania? I ile mu wyszło?

GIEREK Osiemnaście.

MACIUS Osiemnaście... No i dobrze, towarzyszu, Przewodniczący komitetu do spraw radia i telewizji zasługuje chyba na coś koło tego...

GIEREK Ile masz domów? Samolot? Jacht? I klub z żeńską obsługą o najwyższych kwalifikacjach... Tak, tak... Kania naprawdę się tobie interesuje.

MACIUS To jego zawód.

GIEREK Ale przy okazji interesuje się również mną! Ile kosztował ten drobiazg, który mi ofiarowałeś na 65 urodziny?

MACIUS No ... jak to złoto ... Zresztą - kto wybudował twoją wiejską rezydencję za 23 miliony? Służymy partii, a partia nas za to wynagradza. Czym ty się, Edek, przejmujesz?

Pokój, którego całą ścianę zajmują półki z książkami. W fotelach siedzą dwaj mężczyźni. Oglądają nadawaną w telewizji retransmisję przemówienia Gierka.

GIEREK (na ekranie telewizora) Wysyłki nieodpowiedzialnych jednostek i anarchistycznych grup antysocjalistycznych mierzące do tego, by wykorzystać przestoje dla brudnych celów politycznych i wzmagania napięcia...

PIERWSZY MĘŻCZYŻNA (PROF. GEREMEK) Jacek! On mówi o tobie!

NARRATOR Jacek Kuroń, który od tego momentu często będzie się pojawiać w naszej owoieści, jest autorem strategii walki o wolność w ramach reżimu komunistycznego. Odrzuciwszy frazesy partyjnej władzy, przystąpił do organizacji grup samopomocy. Wśród nich - związków zawodowych.

#### Gabinet Gierka

GIEREK (w słuchawkę telefonu) Zamknijcie go!

NARRATOR W przeszłości, w latach sześćdziesiątych, Kuroń był radykalnym marksistą wzywającym do utworzenia rewolucyjnego państwa robotniczego. Partia nie była tym zachwycona i zamknęła go w więzieniu.

Kuroń i Geremek idą ulicą.  
Za nimi posuwają się w pewnej odległości dwaj tajniacy.

KUROŃ (zwracając się do Gierka, ale zarazem podejmując dialog z NARRATOREM) Teraz już jestem za stary na coś takiego. Teraz jestem niezależnym konserwatystą w średnim wieku. Ale po diabła za niezależnym konserwatystą w średnim wieku żazi policja?!

NARRATOR Faktem jest, że intelektualiści polscy nie uczestniczyli w zrywie 1970 roku, który wyniósł do władzy Gierka. Ale już w roku 1976, gdy Gierek sam musiał przetrwać pierwszy robotniczy bunt, Kuroń i inni, wstrząśnięci brutalnością milicji, stworzyli Komitet Obrony Robotników.

KUROŃ KOR został stworzony po to, by pokazać nowy sposób działania. Dać przykład. Jeśli teraz podchwycą to w Gdańsku, to może uda się wiele osiągnąć. To może być coś wspólnego. Władza robotników. Władza gospodarcza. Nie demonstracje, ale zorganizowana siła społeczna. I bez krwi na ulicach. To już należy do historii.

GEREMEK Tak uważasz?

KURCÓŃ A ty nie?

GEREMEK Historią to moja specjalność.

Kurcóż i Geremek zegnają się. W chwilę później tajniacy rzucają się na Kurconia i wciągają go do zaparkowanego obok samochodu. Scenie tej przyglądają się NARRATOR i PIJACZEK.

NARRATOR Kuronia i czteremastu innych aresztowano 20 sierpnia. Opozycyjna działalność intelektualistów była według Gierka jedna z najważniejszych przyczyn polskiego kryzysu...

PIJACZEK (przerywając wypowiedź NARRATORA) Zaskona dymna!

NARRATOR Co takiego?

PIJACZEK Wypadki zaskoczyły Kuronia i jego przyjaciół. Oni tylko próbowali je dogonić.

NARRATOR W takim razie dlaczego ich aresztowano?

PIJACZEK Bo Gierek musiał kogoś aresztować. Breżniew codziennie chce wiedzieć, co zrobiono i codziennie dowiaduje się, że nic. Gorzej niż nic! Negocjacje! Zamiast ścinania głów! Więc Gierek aresztował paru intelektualistów. Ale Rosjanie nie dadzą się oszukać. Czytali Marksa. Tęszą Gierek o tym wie.

NARRATOR Więc czemu - zamiast aresztować intelektualistów - nie aresztuje strajkujących?

PIJACZEK Bo nie jest w stanie.

NARRATOR Fakt. Ale jakie są w końcu prawdziwe przyczyny kryzysu?

PIJACZEK Pieniądze!

NARRATOR Sytuacja ekonomiczna może być uznana za jedną z najważniejszych z przyczyn polskiego kryzysu...

PIJACZEK (pocierając palcem wskazującym o kciuk w geście liczenia banknotów) Otóż to!

NARRATOR Edward Gierek pragnął przejść do historii jako człowiek, który przekształcił Polskę w nowoczesny kraj przemysłowy. Przez jakiś czas nawet mu się wiodło. Zwcie stało się bardziej swobodne i bogatsze. Odmrożenie trwało kilka lat. Pieniądzy starczyło na nieco dłuższe. Ale wszystkie pochodziły z pożyczek. Dwa miliardy dolarów w roku 1971, a już dwanaście miliardów w połowie dekady. Wszystko z Zachodu. Plan zakładał, że pieniądze te przemieni się w traktory, kółkowe telewizory i polskie fiaty, a później z powrotem w pieniądze. Ale prawie wszystkie polskie wyroby - poza rodzącymi się na ziemi lub wydobywanymi z jej głębi - zawierały zachodnie elementy, za które trzeba było płacić twardą walutą, aby w ogóle utrzymać produkcję w nowych, kosztownych fabrykach. W wyniku kryzysu paliwowego w 1973 roku ceny poszły w górę i przyszło pożyczać jeszcze więcej. W końcu cały polski przemysł pracował tylko po to, by zarobić na odsetki od dłużów, które około roku 1980 sięgnęły 20 miliardów dolarów.

Rozmowy rządu polskiego z zachodnimi bankierami.

BANKIER PIERNUSZY Panie ministrze! Reprezentujemy ponad czterysta banków z szesnastu krajów. Obsługa waszych długów pochłania już w tej chwili 65 % wózków z waszego eksportu.

BANKIER AMERYKAŃSKI Banki amerykańskie są już poważnie obciążone. Jedną komą siedem miliardów dolarów. To tylko banki prywatne. Poza tym

jest jeszcze miliard w postaci kredytów od mojego rządu.

MINISTER KISIEL Banki amerykańskie tyle samo pożyczły Peru.

BANKIER AMERYKAŃSKI Tak jest. I dziesięć razy tyle Brazylii. Ale te kraje są członkami Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Pieniądze nie rozpyływają się we wszystkie strony; nad ich wykorzystaniem sprawowana jest kontrola. W waszym przypadku nie mamy żadnej kontroli.

BANKIER TRZECI A teraz jeszcze wasz eksport załamuje się w wyniku strajków!

MINISTER KISIEL Te strajki są odpowiedzią na podwyżki cen, których panowie od dawna się domagali!

BANKIER AMERYKAŃSKI (półgłosem do BANKIERA TRZECIEGO) A to dobre! Więc Polska pogrąża się z winy Wujka Sama...

Rozmowy w toalecie Komitetu Centralnego

GIEREK W Stoczni Gdańskiej działa komitet reprezentujący załogi 368 zakładów. Tak, próbowaliśmy porozumiewać się z każdą z załóg oddzielnie, ale oni tego nie chcą. Dwadzieścia pięć tysięcy ludzi strajkuje w tej chwili w Szczecinie. Wyłonili komitet strajkowy, który gotów jest rozpocząć rokowania.

JAGIELSKI Kania mówił, że w Gdańsku mają listę szesnastu postulatów.

GIEREK Dwudziestu jeden... Gdyby dodać gwiazdkę z nieba - byłyby dwadzieścia dwa.

BARCIKOWSKI Co można im obiecać?

GIEREK Po prostu skończcie wreszcie ten strajk. Udało się wam z kolejarzami w lipcu, to teraz uda się i w stoczniach.

To samo miejsce w jakimś czasie później. Tajniak - ten, którego zdążyliśmy już poznać bliżej - szcztokuje na Gierku garnitur. Powracają z rekoniesansu Barcikowski i Jagielski.

BARCIKOWSKI W Szczecinie wysunęli 36 postulatów. Naczelny postulat to utworzenie trzech partii politycznych...

GIEREK Chyba związków...

BARCIKOWSKI Nie. Partii. Partii politycznych.

GIEREK To się zaczyna robić groteskowe!

BARCIKOWSKI Powiedziałem im, że mogę przedyskutować robotnicze skargi, ale nie mogę obalać systemu politycznego. Przyznali mi rację.

GIEREK No i dobrze!

BARCIKOWSKI Uważają, że dotychczasowe związki zawodowe nie reprezentują interesów robotniczych. Żądanie wolnych związków jest kluczowe. Absolutnie kluczowe. Na czele robotników stoi weteran z 70. Marian Jurczyk. To głęboko wierzący katolik. Żąda radiowej transmisji niedzielnej mszy świętej. Jest mocny, bardzo spokojny, twardy. Kiedy przybyłem - nawet nie odpowiedział na moje powitanie. Rzucił tylko: To nasze warunki! Atmosfera jest poważna. Żurowa. Żadnych dziennikarzy! Żadnych kamer!

JAGIELSKI Zupełnie inaczej niż w Gdańsku. Tam jest cyrk! Negocjacje prowadzi w pokoju ze szklaną ścianą. Po drugiej stronie siedzą setki ludzi. To nie cyrk - to ZOO!!! Stada fotoreporterów. Każde słowo, które wypowiedzą, transmitowane jest na całą stocznię. Wąteśa czuje się w tej atmosferze jak ryba w wodzie. Jest miły. Nie intelektualista, ale bardzo bystry. Podbił serca robotników grając z nami jak w piłkę nożną.

**BARCICKOWSKI** Sytuacja jest bardzo dziwna. Niektórzy z nich to nasi ludzie; członkowie partii. Proszę mnie dobrze zrozumieć, towarzyszu sekretarzu: partia traci równowagę!

**NARRATOR** Kryzysowe posiedzenia Komitetu Centralnego zakończyło się dramatycznym aktem czystki. Cztery członkowie Biura Politycznego zostali usunięci. To samo spotkało wielu funkcjonariuszy rządu, wśród których nie zabrakło przewodniczącego komitetu do spraw radia i telewizji. Gierka, który uznał swoje winę, na razie oszczędzono.

W swojej prywatnej rezydencji Maciuś Szczepański ogląda na ekranie telewizora film pornograficzny. Naciśka guzik zdalnego przełącznika i w miejscu dokonującej striptizu panienki pojawia się Edward Gierka.

**GIERKA** (na ekranie telewizora) ... błędy, brak konsekwencji w działaniach, obniżenia, nadużycia... Prosimy o wybaczenie ze strony tych towarzyszy, którzy wcześniej dostrzegali narastające nieprawidłowości i usiłowali im przeciwdziałać, a których głosu w porę nie usłuchaliśmy...

Do pokoju, w którym M. Szczepański wysłuchuje przemówienia szefa, wpadła rozochociona dziewczyna.

**DZIEWCZYNA** Chodź, Maciek! Zabawa się rozkręca!

**MACIEK** Mieseeeee!!! (no chwili) Zabawa się skończyła...

**GIERKA** (na ekranie telewizora) Dobrenoc!

**GOŚCIE Z GŁĘBI STUDIO** Można go wyłączyć!

Gierka ciężko opada na fotel. Stojąca za jego plecami atrapa biblioteki z bukietem przewraca się na czuwających po drugiej stronie tajemniczo.

Raz jeszcze ta sama kawiarnia.

**NARRATOR** Jedną z najistotniejszych sił tkwiących u podstaw polskich aspiracji niepodległościowych jest...

**WYBIEGNIŃ KACIŃSKI!**

**WYBIEGNIŃ KACIŃSKI!**

**WYBIEGNIŃ KACIŃSKI!** Tak, Kaciński. Lech Wałęsa nosi w klapie znaczek z Marksem. Krowa z Łęstocznowa. Błędy i wypaczenia dyskredytowały politycznych przywódców narodu i moralne przywództwo przypadło Kacińskiemu. W czasie ostatnich 32 lat oznaczało to faktycznie kardynała Wyszyńskiego.

**WYBIEGNIŃ KACIŃSKI!** Wzrostem uwiecznionego w latach stalinowskiego terrorku, późniejszego przywódcę w okresie gierkowskiego zwrotu ku społeczeństwu komunistycznemu. Kardynał Wyszyński stał się prawdziwym duchowym przywódcą narodu. Narodu, który przez ironię historii, jest najbardziej katolickim narodem Europy.

W swoim gabinecie Gierka niespokojnie drzemie w fotelu za biurkiem. Nagle do niego wchodzi się do gabinetu kardynała Wyszyński. Gierka gwałtownie się budzi.

**GIERKA** Cześć! Polej się krew! Nie chce słuchać! Straca wszystko! Pójdź! To niech przepadnie ten łudzie! Za późno!

**WYBIEGNIŃ KACIŃSKI!** Do Biura Politycznego?

**GIERKA** Do robotników!!! Do strajkujących! Żadna rzecz nie może być...

**WYBIEGNIŃ KACIŃSKI!** Nie udaj niezego, bo by ci się zdarzyło nie mieć głowy do wyważenia drzwi, więc sobie się krew! To nie straszy nas...

GIEREK (gorącym, namiętnym szeptem) Nie, nie, nie... Rosjanie dokonają interwencji, nie cofną się przed tym... Musisz nas z tego wybawić! Wybaw Kościół!

KARDYNAŁ Kościół niekiedy potrzebuje obrony, ale wybawiac go nie potrzeba.

GIEREK Więc ocal Polskę!

W strugach deszczu Kardynał udaje się do swego samochodu. W momencie w którym zajmuje miejsce, rozlega się pukanie w szybę. Na zewnątrz auta przykucnął zmoknięty Kania. Kardynał korbką opuszcza szybę.

KANIA Co z nim?

KARDYNAŁ Wygląda na to, że ma jeszcze ochotę trochę porządzić.

KANIA Jest skończony.

KARDYNAŁ Jeśli tak pan uważa...

KANIA Pomoże ksiądz?

KARDYNAŁ Kościół nigdy nie odrzuca prośb. Będę się modlił we wtorek do Matki Boskiej w Częstochowie. Ale będę mówił, to, co należy. W obronie praw robotniczych!

KANIA Oni strajkują. Cały naród. Nie możemy spełnić wszystkich żądań.

KARDYNAŁ Powiem całą prawdę.

KANIA Ilu ludzi ksiądz usłyszysz?

KARDYNAŁ Moje słowa się rozniosą.

KANIA Pozwoli ksiądz na instalację kamer telewizyjnych?

KARDYNAŁ Bez mojej wiedzy.

Kolejne posiedzenie Biura Politycznego

KANIA Stancje wszystkie porty, strajki ogarniają Wrocław, Warszawę, huty i kopalnie Śląska...

Na salę zamasztył krokiem wchodzi Stefan Olszowski.

OLSZOWSKI (od progu) Co z wojskiem?

KANIA Witajcie, towarzyszu Olszowski!

Wszyscy - poza Gierkiem - zrywają się ze swoich miejsc i śpieszą powitać nowo przybyłego

GIEREK (nerwowo bębniąc palcami po stole) Witaj w domu...

KANIA (przymilny, całym w uśmiechach) Najserdeczniejsze gratulacje z okazji ponownego wyboru do Biura Politycznego! Co w Berlinie?

OLSZOWSKI W Berlinie uważają, że działamy zbyt miękko. I jeśli natychmiast nie zrobimy TEGO, CO TRZEBA, to zasłużymy sobie na TO, CO NAS SPOTKA.

JARUZELSKI Tak. Ale jeszcze nie teraz.

OLSZOWSKI Więc kiedy?

JARUZELSKI Jak już nie będzie żadnego innego wyjścia.

OLSZOWSKI Kiedy to będzie?

JARUZELSKI Nie wiem. Ale powiem wam.

OLSZOWSKI (z gniewem) W przyszłym tygodniu?! W przyszłym roku?!

JARUZELSKI To będzie zależało od nich. Teraz musimy dać im to, czego



żądają. I potem to już będzie zależało tylko od nich. Wszystko doprowadzi nas do tego punktu. Wcześniej czy później, ale dojdziemy do niego. To wam gwarantuję.

OLSZOWSKI (wybuchając) Towarzyszu pierwszy sekretarzu!!!!

GIEREK (gestem dłoni powstrzymując wybuch Olszowskiego) Towarzyszu Jagielski! Wracajcie do Gdańska i podpisujcie.

Wiwatujące tłumy w Gdańsku. Lech Wałęsa, unoszony na ramionach robotników, charakterystycznymi gestami pozdrawia zgromadzonych. Ktoś wręcza mu wizankę biało-czerwonych goździków.

NARRATOR Jagielski i Lech Wałęsa podpisali Porozumienie Gdańskie 31 sierpnia. To, co niewiarygodne - trwała 16 dni. To, co niemożliwe - miało trwać 16 miesięcy.

przekład Ch.M.

CENA.

### Kara więzienia za przywłaszczenie pożyczonych książek

Sąd Rejonowy w Elblągu skazał na 3 lata i 30 miesięcy pozbawienia wolności oraz 120 tys. zł grzywny Jarosława Jatonyskię, któremu akt oskarżenia zarzucał przywłaszczenie wypożyczonych książek. W latach 1982-84 w Elblągu i innych miejscowościach wypożyczalni bibliotecznych wypożyczali jak ustalono z zamiarem zagarnięcia — książki o łącznej wartości bliżej 200 tys. zł, których nie zwrócił.



### Aby przestępstwo nie opłacało się

Jak doniosła prasa, do Sejmu wpłynął projekt ustawy o szczególnej odpowiedzialności karnej. Zmierzano do tego, by „przestępstwo nie opłacało się”. Nie jest jednak rzeczą słuszną ograniczanie tej zasady do przestępstw gospodarczych.

W kodeksie karnym jest art. 184 stanowiący zbyt rzadko wykorzystywany przez wymiar sprawiedliwości wobec nasilających się przestępstw nadużywa-

nie wolności sumienia i wyznania przy wykonywaniu obrzędów lub innych funkcji religijnych, na szkodę interesów PRL. Sankcja karna wobec bezpośredniego sprawcy — to jeszcze nie wszystko. Kościół jest organizacją zdyscyplinowaną i hierarchiczną. Takie nadużywanie możliwe jest wyłącznie wtedy, gdy jest ono tolerowane (a może zalecane?) przez duchownych ustawionych wyżej w hierarchii. Trzeba więc wprowadzić przepis uciążliwy dla antysocjalistyczne politykierstwo w kościołach przyniesie uszczerbek także instytucjom kościelnym.

Prawo karne zna karę dodatkową przepadku narzędzi przestępstwa, niekiedy rozciąga ją także na narzędzia nie będące własnością przestępcy. W przypadku przestępstwa określonego w art. 184 takim narzędziem jest nieruchomości kościelna z jej wyposażeniem, głównie ambona.

W kościele św. Brygidy w Gdańsku działa osławiony ks. Jankowski. Dosłownie o kilka metrów dalej, na drugiej stronie ulicy, jest inny kościół. Ludzie chcący się modlić idą do tego kościoła, zaś chcący wiecewać do kościoła św. Brygidy. Skoro więc kościół św. Brygidy stał się w rzeczywistości miejscem manifestacji antysocjalistycznych i przestał być miejscem kultu, jest rzeczą sprawiedliwą, aby sąd, orzekając w imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, orzekł przepadek tej nieruchomości na rzecz państwa. Może pozostać miejscem manifestacji, ale niech to będą manifestacje zgodne z ustrojem socjalistycznego państwa. Kościół jest on w oczywisty sposób niepotrzebny dla kultury.

Pora na odpowiedzialnie uzupełnienie prawa.

Nazwisko i adres znane redakcji.

## S e r i a   d r u g a

### S k a n d u j e m y

#### Spółeczeństwo mówi ulicą

Anonimowy dziennikarz "Trybuny Ludu", pisząc coroczną relację z pierwszomajowego pochodu w Warszawie, podkreślał: "szczególną rangę i wymowę uroczystościom w br. nadawała ważna data". Jaka? "Już po raz dzie-więćdziesiąty - wyjaśnił - obchodziliśmy w naszym kraju święto pracy". Był rok 1980, Dziennikarz "Trybuny Ludu" nie mógł wówczas jeszcze wie-dzieć tego, co stało się wkrótce wiedzą łatwo dostępną, że mianowicie w dziejach pochodów pierwszomajowych w Polsce nastąpi gwałtówne prze-silenie. Dzisiaj, w 1985 roku, wiemy już, jak w Polsce obchodzono świę-to pracy w 1981, jak w 1982 roku, i z tej nieodległej perspektywy po-trafimy ocenić wielkość zmiany. W latach późniejszych, o których wie-my teraz tyle, co o naszym czasie dziennikarz "Trybuny Ludu", będziemy być może świadkami jakiegoś wielkiego cofnięcia czy powrotu i stary scenariusz obchodów pierwszomajowych znowu zacznie regulować społeczny żywioł. Na razie jednak nic na to nie wskazuje. W 1981 roku scenariusz ten został uchylony - także i w tej sferze więc dokonywały się wówczas gwałtówne przeobrażenia. Rok później, gdy tradycję pierwszomajową pró-bowano przywrócić i organizowane przez władzę pochody wyszły na ulicę, w wielu miastach Polski uformowały się niezależne kontr-pochody. Się-gając po inne niż w sierpniu 1980 roku formy zbiorowej ekspresji, spó-leczeństwo powtórnie p r z e m ó w i ł o.

Niegdyś s t r a j k w miejscu pracy był środkiem wypowiedzi. Teraz - gdy od miesięcy obwiał stan wojenny rozpoczęty, jak wiad-omo, szturmem na bramy stoczni i kopalń - stała się nim ruchliwa i zmienna, niespodziewanie rozpoczynająca się w tym lub innym punkcie masowa d e m o n s t r a c j a. Odtąd już polskie ulice będą często miejscem spotkań dwu różnych pochodów - oficjalnie zorganizowanego i nielegalnie wybuchającego. Spotykać się tam będą dwie niepodobne do siebie reprezentacje tego samego społeczeństwa, dwie prawdy, dwa róż-ne słowa.

To, co dotąd napisałem, nie stanowi wstępu do rozprawy na temat historii obchodów pierwszomajowych w Polsce. Nie sprawdzałem, lecz są-dzę, że praca taka już powstała i ktoś, kogo akurat sprawa interesuje, bez trudu znajdzie coś dla siebie pośród licznych opracowań i materia-łów propagandowych. Nie jestem historykiem władzy. Przytoczone przed chwilą słowa anonimowej relacji dziennikarskiej przepisałem w innym za-miarze (przepisałem, co warto dodać, z niemałym wysiłkiem w bibliote-ce uniwersyteckiej - ktoś obok czyta Mickiewicza, kto inny prosi o Mi-łosza, ja zaś ...). Zrobiłem to po to jedynie, by oznaczyć i udokumen-tować moment zwrotny, późniejsze załamanie i niewątpliwy kryzys powta-rzanego od dziesiątków lat rytuału politycznego. W maju 1980 roku po raz ostatni rytuał ten zrealizowany został w swej "klasycznej" postaci.

Iżki czas warto chyba poświęcić mu nieco uwagi.

Nie znany mi bliżej autor "Historii pochodów pierwszomajowych" (której nie znam a która mimo to niewątpliwie istnieje) napisał zapewne, że z roku na rok, z euki na epokę polityczna zmieniała się "forma" manifestacji pierwszomajowych, lecz ich "treść", ich sens główny pozostawał zawsze taki sam: d a ć w y r a z j e d n o ś c i . W granicznym 1980 roku obowiązywały takie oto, proponowane przez "Trybunał Ludu" formuły: "zwarłość i jedność narodu zespolonego z partią", "braterska solidarność i współpraca z państwami socjalistycznymi, z międzynarodowym ruchem robotniczym". Pochody pierwszomajowe były więc rodzajem "tekstu" do odczytania, komunikatem, który zawsze przekazywał to samo. Trzeba też dodać, że był to komunikat paradoksalny. Organizując pierwszomajowe manifestacje społeczeństwa, władza pełniła podwójną rolę: nadawcy, ale także adresata. To ona stała na trybunach, to do niej zwracały się tłumy w pozdrowieniu pierwszomajowym, choć przecież to także ona - tyle że wcześniej - zarządzała często obowiązek udziału w manifestacji, opracowywała scenariusz, wypisywała hasła na transparentach ... Gdy porostają się w granicach prostego układu "władza-społeczeństwo", trudno w tym wszystkim znaleźć jakikolwiek sens. Odmieść można nawet wrażenie, że władza sama siebie próbowała przekonać o ponarciu, jakiej udziela jej społeczeństwo, że - słowem - manifestacje pierwszomajowe czy, jak chętniej mówiono i pisano, "pierwszomajowe święta" były rodzajem autotelegrafii. Być może. Ktoś, kto potrafi czytać w twarzach przywódców stojących na trybunie honorowej, mógłby potwierdzić to przypuszczenie. Fotograficznie zarejestrowały wyraz twarzy Edwarda Gierka spoglądającego na przemarsz warszawskiego pochodu 1 maja 1980 roku. Co wtedy myślał? Czy choć przez chwilę udało mu się nie namiętać, że i on jest tylko aktorem w widowisku rozpisany na miliony aktorów? Czy dał się uwieść atmosferze i zapomniał, że cała ta święteczna wspaniałość przeznaczona jest przede wszystkim dla świata, że inni - bliscy przyjaciele i dalecy wrogowie - są prawdziwymi adresatami tekstu pierwszomajowych manifestacji w Polsce?

Nie wypowiedem myśli odkrywczej: autentyczność masowych wystąpień wyklucza tak daleko sięgającą reżyserię. Masy niechętnie stają się aktorami w politycznym teatrze władzy. Żle uczą się roli. Kochają improwizację, żywiołowość, wolną wolę ekspresji zbiorowej i dlatego nie potrafią nigdy równie autentycznie i równą ochotą powtórzyć dwa razy tego samego widowiska. Czymże jest zatem masa, która konstituuje się raz w roku, by manifestować ciągle to samo "jedności"? I co myśleć o tej "jedności", która musi być coocznie manifestowana?

Teatr polityczny - tak, ideologiczny rytuał - niewątpliwie, lecz mówiąc to, nie wypowiadam wszystkiego. O reżyserowanych przez władzę pochodach pierwszomajowych najwięcej mówi chwila kon. t a c j a j , gdy staje przed nimi manifestacja autentyczna. Spotykają się wówczas dwa odmienne organizmy zbiorowe. Na pierwszy rzut oka patrząc się one wprawdzie nie różnią. Wielkie zbiorowości, czy na nie patrzeć z dystansu, mają podobne fizjonomie. Wystarczy jednak chwila uważnej obserwacji, by różnice usunęły w cień powierzchniowe podobieństwa. Takie demaskujące spotkanie nieraz już miały miejsce. Ostatnio 1 maja 1982 roku, gdy na ulice wielu miast polskich weszły dwa pochody: legalny i nielegalny, zorganizowany przez władzę, która próbowała przywrócić pierwszomajowe tradycje, i zwolany przez "Solidarność" - ta kontr-manifestacja nie odwoływała się do przeszłości, tworzyła dopiero swą formę. Chcąc opisać różnice między tymi więc sięgnąć do niedawnego spotkania tych dwu pochodów. I tak właśnie tym postąpił, gdyby nie to, że nie zostały one w należyty sposób udokumentowane. Nie mam więc wyjścia. Muszę powołać się na świadectwo poezji.

Zdzysław Brzezewski, wielki poeta rewolucyjny - poeta masy, poeta tłumy - poświęcił demonstracjom pierwszomajowym kilkanaście wierszy. Pisal je na początku i w schyłku swojej twórczości. Są to niewątpliwie ciekawe nośne i fenomenologiczne wariacje na temat jednej z nich:

Trotuarów wyschłe gardziele pożerały kąpiące gorąco  
rozżarzone słońca kawały upadały z łoskotem na dach.  
Tłum nadchodził. Tłum w niebo urastał. Park. Łokciami ulice roztrącał.  
Uciekały, dzwoniły tramwaje. Sztwno, rzędem za gmachem szedł gmach.  
Rozkwitały niebiosą jak oczy. Oczy kwitły niebiesko jak chabry.  
Dygocące serca huczały, pokłębione w okrzyki i spazm.  
Wiatrem ulic - ptaki-chorągwie. Wiatrem ulic - dymy od fabryk.  
Żyk hękających w pięściach napięcie. Kołysanie. Żbów taran o głąz.  
Cały utwór nosi tytuł "Pochód", powstał 1 maja 1923 roku. Trzy strofy  
napisanego dwadzieścia sześć lat później wiersza "Pierwszy maja" wprowadzają w zupełnie inny świat:

My pójdziemy Pierwszego Maja  
ulicami stolic tego świata,  
my za ręce się będziemy trzymali,  
my każdego przyjmujemy jak brata...

(...)

Pokój, pokój, pokój narodom,  
braterstwo dla wszystkich ras,  
w przyszłość - pierwszomajowym pochodem,  
wyżej sztandarów las!

Młot, kielnia, młotek, kilof i pióro,  
pług za traktorem, mosty w dal.  
I ty tam pójdiesz literaturo:  
słowo - stal.

Oto, dzięki poezji Broniewskiego, stoją teraz naprzeciw siebie dwa pochody pierwszomajowe. Różni je wiele: epoka, w której powstały, i sposób, w jaki powstawały, inne są ich związki ze społeczeństwem i status za- imka "my", inaczej też zostały przez Broniewskiego przedstawione. O tłu- mie z wiersza "Pochód" wiemy jedynie to, czym jest (czym był) w chwili, gdy wyszedł na ulicę. Jego społeczna genealogia jest ledwie zasugerowana. Prześlania ją obraz teraźniejszych demonstrowających. Tytułowy pochód j u ż i s t n i e j e, choć ustawicznie przemienia się, rozrasta, za- garnia coraz to nowe, coraz większe obszary miasta. Broniewski silnie zaakcentował dynamikę i ekspansywność masy, jej kosmiczny wymiar. Inaczej w wierszu "Pierwszy maja". Pochód jest w nim dopiero p r o j e - k t e m. Jeszcze go nie ma, choć oczywiście, czytając wiersz, nie mamy żadnych wątpliwości, że projekt zostanie w pełni i bez przeszkód zreali- zowany. W oniewanym świecie przejście od codzienności do święta (pier- wszomajowego) wydaje się płynne i zawsze możliwe. Pochód, który powsta- nie, będzie dokładnym odwzorowaniem społeczeństwa. Każda jego część - "kilof i pióro" - znajdzie swą reprezentację. Zupełnie inaczej niż w wierszu z 1921 roku. Przedstawiony w nim pochód nie reprezentuje i nie utwierdza jakichś zewnętrznych porządków i hierarchii społecznych. On w nie godzi, on je burzy. Pochód-projekt natomiast jest (ma być) afirma- cją istniejącego ładu. "Społeczeństwo", jego symboliczna reprezentacja przemarszeruje przed trybuną. Tak jak w wierszu, którego fragment utkwiał mi głęboko w pamięci, ponieważ często deklamowany był na akademiach szkolnych w latach sześćdziesiątych:

Idzie Ochota, Praga, Wola,  
Idą fabryki, żaki, pola,  
Idą hutnicy i metalowcy,  
I patrz! Dziewczeta, chłopcy.

Ten "szkolny" wierszyk pochodzi z czasów, gdy takie właśnie pierwszo- majowe parady maszerowały polskimi ulicami. Ówczesni (tak jak i później- si) organizatorzy obchodów dążyli do tego, by demonstrowający tłum re- prezentował całe społeczeństwo, co miało być dowodem jedności i powszech-

nego poparcia udzielanego władzy przez ogół obywateli. Uczestnicy pochodu występowali w swych rolach - społecznych. Dzieleni byli przy pomocy kryteriów służących zwykle do opisu społeczeństwa: na klasy i warstwy, wedle wykonywanych zawodów, wieku, przynależności do organizacji politycznych i społecznych, miejsca zamieszkania... Pochody późniejsze - tak górnokowskie, jak gierkowskie - niewiele się w tym względzie różniły. Także w nich wszystkie znaczące części społeczeństwa musiały być obecne, starano się bowiem stworzyć obraz całości, wrażenie pełnej reprezentacji. A wszystko po to, by władza mogła nazajutrz powiedzieć, że "cała Polska", "cały naród", "całe społeczeństwo" manifestowało jedność z partią i poparcie dla jej programu.

Ale skuteczność propagandowa takich pochodów była niewielka. W reżyserii tkwił łatwy do uchwycenia błąd, który demaskował poczynania władzy. Gdy ludzie opuszczają warsztaty pracy i domy, gdy wychodzą na ulice - społeczeństwo staje się masą, a masa nigdy nie jest dokładnym odbiciem społeczeństwa. Zawiera coś, czego w swej prehistorii - jako społeczeństwo - nie posiadała, jakąś nową jakość, która nadaje jej autonomię. Między codziennym bytem społeczeństwa i masowymi manifestacjami nie ma też ciągłego przejścia. Masa jest efektem zerwania lub zawieszenia norm regulujących życie codzienne i form, jakis ono przybiera. Dotyczy to nawet mas świętujących, które stwarzają "świat na opak". Społeczeństwo i masa to siły przeciwstawne, często antagonistyczne. Masa powstaje w szczelinach bytu społecznego. Masa tworzy nowe formy zbiorowego istnienia. A jeśli tak, to wszelkie masowe wystąpienia, które afirmują porządek społeczny, są jedynie projekcją tego, czym same nie są. Widmem, urojeniem lub spreparowanym tworem, który gra w politycznym teatrze władzy. Tak, podobnie jak pochód-projekt z wiersza Broniewskiego.

Obydwa stojące naprzeciw siebie pochody pierwszomajowe - ten z 1921 i ten z 1947 roku - różnią się czymś jeszcze. Inne jest mianowicie odniesienie zaimka "my" w masie, która ukonstytuowała się jako twór autonomiczny - w opozycji do społecznego ładu, inne w masie będącej teatralizowaną reprezentacją społeczeństwa. To zresztą jakby dwie strony tego samego problemu. Pochód, w którym idzie "społeczeństwo", zyskuje swą tożsamość poza sobą, dzięki zewnętrznym relacjom. "My" manifestujących rozciąga się poza granice tego, co naoczne i empiryczne. I tak na przykład "my" hutników z cytowanego wiersza ogarnia w ogóle wszystkich przedstawicieli tego zawodu. Tak samo w przypadku metalowców czy tkaczy. Rzecz wygląda zupełnie inaczej w pochodach takich, jak ten z 1921 roku. Odniesienie zaimka "my" jest w nich znacznie węższe. Nie przekracza granic faktycznej masy. "My" o sobie mówią ci, którzy biorą udział w demonstracji. Owo "my" nie może liczyć na zewnętrzne wsparcie - skoro przeciwko zewnątrz właśnie demonstruje. "My" konstituuje się i utwierdza w akcie sprzeciwu, w geście i słowie wymierzonym we wrogi porządek społeczny, nie może więc być tego porządku reprezentacją. Jest potężne i silne liczebnością demonstrujących, ich niezłomnością i determinacją. Wiersz Broniewskiego "Pochód" niezwykle sugestywnie pokazuje, jak rodzi się i rośnie ta autonomiczna siła masy znajdującej w sobie jedynie oparcie. Pokazuje też, w jaki sposób rozrastająca się masa natrafia na własne środki ekspresji, w jaki sposób "mówi sobą", swym składem, liczebnością, dynamiką. Cały właściwie wiersz jest ciągiem metafor, które skupiają się na tym, co w masie widzialne, naoczne, jakby to właśnie - nie zaś jej prehistoria socjalna, nie hasła polityczne czy ideologia - było masy istotą. Mimo iż demonstranci są ukazani z zewnątrz i ani razu nie słyszymy, by padło słowo "my", czytając wiersz Broniewskiego, nie mamy wątpliwości, że tworzony przez nich pochód jest autentyczny.

Ale obserwacja tego tylko, co w masie zewnętrzne i widzialne, co manifestuje się naocznie, może mylić. Zwłaszcza kryterium ilościowe, tak mocno akcentowane zwykle w oficjalnych relacjach z pochodów, bywa złudne. Nie jest gwarancją autentyczności. Wedle założeń oficjalnie organizowane pochody powinny być "masowe", ponieważ liczba manifestują-

cych nadaje wiarygodności prezentowanemu obrazowi społeczeństwa. W tych "masowych" pochodach nie idą jednak masy, które są czymś więcej niż tylko wielką ilością jednostek. Masę wykaniająca się ze społeczeństwa jako różna od niego forma istnienia zbiorowego tworzy, organizuje i wewnętrznie spaja jakies silne napięcie: często niewysłowione i niejasne pragnienie, niesprecyzowane dążenie ku czemuś - zawsze jednak jest ono obecne i stanowi ośrodek krystalizacyjny, wokół którego skupiają się jednostki. W tym sensie nie ma "czyste" masy, tak jak nie istnieje "czysta świadomość", a tylko "świadomość czegoś". Zbiorowość pozbawiona własnego ośrodka krystalizacyjnego, własnego dążenia czy pragnienia, staje się bezwładna i dość łatwo nią kierować. Podsuwa się jej, na przykład odpowiednio spreparowane obiekty nienawiści, o czym wiedzieli dobrze organizatorzy pochodów "zimnowojennych" (którzy wśród manifestantów umieszczali symboliczne wizerunki "wrogów": kukłę Trumana, kukłę Churchila czy Wuja Sama) lub zwodzi złudą fałszywej pozytywności.

Dokąd sięgam pamięcią, pochody odbywały się pod hasłem poparcia dla programu partii, afirmacji jedności z władzą. Z ostatniego pochodu pierwszomajowego, w którym brałem udział, utkwił mi w pamięci okrzyk "Wiesław. Partia. ZMS" wypowiedziany mojej klasie przez jakiegoś "towarzysza"dzielnicę". Każdy z nas, skandujących przed trybuną "wiesław-partia-zet-em-es", miał szansę włączyć się w krąg fałszywej tożsamości. "Ja" (skandujący) - "my" (z organizacji młodzieżowej) - "oni" (towarzysze z partii) - "on" (jej pierwszy sekretarz) połączeni i zrównani w jednym okrzyku, zarazem podmioty jak i przedmioty afirmacji, bohaterowie pochodu pierwszomajowego gotowi na każde "jego" wezwanie, które - na mocy ciągle tej samej tożsamości - znajdowało cudowny oddźwięk w ukrytym pragnieniu indywidualnym...

Czy tak było - nie wiem, nie pamiętam. Tak być powinno, oczekiwano, by tak właśnie było, gdy podpowiadano nam ustami "towarzysza z dzielnic" formułę fałszywej tożsamości. Myślę dzisiaj, że wewnętrzny opór dużej części uczestników tamtego pochodu pierwszomajowego, tak jak zapewne pochodów wcześniejszych i późniejszych, bronił przed fałszywą identyfikacją. Autentycznej jeszcze nie odkryto. Przelewający się ulicami wielotysięczny tłum nie stanowił więc masy kierującej się zawsze jakimś pozytywnym czy negatywnym pragnieniem, gdzieś zmierzającej, ku jakiemuś mniej lub bardziej wzniosłemu celowi. Te pochody były tylko "masowe" i fakt ten wiele mówi o stopniu ubezwłasnowolnienia społeczeństwa, które przez lata godziło się uczestniczyć w pierwszomajowych paradach. Ale wreszcie nastał ich kres. Społeczeństwo odzyskało podmiotowość, to znaczy między innymi: ponownie nauczyło się wykaniac z siebie masy.

I nie było pochodów pierwszomajowych w Polsce 1981 roku. Społeczeństwo nie wyszło tego dnia na ulice, by po raz kolejny manifestować jedność z władzą i poparcie dla jej programu. Zmieniono formę rytuału. "Uroczyste ale skromnie" zapowiadała tę zmianę "Trybuna Ludu" na pierwszych stronach kilku kolejnych numerów z końca kwietnia. "Tegoroczne obchody 1 Maja - pisano - przebiegać będą odm'innie niż w latach minionych. Nie tracąc uroczystego, tradycyjnego charakteru Święta Pracy zwrócono uwagę na konieczność ograniczenia drogiej dekoracji i zbytecznej fasadowości. Wybór formy obchodów pozostawiono do decyzji organizacji politycznych i społecznych na danym terenie". W cytowanym fragmencie tkwi jawny błąd językowy, co pozostawiam bez komentarza po to, by móc jak najszybciej zająć się błędem - a ściślej: fałszem - argumentacji. Postępując się popularnym w ówczesnej publicystyce argumentem ekonomicznym (oszczędzaj!), "Trybuna Ludu" a wcześniej jacyś nieokreśleni "decydenci" ukryci w nieosobowych formach czasownika ("zwrócono uwagę", "postanowiono") maskowali faktyczny stan rzeczy. "Odwołano" pochody pierwszomajowe w Polsce nie dlatego, że były one zbyt kosztowne - jak wiadomo, w propagandzie cena nie gra roli - "odwołano" je, ponieważ władza nie była w stanie ich zwołać. To nie wolny wybór, efekt racjonalnego planowania potrzeb i kosztów, doprowadził do zmiany

rytuału. Po sierpniu 1980 roku władza oddała społeczeństwu ulicę. Dlatego uroczystości pierwszomajowe przenieść musiały do sal i świetlic zakładowych, pod pomniki upamiętniające ważne wydarzenia jej historii, a więc do miejsc, nad którymi trzymała jeszcze kontrolę. Ulica natomiast była wówczas wielomówna i anarchiczna, była samowolna, nie poddałaby się żadnej reżyserii, odrzucałaby wszelki scenariusz, zwłaszcza zaś ten, który przewidywał przemarsz "społeczeństwa" przed władzą spoglądającą z wysokości honorowych trybun. Dlatego obchody 1 maja odbyły się w 1981 roku na niewielką skalę i jakby wstydiłwie. Jakies delegacje złożyły kwiaty pod pomnikami, jacyś delegaci spotkali się na akademii pierwszomajowej... A ulica? Gdyby społeczeństwo wyszło na ulicę 1 maja 1981 roku, władza usłyszałaby zapewne to, czego żadna władza skłyszcz nie lubi i nie chce, że jest samowolna, że jest nieudolna, że jest zaledwie tolerowana. Istotnie, warto było sobie tego oszczędzić.

Podsumujmy. Porównajmy. Rok 1980 - ostatnie "masowe" pochody na ulicach Polski, na pierwszej stronie "Trybuny Ludu" z 2 maja wielka, ciągnąca się przez całą kolumnę fotografia trybuny honorowej, w tle udekorowany Pałac Kultury, poniżej tłum manifestujących, na niesionych transparentach napisy, z których najbardziej czytelny głosi "Pozdrawiamy tow. E. Gierka", na innym, mniej widocznym, hasło "Program partii programem narodu". Rok 1981 - "uroczyście ale skromnie", zapowiada "Trybuna Ludu" załamanie tradycji pierwszomajowej, zamiast pochodów akademie w zakładach pracy, delegacje społeczeństwa składają kwiaty, puste ulice. Tak radykalna zmiana dokonała się prawie w jednej chwili, z roku na rok. Wie dlatego czywiście, że dawne formy uroczystości pierwszomajowych nagle się wyczerpały czy zużyły. Gdyby nie rozpoczęła w sierpniu 1980 roku a później rozwijająca się lawinowo gruntowna przemiana bytu społecznego, tradycyjny i sprawozdany scenariusz obchodów "święta pracy" mógłby być wykorzystywany bez zmian przez następne dziesięćdziesiąt lat i dłużej. Trwałość rytuału ideologicznego jest nieograniczona. Nie istnieją w nim samym bowiem żadne mechanizmy autodestrukcji. Zniszczyć go można jedynie z z e w n ą t r z. I tak właśnie, z zewnątrz i jakby mimochodem, został przez odradzające się społeczeństwo odrzucony. Ale wstarczy z kolei powstrzymać żywiołowość przemian - na przykład: wprowadzając stan wojenny - by zarysowała się szansa restytucji odrzuconych przez społeczeństwo form. Pochód pierwszomajowy w 1982 roku był właśnie próbą powrotu do dawnego stylu, wskrzeszenia rytuału politycznego.

Pochód ten znalazł już swoich sprawozdawców i kronikarzy - zarówno oficjalnych jak i nieoficjalnych, zależnych od cenzury i niezależnych. Nie muszę dodawać, że ich relacje znacznie się różniły. Jak zwykle oboczne sprawozdanie przedstawia "Trybuna Ludu". Przez całą pierwszą stronę bieżącej tytuł: "Masowe obchody w całym kraju", ale jednocześnie było tego roku inne niż zazwyczaj. Cis święta pracy w Polsce zamknięto krótkim komunikatem Polskiej Agencji Prasowej:

"W setkach polskich miast ludzie pracy manifestowali w wielotysięcznych pochodach i wiecach 1-majowych, demonstrując swoje przywiązanie do socjalizmu, do idei porozumienia narodowego, idei pokoju i społecznego postępu. Manifestacji tych nie zdołaly zakłócić imprezy zorganizowane przez przeciwników socjalistycznej Polski. Od tygodni zachęcała do nich Wołna Europa i inne zachodnie rozgłoszenie, a także ekstremalni działacze ugrupowań antysocjalistycznych. W Warszawie i kilku innych miastach podjęto próby zrealizowania tych zamiarów. Odzew społeczny nie spełnił oczekiwań inspiratorów tych żąkosnych imprez, szkodzących naszym wspólnym, narodowym interesom".

Byłem świadkiem naocznym. Niem, co wydarzyło się w Gdańsku, w jednym z tych bezimiennych miast, o których komunikat zaledwie wspomina. Toż bez trudu i bez wahania odrzucić wersję redowaną przez PAP jako fałszywą. Prawda leży po stronie kronikarzy nieoficjalnych i niezależnych.

I tym razem opisali oni dzieje współczesne tak, jak się one dzieją. W Gdańsku "żałosne imprezy" skupiły kilkadziesiąt tysięcy dobrowolnych uczestników. To fakt bezsporny, fakt wyliczalny. Można się oczywiście spierać, czy w niezależnej manifestacji wzięło udział 30 tysięcy, czy 50 tysięcy osób, lecz jakkolwiek byłaby ostatecznie ustalona liczba i tak podważa ona twierdzenie PAP-u o braku społecznego odzewu. Bo jednak m a s a, jednak t ł u m przemaszerawał głównym traktem komunikacyjnym Gdańska. Przy kościele św. Brygidy były tysiące - tam pochód zawiązał się. Pod domem Wałęsy na Zaspie (ostatni akt manifestacji) były już dziesiątki tysięcy. W Polsce obowiązywał wówczas stan wojenny. Pochód oficjalny maszerował pod milicyjną ochroną. Na ulicach stacjonowały oddziały wojska i Zemo.

Poprzestaję na tym krótkim wyliczeniu - i liczb, i faktów. Powstały, jak już wspominałem, niezależne opisy zdarzeń. Jan Pióro opublikował artykuł pt. "Pochód podniesionych głów" ("Podpunkt" 1984 nr 1), zespół autorów ALFA wydał broszurę "Gdańsk - dramat wojenny (1981-1982)", w której wiele miejsca poświęcił niezależnej manifestacji pierwszomajowej, istnieją też liczne relacje drukowane w zakładowych biuletynach i gazetkach - a zatem nie rekonstrukcja przebiegu zdarzeń jest dzisiaj najważniejsza. Prawda faktów wydaje się dostatecznie dobrze znana i nie- chybą osadzona w zbiorowej pamięci. Stawką jest teraz interpretacja. Powinna ona, wychodząc od opisu zewnętrznych form niezależnej manifestacji pierwszomajowej, kierować się ku wewnętrznemu, ukrytemu doświadczeniu manifestującej zbiorowości.

Bo było to doświadczenie w najnowszych dziejach społeczeństwa polskiego niezwykle ważne. Pierwsze po grudniowych i styczniowych pacyfikacjach solidarne wystąpienie na politycznej scenie. Pierwsze jawne wystąpienie tak dużych mas. Pamiętajmy, że nadal obowiązywała wówczas większość tzw. "rygorów stanu wojennego". Władza działała bez maski i bezwzględnie. Pierwszomajowa manifestacja była więc r y z y k o w a n y m a k t e m w o l n o ś c i, ponownym sięgnięciem po prawo głosu, jawnie i głośno demonstrowanym sprzeciwem wobec władzy, która 13 grudnia 1981 roku zmusiła społeczeństwo do milczenia i posłuszeństwa. Słowa i hasła wykrzykiwane podczas manifestacji nie dopisywały się do przerwanej stępnym wojennym działalności językowej społeczeństwa. Nowa sytuacja domagała się nowego stylu ekspresji. I styl taki powstał. Właśnie wtedy, 1 maja 1982 roku, później zaś był wykorzystywany przez społeczeństwo wielokrotnie, w dniach rocznic i świąt narodowych: 1 i 3 maja, 31 sierpnia, 11 października, 13 i 16 grudnia... Nigdy już jednak tkwiące w nim siły wolności i buntu nie zyskują tak wielkiego zasięgu, ponieważ władza - dostrzegając w tym nowym stylu zbiorowej ekspresji najważniejsze zagrożenie - będzie tłumika wszelkie jego przejawy z całą mocą dostępnych jej środków bezpośredniego przymusu. Inaczej być nie mogło. Społeczeństwo znalazło sposób, by wbrew jawnej sile przemówić we własnym imieniu, czyż więc władza, rekonstruująca z tak wielkim trudem stary system społecznej reprezentacji, pierwszomajową paradę pozorów i nieautentyczności, uruchamiając sejm (który zamilkł) - czyż ona mogła spokojnie tego słuchać?

**Spotkanie i sesja naukowa w Poznaniu**  
**Piasłowska myśl zachodnia**

my tu  
udolność  
świadcza  
szych h  
lány dc  
niepełno  
żłwości  
mę rad



## Co powiedziano 1 maja 1982 roku w Gdańsku?

A właściwie - co wówczas skandowano? co tam wykrzykiwano? To odpowiedniejsza forma pytania, zamierzam bowiem przedstawić tu hasła-okrzyki wznoszone przez demonstrantów uczestniczących w pierwszomajowym kontrapochodzie. Moja praca ma charakter głównie porządkujący. Najpierw więc, korzystając z wszelkich znanych mi źródeł, przedstawiam rejestr utrwalonych haseł, następnie - w drugiej części artykułu - postaram się je możliwie szeroko skomentować. Ta druga część o tyle jest dzisiaj ważna, że w miarę upływu czasu niegdyś pełne znaczeń hasła stały się nieczytelne lub nie w pełni czytelne. To zresztą zrozumiałe. Z wolna rozprasza się przecież polityczny i duchowy klimat, w jakim powstawały, one same zaś - zanisane, zapomniane - trwają uparcie ponad czasem.

Alé czy trzeba do nich wracać? Czy warto je dzisiaj na nowo odczytywać? Myślę, że tak. Nie po to jednak, by pytać o polityczne znaczenie niezależnej manifestacji pierwszomajowej w Polsce stanu wojennego. Niewiele w tym względzie można nowego powiedzieć. Dzisiaj trzeba już, jak sądzę, przekroczyć doraźność wydarzeń i osadzić się w innym ich wymiarze. Przystają być one wtedy wyłącznie manifestacją polityczną - mającą jakieś konkretne przyczyny, wywołującą jakieś praktyczne skutki. A więc - czym są? Czym jeszcze?

Wszystko to, co zostało pośrednio lub wprost wypowiedziane przez manifestujący tłum, wszelkie istniejące ślady zbiorowej ekspresji są również znakami ukrytego bytu narodu, dalekowiego doświadczenia manifestującej zbiorowości. Mogą powiedzieć to jeszcze inaczej, nieco archaicznie. Otóż, te wypowiedzi, te ślady są skamielinami duchowości polskiej. O duszę więc toczy się tu gra, o "zbiorową duszę" Polaków.

### Część pierwsza: tekst

Hermeneutykę polskiej duszy zbiorowej musi jednak poprzedzić praca filologiczna. Krok wstępny interpretacji to przecież zawsze ustalenie tekstu wypowiedzi. W przypadku manifestacji pierwszomajowej "tekst" utkany jest z różnorodnej materii. Przede wszystkim z tego, co wypowiedziane wprost, co wykrzyczane, pokazane, zademonstrowane, ale również: zaznaczone pośrednio liczebnością manifestacji, jej składem wewnętrznym, rytmem i dynamiką. Praca filologiczna powinna odskonić i opisać wszystkie te warstwy "tekstu". Tu jednak przyjmie ona skromniejszy zasięg. W rekonstruowaniu "tekstu" poprzestaną wyłącznie na tym, co zostało wypowiedziane wprost, resztę odnotowując w miarę możliwości w komentarzach.

Wspomnieć muszę jeszcze o wykorzystanych materiałach. Alfabetyczny rejestr haseł, który przedstawiam poniżej, opiera się na czterech źródłach. Trzy z nich to teksty już opublikowane. Korzystałam ponadto z niedrukowanych zanisków jednego z uczestników niezależnej manifestacji, który tu zastrzegł sobie anonimowość. Przy każdym hasle znajdują się literowe oznaczenia, które odsyłają do odpowiednich źródeł. W bardzo wielu przypadkach były one zgodne i wzajemnie się potwierdzały, co również odnotowuję. A oto ich wykaz wraz z literowymi oznaczeniami:

- (a) Jan Pióro, Pochód "podniesionych głów", "Podpunkt" 1983, nr 1, s. 30-35;
- (b) Okrzyki wznoszone podczas manifestacji 1 maja 1982 roku w Gdańsku, zebrane i skomentowane przez Hmk, "Podpunkt" 1983, nr 1, s. 36-37;
- (c) Zespół autorski ALFA, Gdańsk - dramat wojenny (1981-1982) Kraków 1984, s. 94-97;

literą (d) oznaczam hasła zapisane przez zastrzegającego sobie anonimowość uczestnika manifestacji.

1. BREŻNIEW DO FORMALINY b
2. TRZECHY WOLNEJ POLSKI bd
3. TRZEBILI POCHÓD - MAJĄ POCHÓD abd
4. TRZEBILI POCHÓD - TO MAJĄ c
5. DEMOKRACJI b
6. DO GDYNI b
7. DO WALESY c
8. DZIŚ NIE BIJA - CHODZIE Z NAMI abd
9. GDZIE JEST CYGAN? c
10. GDZIE JEST GENERAL? abd
11. GDZIE TELEWIZJA? bd
12. JESTEŚCIE POLAKAMI c
13. JUNTA DO MOSKWI c
14. JUNTA NA SYBIR b
15. JUNTA ZA URAL bd
16. LITWA NASZA b
17. MARIA - WIKTORIA bc
18. MEODZIEŻ Z PARTIĄ - SKOŃCZY b
19. NA ZASPE c
20. NIECH ŻYJE WAŁĘSA c
21. NIEROBY d
22. ODDAĆ LECHA - WZIĄĆ WOJCIECHA c
23. ORŁA WRONA NIE POKONA b
24. PARTIA DO MOSKWI ab
25. PARTIA ZA URAL ab
26. PRASA KŁAMIE bd
27. PRECZ Z ALBINAMI b
28. PRECZ Z DYKTATOREM bcd
29. PRECZ Z JUNTĄ bd
30. PRECZ Z KOMUNĄ bc
31. RADIO KŁAMIE c
32. SIWAK DO SZKOŁY. bc
33. SOLIDARNOŚĆ bcd
34. SOLIDARNOŚĆ BYŁA, JEST I BĘDZIE b
35. SOLIDARNOŚĆ ZWYCIĘŻY d
36. 3 MAJA b
37. UWOLNIĆ LECHA - ZAMKNAĆ WOJCIECHA b
38. UWOLNIĆ WIEZNIÓW POLITYCZNYCH bd
39. WIOSNA NASZA b
40. WOJSKO Z NAMI b
41. WOLNEJ POLSKI c
42. WOLNOŚĆ DLA LECHA b
43. WRONA SKONA bdc
44. WRONIE SKONAĆ - POMOŻEMY b
45. WSZYSTKIE WRONY NA PIĄC CZERWONY bd
46. ZDRAJCY b
47. ZNIEŚĆ STAN WOJENNY bd
48. ZOMO DO PRACY bcd
49. ZOMO ZA URAL bd
50. ZWYCIĘŻYMY o

#### Część druga: k o m e n t a r z e

1. Ktoś, kto krytycznie i uważnie, od początku do końca przeczytał cały rejestr, zgłosić mógłby pewne wątpliwości. Otóż, niektóre hasła (na przykład 3 i 4, 22 i 37) pojawiają się dwukrotnie w innej nieco postaci. Czyżby więc tekst nie został ostatecznie ustalony? Wydaje się nazbyt płynny. A ponadto - czy ta rozbieżność wersji nie kompromituje źródeł? Czy nie powinny być one jednobrzmiące? Jeśli natomiast prawdę mówi tylko jedno z nich, to w jaki sposób poznać to właściwe? Które przekazuje wiernie, które zaś zniekształca rzeczywiste brzmienie hasła? Należy, jak sądzę, przyjąć, że ohydnie, przekazane przez świadków wersje są prawdziwe. Okrzyki mogły zresztą w trakcie wielogodzinnej mani-

festacji uisc przekształceniom daleko większym niż te, które ujawnia zapis. Wystarczy wyobrazić sobie społeczne życie hasła przekazywanego z ust do ust przez wielotysięczny tłum. Ktoś wykrzykuje jakieś słowa, inni je podchwytują i powtarzają, ktoś następny przekształca je w ten sposób, by bardziej nadawał się do zbiorowej artykulacji. I tak na przykład: śle zrytmizowany okrzyk "Chcieli pochód" - to mają" przekształca się w łatwą do skandowania postać: "chcie-li-po-chód-ma-ja-po-chód". Takie i inne zmiany są właściwe wszelkiej ustnej twórczości zbiorowej. Tak właśnie - przemieniając się - istnieje pieśń, legenda, dowcip polityczny...

2. Wątpliwość następną wynika z porównania ilości okrzyków odnotowanych przez każdego z obserwatorów. I tak na przykład "b" odnotował ich więcej niż "a" (podobnie zresztą jak "c" i "d"), co oznacza, że relacja "a" w stosunku do "b" jest niekompletna, choć zarazem znajdujemy w niej to, czego nie ma ani u "b", ani w pozostałych relacjach. Czy wobec tego można tym obserwatorom wierzyć, skoro jedni usłyszeli i zapamiętali więcej i co innego niż drudzy? I skąd w ogóle pewność, że rejestr zgromadzonych tu okrzyków stanowi dostatecznie szeroki zapis tego, co istotnie krzyczano 1 maja 1982 roku na ulicach Gdańska? Nietrudno odeprzeć te zastrzeżenia. W wielotysięcznej masie manifestujących w różnych miejscach równocześnie wybuchały ogniska ekspresji słownej. Często łączyły się one w jednym, wspólnym okrzyku, lecz przecież nie zawsze. Ów zbiorowy podmiot mówiący składał się z szeregu mniejszych części, które posiadały artykulacyjną autonomię. Masa ma wiele zbiorowych ust, które mogą mówić w tym samym czasie. To dlatego "koniec" pochodu nie słyszał często, co mówi "początek". Istniał między nimi szereg pośrednich podmiotów artykulacji, które wzajemnie przekazywały sobie słowa, mniej lub bardziej je przetwarzając. We "wnętrzu" masy manifestujących przebiegały więc bardzo ożywione i skomplikowane procesy komunikacyjne. Nie sposób ich dzisiaj zrekonstruować. Zarysowywały się i ginęły jakieś szlaki komunikacyjne, jakieś chwilowe skupienia czy może lepiej centra artykulacyjne, które wytwarzały i przekazywały dalej własne wypowiedzi. Zrozumiałe więc, że świadectwa, jakie dali obserwatorzy, mogą być tylko cząstkowe, ponieważ są funkcją zajmowanego przez nich miejsca, śladem przetykniętej, zapisem swoistej "biografii" w tłumie. Każdy z nich uchwycił jakiś jeden ton z wielogłosowej mowy tłumy manifestujących, opisał jeden szlak komunikacyjny. A obraz całości? Wydaje się, że nie może on powstać w inny sposób. Zawsze jest suma cząstkowych wyglądów. Zawsze jest ubożny. Głos masy przekracza możliwości słyszenia pojedynczego słuchacza. Masa mówi ponad naszymi głowami. Swe słowa kieruje raczej do Boga lub Historii niż do swych przeciwników.

3. Alfabetyczny układ haseł jest egalitarny, zaciiera bowiem hierarchię, jaka uformowała się podczas gdańskiej manifestacji. Zapisane okrzyki - tu i teraz społecznie łącznie obok siebie na równych prawach - tam i wówczas nierównie często nadejmowane były przez manifestujących. Powinienem więc teraz odtworzyć zatartą hierarchię, wskazać na popularność jednych i okazjonalność innych okrzyków - słowem: na powrót osadzić je w sytuacji artykulacyjnej, w zdarzeniu, odstąpić funkcje, jakie niegdyś pełniły. Pewną wskazówką stać się może ilość odnotowanych przy hasłach posiadzeń. Kilka spośród zebranych i zapisanych haseł powtarza się we wszystkich uwzględnionych relacjach. To znak największej ich słyszalności. Słowo "Chcieli pochód - mają pochód", łącznie z wariantem (4), należało do najpopularniejszych. Było to, powołując się również na własną pamięć, hasło prawie od początku wykrzykiwane przez manifestantów. Podobnie jak inne, pełniące funkcje arytmiczne: "Dziś nie bija - obodacie z nami". Pośród haseł "programowych" najczęściej powtarzało się (37): "Solidarność", wraz z rozwinięciami: "Solidarność była, jest i będzie", "Solidarność zwycięży", a także hasła oznaczone numerami (10), (20), (28), (37), (38), (43), (47), (48). Inne nie miały tak dużego wzięcia, nie zostały podchwyczone przez wszystkich manifestujących lub - wywołane przez sytuację - zamierały poza

nią. Do tych ostatnich należy na przykład hasło (40): "Wojsko z nami", wykrzykiwane do wartowników i żołnierzy przed budynkiem koszar przy ulicy Słowackiego, a także szereg haseł kierowanych do oddziałów ZOMO ustępujących przed manifestującym tłumem (12), (21), (48), (49). Osobną grupę stanowią okrzyki, które pełniły funkcje organizacyjne i orientowały co do kierunku przemarszu (6, 7, 19, 36). Gdy na przykład tłum wyszedł z Wrzeszcza, nikt nie wiedział jeszcze, jaki będzie kolejny cel manifestacji. We Wrzeszczu przez chwilę można było sądzić, że manifestujący, którzy dotarli właśnie do budynku zajmowanego niegdyś przez Zarząd Regionu Gdańskiego "Solidarności", rozejdą się. Ale nie. Po kilkunastominutowym postoju ruszyli dalej. Gdzie? Wykrzykiwano alternatywne propozycje: "Do Gdyni", "Na Zaspę", "Do Lecha".

4. Gdy czyta się zgromadzone tu hasła łącznie, jako jeden tekst, w którym wyraża się świadomość zbiorowa, nie sposób nie zauważyć, że tekst ten, a więc i zbiorowa świadomość, zawiera szereg ostrych przeciwstawień, że jest, mówiąc po prostu, czarno-biały w ujmowaniu i wartościowaniu świata. Bez trudu odnaleźć w nim można fundamentalne opozycje. Oto one: "Solidarność" - Partia (Junta), Wolna Polska - Komuna, "my" - "oni", Orzeł - Wrona. Podobnie dałoby się zestawić osobowych bohaterów haseł. Ta wewnętrzna antynomiczność czy biegunowość jest rygorystyczna w tym sensie, że wyklucza jakiegokolwiek formy pośrednie. Nie ma więc innego wyboru, jak tylko między bezwzględną afirmacją i równie bezwzględnym odrzuceniem, między "niech żyje" i "precz". Niezwykle jednak rzadko ta antynomiczna struktura jest w pełni aktualizowana w obrębie jednego hasła. W taki sposób zbudowane jest na przykład życzenie, by "Uwolnić Lecha - zamknąć Wojciecha" (por. również 22, 23). Zwykle jednak hasła są jednobiegunowe i nie stykają się w nich bezpośrednio osoby czy wartości afirmowane i odrzucane. Po to więc aby uchwycić pełny sens wypowiedzi, należy przywołać podstawową strukturę poznawczo-wartościującą, która każdemu "precz" przydaje odpowiednie "niech żyje". Niekiedy obydwie części, tworzące pełne wypowiedzenie, zostały przez manifestujących zaktualizowane, tyle że każda z nich stanowiła osobne hasło. Przykładem (30) i (2) lub (41): "Precz z komuną" - "Chcemy wolnej Polski". W wielu jednak wypadkach taka rekonstrukcja nie jest możliwa. Wypowiedziano bowiem tylko jedną część - afirmującą lub odrzucającą. Nie zmienia to jednak podstawowej zasady. To, co wypowiedziane wprost, implikuje przemilczane i tym sposobem obydwa antagonistyczne światy - postulowany i zwalczany - wzajemnie się przywołują i oświetlają.

5. W wykrzykiwanych w Gdańsku hasłach znacznie lepiej - wyraziściej i pełniej - zarysowany został obraz świata odrzucanego, obraz wrogiej władzy. Hasła przybierały najczęściej formę drwiny, szyderstwa, negacji czy nawet likwidacji. "Precz" zdominowało "niech żyje". Obraz świata postulowanego był tworzony jakby mimochodem, jakby na marginesie żywiołowej i ostatecznej negacji. Pamiętać jednak należy, że nawet słowo było w miesiącach poprzedzających manifestację orzechem dla wielu niedostępnym. To dlatego ta pierwsza po miesiącach milczenia, publiczna i jawna wypowiedź zbiorowości rozpoczynać się musiała od sprzeciwu, od gwałtownego i nie przebijającego w środkach (językowych) odrzucenia propagandowych wzmówień, od choćby słownego wyzwolenia się z więzów stanu wojennego. Żądania i postulaty, jakie przedstawiano, skupiały się wokół spraw podstawowych. Wykrzykiwano: "Chcemy wolnej Polski", "Demokracji", "Solidarność", "Uwolnić więźniów politycznych", "Wolność dla Lecha", "Znieść stan wojenny" - dcmagając się przywrócenia elementarnych swobód politycznych. Przedstawianie, a ściślej mówiąc: wykrzykiwanie, jakiegoś pozytywnego programu w trakcie manifestacji byłoby nie tylko niewczesne, lecz również groteskowe, jak choćby faktycznie wykrzykiwane przez niektórych hasło "Litwa nasza", będące reminiscencją jakichś nacjonalistycznych tęsknot. Żadna zresztą zbiorowa manifestacja nie jest programotwórcza i w przeważnie negacji nad pozytywnością nie ma nic niezwykłego. W Gdańsku manifestowano po to, by zreorientować układ sił w Polsce, co było warunkiem wstępnym działalności programowej. W ten sposób gwałtowna negacja i drwina mas

z władzy stwarza pole, na którym swobodniej niż przedtem rozposcierać się może niezależna od władzy myśl polityczna. Jeśli wyjście mas na ulice nie wynika z politycznego programu już wyraźnie sformułowanego, jest często jego początkiem.

6. Władza, przeciwko której skierowana była manifestacja, jest w hasłach uobecniiona na dwa sposoby. Reprezentują ją negatywne postacie życia politycznego: Jaruzelski (jako "generał" 10; "dyktator" 28, "Wojciech" 22, 37), Siwak (32 oraz 27, gdzie przedstawiony został jako jeden z "Albinów"), Breżniew (1), wojewoda gdański, Cygan (9). Przybiera również postać politycznych zbiorowości i organizacji: partia (24, 25), junta (13, 14, 15, 29), komuna (30), wrona (23, 45), kryje się też w okrzyku "zdrajcy" wznoszonym przed KW PZPR. Te indywidualne lub kolektywne figury władzy są w hasłach wmontowane w bardzo proste konstrukcje syntagmatyczne. Można by nawet spróbować opisać swoistą "gramatykę", wedle której hasła tego rodzaju zostały utworzone. Byłaby to gramatyka negacji i szyderstwa, gramatyka przemieniająca zbiorowe emocje w formę artykułowanego okrzyku. W gdańskiej manifestacji obowiązywały dwa warianty odrzucenia czy też (słownej) likwidacji władzy. Różnica między nimi staje się najlepiej widoczna, gdy porówna się hasła (29) i (15). Ta sama figura władzy została w nich umieszczona w odmiennych syntagmach: "Precz z junta" - "Junta za Ural". Podobne na pierwszy rzut oka wypowiedzi mają jednakże odmienne znaczenia. Pierwsza jest prostą negacją, druga - prócz tego, że wyraża emocje - zawiera również przesądzenie o pochodzeniu i o charakterze negowanej władzy. Wedle manifestujących powinna ona wrócić tam, skąd przyszła: "do Moskwy" (13, 24), "na Plac Czerwony" (45), lecz również "na Sybir" (14). W tym ostatnim wariantcie chodzi o coś jeszcze, bo trudno wyeksplikować, ponieważ konotacje układają się warstwowo, na zasadzie paradoksalnego życzenia: obca, narzucona władza powinna sama siebie zeskłać tam, gdzie zwykła zyskać politycznych przeciwników.

7. Hasło "Breżniew do formaliny" przywodzi na myśl slogan przeciwników de Gaulle'a z kampanii wyborczej w 1958 roku. Olivier Reboul porównuje je z innym hasłem z tamtego czasu; "niektórzy krzyczeli «De Gaulle na szubienicę!», co niewielu mogło przekonać poza tymi, którzy wznosili okrzyk. Inni, bardziej subtelni, zaproponowali: «De Gaulle do muzeum!», prawdziwy, znakomity slogan dzięki elementowi autouzasadnienia: powiadacie, że de Gaulle to bohater historyczny? Wystarczający powód, żeby go zostawić historii, a nam nie zwracać nim głowy". Okrzyk kierowany pod adresem Breżniewa jest niewątpliwie znacznie bardziej drastyczny. Tu już nie chodzi o anachroniczność, lecz o starcze zniedołężnienie polityka, który - nominalnie przynajmniej - panuje nad dużą częścią świata. Masa jest bezlitosna w demaskowaniu ułomności tych, którzy zajmują miejsce władzy. Masa nie przebiega w środkach, każdy koncept jest dobry, byle był skuteczny. Dlatego o dużym szczęściu może mówić Siwak, który przez manifestujący tłum odesłany został jedynie "do szkoły" (32).

8. Kilka okrzyków przybrało formę pytań (9, 10, 11). Są one bardzo podobne. Każde z nich wyrasta ze spostrzeżenia braku, faktycznej i nawet symbolicznej nieobecności władzy, przeciwko której skierowana była manifestacja. Nagle wyłączona została duża część miasta. Wówczas, gdy formować się począł kontr-pochód, zaskoczona władza wycofała się. Trybuna honorowa, skąd jeszcze przed chwilą partyjni i administracyjni dygnitarze województwa przyjmowali pochód oficjalny, teraz, gdy mijają ją wielotysięczny tłum manifestantów, stała pusta. Porzucili też swe stanowiska ekipy telewizyjne rozsiane wzdłuż trasy, którą przemierzali obydwa pochody. Władza przyglądała się niezależnej manifestacji z ukrycia. Stawiając pytanie wzięte z filmowej komedii, «gdzie jest generał?», manifestujący sztychli z nieobecności władzy, z jej ucieczki, pytając, «gdzie telewizja» szeroko relacjonująca oficjalne pochody, domagali się, by fakt zwycięskiej konfrontacji z władzą zyskał odpowiedni rozgłos.

9. Wezwania te pozostały bez odpowiedzi. Jediną widomą reprezentacją władzy były ustępujące rzęd manifestującymi oddziały milicji i ZOMO i one właśnie stały się bezpośrednimi adresatami kilku okrzyków (12, 21, 40, 48, 4<sup>o</sup>), które wahały się między serio i groteską, między próbą perswazji ("Jesteście Polakami") a odrzuceniem i napiętnowaniem ("ZOMO na Ural", "Hieroby"). Zabawowo zwracano się też do ZOMO-wców z hasłem-wezwaniem "Dziś nie biją - chodźcie z nami".

10. Różnica tonu, jaka wyraźnie zarysowała się w hasłach omówionych w poprzednim punkcie, pozwala w całym rejestrze poprowadzić jeszcze jedną linię podziału. Wcześniej, w punkcie 4 i 5, próbowałem opisać jedną z dwu możliwych lokalizacji okrzyków - wokół bieguna negacji lub afirmacji (precz" - "niech żyje"). Teraz chciałbym wskazać na dwa inne bieguny: ideologii i karnawału (serio - śmiech, żart, groteska, szyderstwo). Zróznicowanie to ma inny charakter niż poprzednie. Tamto było ostre, każde hasło było albo negacją, albo afirmacją. Ideologiczność i karnawalizacja tworzą natomiast sfery o nieokreślonych dokładnie granicach. To raczej pierwiastki, które mogą bez przeszłości współistnieć w obrębie jednego hasła i tylko czasem sytuacja rozstrzyga, który z nich bierze górę (por. na przykład omówione już hasło 8). Istnieją też, oczywiście, hasła najzupełniej serio. Właśnie one tworzą ideologiczny ośrodek manifestacji, zwłaszcza jeśli przybierają postać jakiejś pozytywności.

11. Niektóre hasła są cytatai - niekiedy dosłownymi, niekiedy zaś przetworzonymi. Jedno z nich zwłaszcza ma odległe początki. Zostały one opisane. "Ci, którzy to widzieli - wspomina Barańczak - pamiętają zapewne: w czasie studenckich demonstracji w marcu 1968 roku ponad głowami wzburzonego tłumu wykwitwały - w każdym chyba większym mieście Polski - płomienie. Palono gazety. Skandowany okrzyk PRASA KŁAMIE i podpalenie gazet - to były wówczas manifestacje jednorodnie i jednoznaczne. Wielu spośród nas nie miało sprecyzowanych poglądów politycznych, wielu w tych pierwszych dniach nie orientowało się jeszcze, co właściwie dzieje się w Polsce i przeciw czemu należy protestować - ale jedno nie ulegało wątpliwości. Prasa kłamała. (...) To bowiem najłatwiej było dostrzec". To dawne studenckie hasło podjęte zostało przez strajkujących robotników w sierpniu 1980 roku. Później wielokrotnie pojawiło się ono na murach miast polskich, na ulotkach, w rozmowach prywatnych i publicznych. W maju 1982 roku nadal było aktualne. Manifestujący tłum skandował je przed budynkami RSW "Książka-Prasa-Ruch" przy Targu Drzewnym, przed budynkiem gdańskiego radia dopowiadał: "Radio kłamie".

12. Okrzyk "Wiosna nasza" nie posiada tak odległych dziejów. Jest on częścią rzuconego przez "Solidarność" hasła, które obiegło społeczeństwo polskie w pierwszych tygodniach stanu wojennego: "Zima wasza. Wiosna nasza". Wówczas miało ono charakter konsolacji i - magicznie - zapowiadało prędką zmianę sytuacji politycznej. Symboliczna "wiosna" stać się miała czasem odnowy utraconej (w zimie) wolności politycznej i swobód społecznych. W ustach manifestującego tłumu druga część hasła zmieniła sens. To, co niegdyś było jedynie zapowiedzią, teraz, w pierwszym dniu maja, stało się realnością dzięki masowej manifestacji, która - póki trwała - unieważniała stan wojenny i tym sposobem wypełniała dawną zapowiedź.

13. Jako jedyne z całego rejestru hasło 43 było dużo wcześniej, bo już 12 lutego, opublikowane w oficjalnie ukazującym się w Gdańsku "Dzienniku Bałtyckim" (1982 nr 21). W szczególny sposób, Stanisław Danielewicz, od lat disujący felietony z cyklu "Echa muzyki młodzieżowej", posłużył się starym konceptem, który poetyka zna pod nazwą akrostychu. W felietonie na temat płyty Amandy Lear "Incognito" pt. "Wrócemy do płyt o których się mówi" - a więc w wypowiedzi politycznie neutralnej i niepodejrzanej - tak rozmieścił akapity, że ich pierwsze litery, czytane od góry ku dołowi, ułożyły się w hasło "Wrona skona".

Czytający linearnie cenzor przeoczył ten drugi, nadany tekst, choć był on przecież ukryty na powierzchni. Inaczej zwykli czytelnicy. Dla jednego hasła "Wrona skona" okazało się dostatecznie widoczne, do innych dotarła wskazówka autora - i ostatecznie wszyscy przeczytali ukryty tekst. Za 21 numer "Dziennika Bałtyckiego" dawano w Polsce kilkaset złotych. Był to jeden z dwu znanych ni przypadków podstępnego omińnięcia w stanie wojennym cenzury i przesadzenia się do strefy komunikacyjnej, którą władza objęła najściślejszą kontrolą.

14. Dwa hasła, 18 i 44, przejęte zostały przez manifestujących z oficjalnej propagandy władzy - przejęte i rozbrojone. Składają się one z cytatu i ramy, która modyfikuje pierwotne znaczenie. "Młodzież z partią" to hasło lansowane przez propagandę gierkowską w końcu lat siedemdziesiątych. Dodane przez demonstrantów słowo "skończy" odwraca sens. Ta operacja językowa przemienia też miejsce podmiotu i przedmiotu. Przymuszona do milczenia i tym sposobem uprzedmiotowiona "młodzież" z hasła propagandowego, ta, która na mocy hasła miała być "z partią", przemówiła we własnym imieniu i wypowiedziała swoją wobec partii postawę. W gierkowskim hasle była zaledwie obietnicą manipulacji propagandowej. Skandując "skończy", ostentacyjnie sprzeciwiała się propagandowemu ubezwłasnowolnieniu, odzyskiwała podmiotowość. Podobnie rzecz się ma z hasłem, w którym przywołano eksploatowaną przez propagandę lat siedemdziesiątych odpowiedź, jakiej na pytanie Gierka "Pomożecie?" mieli udzielić stoczniovcy. "Pomożemy", ułożone z wielometrowych liter, tkwiło przez kilka lat na dachu Zieleniaka, obok drogi prowadzącej do Stoczni. Było symbolem dwuznacznego paktu między władzą i stoczniovcami. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych, być może po 1976 roku, zniknęło. Zalegać chyba jednak musiało głęboko w pamięci, skoro w tak szyderczy sposób zostało po latach powtórzone i wykorzystane, tym razem nie jako znak czy symbol akceptacji i poparcia dla władzy, lecz - przeciwnie - akt (językowej) likwidacji jej szczególnie agresywnej postaci, Wojskowej Rady Ocalaenia Narodowego.

15. Kilku słów komentarza wymaga okrzyk "Maria-Wiktoria". Skandowany był przed domem Wałęsy na Zaspie i miał dwójakie znaczenie: realne i symboliczne. Maria Wiktoria to imiona urodzonej już w stanie wojennym córki Wałęsy. Wzywana przez skandujących tłum przyniesiona została przez matkę na balkon i pokazana demonstrantom. Lecz sens okrzyku - i zdarzenia - nie wyczerpuje się w tej scenie, w tych odniesieniach. Demonstranci, skandując "Maria-Wiktoria", wznosili dłoń w geście zwycięstwa, którego symboliczną zapowiedzią było w powszechnym przekonaniu nowonarodzone dziecko.

## Liturgia i eksces

Manifestacja, która uformowała się wkrótce po Mszy świętej celebrowanej przez Ojca Świętego, Jana Pawła II, na Zaspie 12 czerwca 1987 roku, nie zdobyła szawy. Przemilczała ją oficjalna prasa z każdym dniem coraz mniej zresztą miejsca poświęcająca relacjom z przebiegu wizyty papieża w Polsce. Także chyba prasa katolicka nie była zainteresowana nadawaniem rozgłosu tym politycznym bądź co bądź wystąpieniom. Kilkudziesięciotysięczny tłum demonstrantów wyłaniający się z rzesz wiernych wydadł się mógł czymś niestosownym, samą zaś demonstracją aktem, który zakłóca religijną atmosferę uroczystości. Jeśli powracam teraz do niej, to nie z tego powodu, że od 1 maja 1982 roku (to znaczy od dnia, w którym niezależny, kilkudziesięciotysięczny pochód przemarszerował od kościoła św. Brygidy na Zaspę) nie było w Gdańsku większej manifestacji - a nie było. Powracam dlatego, że w wydarzeniach, które ją poprzedzały, i w niej samej niezwykle wyraź-

nie udawała się nietożsamość zbiorowych pragnień i oczekiwań. Ta nietożsamość doprowadziła do podziału: z ludu bożego, z rzesz wiernych wyłonił się tłum demonstrantów. Dla jednych religijna forma spełniła potrzeby autentycznej ekspresji, dla innych okazała się w końcu niewystarczająca. Na codzień i jedni, i drudzy ożywieni byli tym samym pragnieniem negatywnym - wyjść z kręgu sfałszowanej mowy i ideologicznych rytuałów. Liturgia dawała obietnicę autentyczności publicznych zachowań. I wypełniała to, co obiecywała. Ale pragnienie ekspresji autentycznej, własnowolnej, niczym nie skrepowanej, ekspresji odnajdującej doniero swe formy - to właśnie pragnienie zmuszanych do milczenia mas zdaje się nie znać granic. 12 czerwiec pokazał, w jaki sposób ono narasta i przekracza pierwotne spełnienia.

Demonstracja, która uformowała się po Mszy na Zaspie, była niewątpliwie odejściem od liturgii, przekroczeniem jej form. Ten e k s e s otwierał jednakże przed demonstrującą masą nowe horyzonty ekspresji.

Jak do tego doszło? Jaki był przebieg zdarzeń? Co zrobił tłum? Zbyt wiele czasu upłynęło od tamtych dni bym mógł je dzisiaj dokładnie opisać. Próba rekonstrukcji będzie więc zarazem próbą (mojej) pamięci. Liczyć mogę jedynie na niewielką notatkę z niepełnym rejestrem okrzyków wznoszonych przez demonstrantów. Zrobiłem ją na gorąco. Gdyby nie to, nie bym już chyba nie pamiętał z tego, co wówczas krzyczano. Ale jest i druga trudność, znacznie poważniejsza. Masa, tłum, zbiorowość stawiają opór poznającej je jednostce. Pomiędzy zaangażowanie? współudział?). Kłopoty zaczynają się na poziomie elementarnym. Bo przecież - jedna para oczu to za mało, by zobaczyć, co robi wielotysięczna masa, jedna nara uszu nie wysłucha wszystkiego, co zbiorowość mówi... Doświadczenie przez indywidualium bytu kolektywnego zawsze jest ułomne, fragmentaryczne, narzucone na działanie przypadku. Skoro więc inaczej nie mogę i zawsze patrzyłem z jednego punktu widzenia, zaznaczę przynajmniej wyraźnie, z jakiego.

#### PRZYGOTOWANIA. Zaspą w przeddzień Mszy

Tory tramwajowe przecinają osiedle na dwie, prawie równe części. Gdy więc 11 czerwca przejeżdżałem tramwajem przez środek Zaspę, zarówno po lewej jak i po prawej stronie widziałem budynki, na których wymalowano u szczytu wielkie na wysokość jednego piętra hasła propagandowe. Jeszcze przed kilku dniami ich nie było. Czy to możliwe bym ich nie zauważył? Teraz białe litery na czerwonym tle układały się w znane mi skądinąd deklaracje polityczne: "Socjalizm to nasz ustrój", "Byliśmy, jesteśmy, będziemy"... Obliczone na długie trwanie, na polityczne "zawsze", wtapiały się one w szarość betonowych ścian. Dekoracje religijne były - przeciwnie - zwiewne i nietrwałe. Zamalowane i zapisane błótno swobodnie oplatało się wokół geometrycznych brzy budynków. To jednak, co utraciły na trwałości, zyskały na ruchliwości i swobodzie przemieszczeń. Deklaracje i hasła religijne namalowane na płótnie pojawiać się mogły nagle i w każdym praktycznie miejscu podjąć walkę z czerwono-białymi napisami. Jazda lekka bez trudu pobiera ciężką. Na ścianach domów powstawały - pisane niejedną ręką - wielopoziomowe teksty, pełne wewnętrznych napięć. Poniżej hasła "Socjalizm to nasz ustrój" wymalowanego na szczycie jednego z budynków można było przeczytać napis na płóciennej wstędze: "Nie lękajcie się", a jeszcze niżej, nieco na prawo: "Pan da siłę swojemu ludowi". Na innej znowu ścianie znane propagandowe hasło "Byliśmy, jesteśmy, będziemy" zyskało nowy wygłos: "zawsze wierni Bogu". W podobny sposób dopiskiem "i Bogu" zmieniono sens sloganu "Nasza praca ożyźnia". Nieme zazwyczaj mury osiedla przemówiły dwoma (może nawet



trzema) głosami naraz. Stały się miejscem religijnych deklaracji i politycznej walki. Wyznania wiary, cytaty z Pisma Świętego, umieszczone w sąsiedztwie ideologicznych sloganów, często w jawnym z nimi sprzecz, traciły swój pierwotny, religijny charakter. Prawda, pojawiały się w spolaryzowanej, ideologicznie już zorganizowanej przestrzeni, ale też i same niekiedy - jak w przytoczonych przykładach - angażowały się w sprawę świeckiej polityki. Akt wiary stał się dla niektórych także aktem politycznym - sprzeciwem wobec władzy, odcięciem się od jej sloganów, od zawłaszczanego "my" ("n a s z - ustrój"), chwilowym wypowiedzeniem posłuszeństwa i dobrowolnym oddaniem się pod charzmatyczne zwierchnictwo panieža. W czasie przygotowań do Mszy język religijny okazał się dostatecznie bogaty, pośrednio pozwalał wypowiedzieć także pozareligijne pragnienia społeczeństwa.

Ale w przeddzień Mszy społeczeństwo to nie stanowiło jeszcze ludu bożego zgromadzonego wokół ołtarza. Nie wykoniko też z siebie demonstrującego tłum, który - skandując własne hasła polityczne - pomaszeryje ulicami Gdańska pod "pomnik trzech krzyży". Ołtarz dopiero budowano a każdy spośród tych, co przemierzali rozległą i pustą przestrzeń, która nazajutrz miała się przemienić w największy kościół, szedł jeszcze sam, osobno.

#### SPOTKANIE, Sektor E-5

Rzesze wiernych zgromadzone na Zaspie 12 czerwca 1987 roku żywo reagowały na słowa papieža. Sięgnęły po różnorodne środki wyrazu. Przygotowane wcześniej kolorowe chusty, flagi i transparenty z wymalowanymi napisami, z hasłami i pozdrowieniami (można je i dzisiaj jeszcze odczytać na fotografiach) a przede wszystkim spontanicznie wznieszone okrzyki były próbą wejścia w bezpośredni dialog z papieżem. Pragnienie ekspresji, wyraźnego i bezpośredniego zaznaczenia własnej postawy, aprobaty dla słyszanych słów tak bardzo przybierało w miarę upływu czasu na sile, że papież wygłaszający homilię nie mógł parokrotnie dojść do głosu. Gdy jedno skrzydło milkło, echo przenosiło okrzyki dalej, do odległych sektorów, które je podchwytowały i powtarzały, nie wiedząc, że gdzie indziej zapanowało już milczenie. Ale tylko na chwilę, ponieważ milczące sektory, słysząc z prawa czy z lewa skandowanie, ponownie włączały się w krąg zbiorowej ekspresji. Wydawało się, że głosy przelewające się ponad naszymi głowami nigdy nie ucichną, że pośród milionowej rzeszy zawsze znajdzie się jakaś grupa odczuwająca właśnie potrzebę żywego (więc głośnego) manifestowania swojej postawy, aplauzu, aprobaty dla wypowiedzianych przez papieža słów homilii. Jeden zwłaszcza tej fragment wywołał wielkie poruszenie zgromadzonych rzesz - ten w którym mowa była o solidarności. Dość łatwo zrekonstruować, co się wówczas działo, na podstawie zapisu opublikowanego przez "Gwiazdę Morza" (nr 13 z 21 i 28 czerwca 1987 roku). Redakcja obok słów homilii zaznaczyła bowiem reakcje słuchających a także zdania wypowiedziane przez papieža poza tekstem. Fragment ten rozpoczyna się cytatem z Pisma Świętego:

"«Jeden drugiego brzemiona nosicie» - to zwięzłe zdanie Apostoła jest inspiracją dla międzyludzkiej i społecznej solidarności. (oklaski) Solidarność - to znaczy: jeden i drugi, a skoro brzemię, to brzemię niesione razem, we wspólnocie. A więc nigdy: jeden przeciw drugiemu. Jedni - przeciw drugim. (oklaski i długie rytmiczne okrzyki. W tej sytuacji Ojciec Święty powiedział: Powtórzę żeby nam się wątek nie zgubił. To stwierdzenie wywołało nową falę oklasków.) I nigdy brzemię dźwigane przez człowieka samotnie. Bez pomocy drugih. Nie może być walka silniejsza od solidarności. (oklaski i długo wykrzykiwane słowo solidarność. Wówczas Jan Paweł II powiedział: «Właśnie chcę o tym mówić», a po kolejnych oklaskach dodał: «więc pozwólcie się wypowiedzieć Papieżowi, skoro chce mówić o was, a także w pewnym sensie

za was». Nastąpiła kolejna fala oklasków i okrzyki «Niech żyje Papież». Na to Ojciec Święty zażartował: «Bogu dzięki jeszcze żyję i chcę mówić dalej».

Nie może być program walki ponad programem solidarności. Inaczej - rosną zbyt ciężkie brzemiona. I rozkład tych brzemion narasta w sposób nieproporcjonalny. Gorzej jeszcze: gdy mówi się: naprzód «walka» (choćby w znaczeniu walki klas), to bardzo łatwo - drugi czy drudzy pozostają na polu społecznym przede wszystkim jako wrogowie. Jako ci, których trzeba zwalczyć, których trzeba zniszczyć. Nie jako ci, z którymi wspólnie należy obmyślać: jak «dźwigać brzemiona» «Jeden drugiego brzemiona nosicie»».

Wypowiedziana przez papieża poza tekstem homilii formuła (mówię "o was" - mówię "za was") została podchwycona przez dziennikarzy i przedko obiegła świat, stając się sygnaturą przecieć polskiej pielgrzymki. To zrozumiałe, nazywała przecież dokładnie to, co dokonywało się właśnie w sferze zbiorowej komunikacji. Społeczeństwo pozbawiono na codzień rzeczystej reprezentacji i możliwości legalnej i autentycznej ekspresji swych pragnień (a więc społeczeństwo nieme) odnajdywało w słowach homilii swoje własne słowa. Papież zajął miejsce kogoś, kto wyraża zbiorowe pragnienia, kto spełnia niewysłowione oczekiwania, kto jest - zatem - głosem milczących.

Si milczący a teraz słuchający własnych słów papieskiej homilii także w końcu zapragnęli mówić. Najpierw tylko odpowiedzieć papieżowi (to dlatego tak dżugo nie mógł on dojść do głosu), później przemówić wprost, na własny rachunek, we własnym imieniu. A ponieważ wszelkie inne formy zbiorowej ekspresji zostały im przez władzę odebrane lub zdelegalizowane, pozostawał jedynie eksces - zawsze masom dostępna, zawsze możliwa uliczna manifestacja.

**WYJŚCIE.** Okno na IX piętrze budynku przy ulicy Rokossowskiego

Jak to się stało (i kiedy się stało), że rzesze wiernych przekształciły się w manifestujący tłum? Jak doszło do tego ekscesu? Kto popchnął modlących się do działań nielegalnych w świetle ustanowionego przez władzę prawa? Dlaczego własnymi słowami postanowili dopełnić słowa mówiącego w ich imieniu papieża? Nie odpowiem - niestety - na większość tych pytań. I tak zbyt chyba daleko odchodząc od deklarowanego zamiaru: zrekonstruować bieg zdarzeń. Powracam więc do nich, interpretację pozostawiając na boku.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy to było - po skończonej Mszy, czy dopiero po odlocie papieża z Zaspły. W każdym razie rzesze wiernych zaczęły się już powoli rozpraszać, gdy na dwóch głównych liniach komunikacyjnych placu (oznaczonych na planie jako «droga przejazdu Ojca Świętego») dwie jakieś grupy uformowały się w kolumny. Na czele jednej z nich niesiono transparent z napisem «Solidarność». Obydwie kolumny przesuwały się po linii prostej w kierunku ulicy Rokossowskiego. Z wysokości IX piętra wyglądało to tak, jakby dwa strumienie, z każdą chwilą coraz większe, porywały za sobą kipiącą masę wód. Jść, trochę to może banalnie powiedziane, ale gdy patrzy się z góry na prawie milionową rzeszę, nie sposób uciec od akwizycyjnych skojarzeń i porównań - i metaforyczny okłarż-okręż ujawnia wówczas swe konkretne, zmysłowe uzasadnienia. Tak więc gdy dwa strumienie, coraz potężniejsze, połączyły się w końcu na ulicy Rokossowskiego - pochód demonstrantów ruszył w kierunku Wreszcza.

**PRZEMARSZ.** Wzdłuż trasy pochodu

Granica między demonstrantami a tymi, którzy szli o bok demonstracji, nie rysowała się zbyt wyraźnie. Po obu stronach głównego tej strumienia szli ludzie, dla których trasa przemarszu była po prostu

najkrótsza drogą do domu. Wielu spośród nich włączało się pręcej czy później do głównego strumienia. Po było bardzo łatwe. Wystarczyło podchwycić któryś ze skandowanych okrzyków, wystarczyło zrobić jeden krok i zejść z chodnika na jezdnię, by stać się pełnoprawnym uczestnikiem demonstracji. Bardzo wielu zrobiło ten krok. Utworzyli oni kilkudziesięcioletni pochód. "Czoło na Placu Komorowskiego, też jeszcze za SAM-em na Żwirki i Wigury - dobre półtora kilometra" - relacjonował Krzysztof Jaczyński w swym raporcie. Szedłem blisko czoła i dlatego nie widziałem, co iziało się w dalszych częściach pochodu. I właśnie tam nastąpiło uderzenie. "Od ulicy Kościuszki - relacjonuje dalej ten sam świadek - na tył manifestacji wjechały samochody milicji, które zaczęły dźwiedzić i rozpraszać tłum na mniejsze grupki. Perswazje przez milicyjne megafony, widok wielkiego zgrupowania milicji (podobno w Trójmieście skoncentrowano w te dni około 100 tysięcy milicjantów), legitymowanie - zrobiły swoje. Ta największa chyba od czterech lat masowa manifestacja Solidarności (a właściwie jej próba) zaczęła gwałtownie tonieć i do wiaduktu na Miszewskiego dotarło już tylko... dwa tysiące osób".

Wyrzeczam się cudzą relacją, bo nie mam innego wyjścia. Będąc "z przodu", nie mogłem być równocześnie "z tyłu" manifestacji. Wierzę Jaczyńskiemu, gdy twierdzi, że milicja uderzyła od strony ulicy Kościuszki. Inne, ustne relacje, jakie znam, powierdzają, że - istotnie - tym razem zastosowano skuteczną w efekcie taktykę rozpraszania demonstracji. Uderzenia "w bok" odcinały jakby tułów pochodu od czoła. Ale Jaczyński nie ma chyba racji w dwu innych punktach swej relacji. Po pierwsze - odcięte czoło pochodu było dużo większe niż dwa tysiące osób (ono zresztą nie miało zupełnie świadomości, że zostało odcięte) i dotarło dalej nieco niż do wiaduktu nad ulicą Miszewskiego. Podwójny kordon milicji, przed którym zatrzymali się demonstranci, stał nieopodal ulicy Grunwaldzkiej (milicjanci w szarych mundurach i czapkach, ręce przełożone i skrzyżowane, dłonie zaciskane na pasach).

Drugie zastrzeżenie jest znacznie ważniejsze. Manifestacja z 12 czerwca nie była jednorodna. To nie była wyłącznie manifestacja "Solidarności" - choć prawda jest, że była solidarna. Skandowane przez tłum hasła a także zapewne napisy na transparentach (tych nie pamiętam) takich jak Wolność i Pokój czy Ruch Społeczeństwa Alternatywnego zdradzały udział nowych ugrupowań politycznych - które powstały w ostatnich latach.

Ale - oczywiście - wśród hasła, jakie zdołałem zapamiętać i zanotować, najwięcej powstało w kręgu ideologicznym "Solidarności". Nie ulega wątpliwości, że demonstranci najczęściej skandowali:

- (1) Solidarność
- (2) Nie ma wolności bez Solidarności

Również najbardziej znani działacze ruchu stawiali się bohaterami okrzyków:

- (3) Lech Wałęsa
- (4) Chcemy Lecha, nie Wojciecha
- (5) Zbyszczek Bujak
- (6) Frasyniuk

Być może skandowano także inne nazwiska. Nie wiem, nie usłyszałem. Zanotowałem natomiast dwa okrzyki, które mieszczą się także w kręgu spraw związkowych. Pierwszy jest reakcją na zapowiedziane przez władzę podwyżki, drugi szczerstwem z działającą legalnie OPEE:

- (7) Precz z podwyżkami
- (8) Nowe związki na Powązki

Wprost lub pośrednio zaznaczały swą obecność w czasie manifestacji inne ugrupowania polityczne:

- (9) MZP
- (10) Wolność i Pokój

(11) Precz z Żarnowcem

To ostatnie hasło zdradzało udział przedstawicieli coraz głośniejszego ruchu ekologicznego. Trudno natomiast określić, ktc, jakie ugrupowanie wykrzykiwało:

(12) Urban do ZOO

ponieważ właściwie każde mogło je wykrzykiwać, by tym sposobem określić swą dezaprobatę dla stylu wystąpień i propagandowych manipulacji rzeczownika prasowego rządu.

Obok haseł różnicujących były też hasła, które łączyły i scalały wszystkich demonstrantów, co nie napotykało na trudności, ponieważ jeszcze przed chwilą uczestniczyli oni w religijnym misterium. Tak więc wszyscy łączyli się w okrzykach:

(13) Niech żyje papież

(14) Papież z nami

Pierwszy z nich był wnoszony już wcześniej, przed demonstracją, przez rzesze wiernych zgromadzone na Mszy świętej. Powtarzany teraz przez demonstrantów łączył akt religijny z aktem politycznym - eksces stał się jakby przedłużeniem liturgii. Hasło w moim wyliczeniu następnie wprowadzało jeszcze większe przemieszenie porządków. Te same słowa: "Papież z nami", wykrzykiwane w dwu różnych sytuacjach, zyskały odmienny sens i przekształciły relację między papieżem i zbiorowością. Tam, przy ołtarzu na Żaspie, wierni skupieni byli wokół swego pasterza, który stał w centrum religijnego misterium. Tu, na ulicy, Czciciele Święty włączony został przez skandujących demonstrantów w ich własne szeregi. Owszem, jego symboliczna obecność nadawała demonstracji wyjątkowy charakter, uwznioślała ją, jednakże niewiele przetrwało w niej z kadu liturgii.

Zrównanie symbolicznie i realnie istniejących uczestników a także współobecność ugrupowań politycznych o odmiennych orientacjach politycznych pozwalało demonstrantom uznać, iż są pełną, autentyczną i rzeczywistą reprezentacją całego społeczeństwa. Nic więc dziwnego, że skandowali:

(15) Cała Polska idzie z nami

(16) Tu jest Polska

Oczywiście, miano na myśli Polskę symboliczną, Polskę duchową, istniejącą dzięki zbiorowości - wedle wzoru zapisanego w "Mazurku Dąbrowskiego": "póki m y żyjemy".

Pewna część okrzyków pełniła funkcje operacyjne. Tworzyły ją na przykład, okrzyki, które określały charakter demonstracji:

(17) Dziś bez pałek i kamieni

(18) Demonstracja pokojowa

Deklaracje te nie były gołosłowne, choć jako postulat okazały się w końcu daremne. 12 czerwca za wszelką cenę starano się nie dopuścić do tego, by działania (porządkowe?) milicji przekształciły demonstrację w walkę bezpośrednią, w zamieszki uliczne. Stąd tak często powtarzał się okrzyk podkreślający "pokojowy" charakter demonstracji.

Czy oznacza to, że nie tylko zachowania, lecz również - jak twierdzi Jaczyński - "wnoszone okrzyki nie były raczej prowokujące"? Robiąc jeden wyjątek (dla okrzyku "Jaruzelski na kolana") podaje dalej przykłady trzech nierwowokujących okrzyków: "Chodźcie z nami - wybaczymy" (to zapewne do milicji), "Nie ustąpimy", "Manifestacja pokojowa", "Solidarność". Dwóch pierwszych nie słyszałem. Być może dlatego trudno mi przytoczyć aż tak bardzo przeanieloną obraz demonstracji 12 czerwca. Atakowany przez milicję tłum nie wybacz - nawet jeśli wcześniej uczestniczył w misterium Mszy Świętej. I tak wiele, że w odpowiedzi na atak nie sięga po kamienie.

Inne znowu okrzyki wnoszone były przez manifestantów po to, by przyciągnąć tych, którzy szli obok. W tej agitacyjnej czy może

rekrutacyjnej funkcji pojawił się okrzyk z 1 maja 1982 roku:  
(19) Dziś nie biją, chodźcie z nami

W pewnej chwili tłum przechodzący obok akademików przy ulicy Wyspiańskiego podchwycił czyś okrzyk:  
(20) Studenci z nami

Były też próby perswazji i beznadziejnego dialogu z widocznymi w oddali (ukrytymi w przecznicach) oddziałami milicji:

(21) Nie bij brata za pieniądze  
Słowa te nie zostały jednak wysłuchane. Jednostki milicji, rozstawione wzdłuż całej trasy i rozbijające systematycznie pochód na mniejsze części, zaatakowały w pewnym momencie frontalnie. Czołgo pochodu zatrzymało się przed podwójnym kordonem szarej milicji.

**PERTRAKTACJE.** Między czołem manifestacji a kordonem milicji

Rozpoczął się rozmowy. Któryś z demonstrantów wyszedł z szeregu i stojąc obok kordonu dowódcę (kapitana?) próbował przekonać, że milicjanci powinni się rozstąpić, że manifestacja przejdzie spokojnie i bez awantur pójdzie dalej aż pod pomnik poległych stoczniowców. Tłum wspierał go skandując:

(22) Puścić. Puścić

Milicjanci tworzący kordon milczeli i wydawało się, że nigdy już nie wydobędą z siebie żadnego słowa. Kapitan wszystko rozumie i jeśli chodzi o niego to on chętnie, ale sam tej decyzji podjąć nie może, bo to zbyt ważna sprawa, z którą zwrócić się musi do przełożonych, co nie będzie trudne, gdyż właśnie niedaleko, w radiowozie obok pracuje krótko falówka. Ktoś głośno świadcze. Tłum reaguje natychmiast:

(23) Nie świadać

Kapitan znika. Milicjanci z kordonu patrzą przed siebie, lecz nie widzą stojących przed nimi demonstrantów. Nie wiadomo z której strony rzucana butelka rozbija się o bruk. Jeden z demonstrantów, być może ten, który wcześniej pertraktował a teraz czeka na odpowiedź, zbiera szkło. Pojawia się wreszcie kapitan i wzywa tłum do rozejścia. Kordon trwa na swoim miejscu. Oskłania teraz dwu fotografów i jednego kamerzystę, którzy od pewnego już czasu robią manifestantom zdjęcia, ci zaś wytrzykują:

(24) Siadać

I siadają na jezdni tuż przed kordonem, który nagle, bez zapowiedzi rozstępuje się, przepuszczając oddziały ZOMO uzbrojone w sprzęt do walk ulicznych. Nikt z demonstrantów nie broni się, nikt nie sięga po kamienie. Po kilku minutach pokojowa demonstracja 12 czerwca 1987 roku przestaje istnieć. Na placu pozostają uzbrojeni w pałki i tarcze młodzi ludzie.

---

X W jednym tylko wydawnictwie drugiego obiegu udało mi się odnaleźć relację obszerniej przedstawiającą pozareligijny finał religijnego misterium. Tam na myśli artykuł Krzysztofa Jaczyńskiego pt. "I modlić się nie przestane..." z 2 numeru czasopisma "Przekaz" z 1987 roku. W pomysłcie bliźniaczy tekst Andrzeja Liberańskiego pt. "Jak w narodowym wieczniku" opublikowany w wydawany przez dominikanów miesięczniku "W drodze" (1987, nr 10-11) pozbawiony został wielu fragmentów wykraczających poza to, co określa liturgia. Zapewne efekt działań cenzuralnych. Ale jakich? Ale czyich? Tak czy inaczej - manifestację z różnych powodów przemilczano.

## Mechanizm zbiorowej ekspresji

Gdy myślimy czy - jak ja teraz - piszemy o "mówiących masach", o "skandującym trumie", wówczas wpadamy nieuchronnie w jakiś dysonans poznawczy. Słyszymy słowa, całe zdania, lecz nie widzimy nikogo konkretnego, kto by je układał. Moment inicjalny aktu zbiorowej ekspresji leży poza zasięgiem naszego wzroku, ukryty pozostaje jej mechanizm. To, co bezsowne i pewne, to tylko słowa przez zbiorowość wykrzykiwane. Można je zapamiętać, można zapisać. One istniały i w inny sposób nadal istnieją "materialnie" - kiedyś skandowane, teraz w pamięci świadków lub zapisach. Ale skąd te słowa pochodzą? K t o . na przykład podczas niezależnej manifestacji, która 1 maja 1982 roku przemaszczowała ulicami Gdańską, powiedział "Chcemy wolnej Polski", k t o spośród kilkudziesięciu demonstrantów żądał, by "Uwolnić więźniów politycznych", k t o daw-? wyraz swojemu przekonaniu, że "Solidarność była, jest i będzie"?

Znacznie łatwiej odpowiedzieć na pytanie przeciwne: kto bez wątpienia nie jest autorem okrzyków wznoszonych podczas tej właśnie manifestacji. O tym kimś wiadomo, że niechętnie dopuszcza do współdziałania w mówieniu, że dąży do wyłączenia w korzystaniu z autorskiego prawa, innym przyznając nieograniczone w o l n o ś ć r o w t a r z a n i a , co w sposób modelowy pokazują wszelkie oficjalne manifestacje. Mieszczą się one - jak wiadomo - w ściśle wytyczonych ramach. Władza określa dokładnie, co należy wówczas mówić, co i kiedy krzyknąć z wyciągniętą w górę pięścią a co zgodnie skandować przed trybuną. Jeśli już ktoś zapomniał, jak wyglądały takie spektakle, chętnie przypomnę. Na przykład tak: "Przed trybuną honorową Warszawiacy zatrzymują się dziesiątki razy i skandują słowa:

Pokój , Rozbrojenie , wyrażają gorące poparcie dla inicjatywy Edwarda Gierka wyrażonej na VIII Zjeździe PZPR zwołania w Warszawie europejskiej konferencji w sprawie odprężenia militarnego i rozbrojenia". To oczywiście tylko niewielki fragment. Pełny scenariusz określał wszelkie znaczące zachowania uczestników pochodu, choć przede wszystkim ich słowne manifestacje. W tym punkcie ideologiczna reglamentacja znaczeń była najbardziej rygorystyczna. Niewykluczone, że w pewnych epokach nawet forma pozdrawiania przywódcy podlegała kontroli, cóż dopiero myśleć o hasłach politycznych. Także wtedy, przed pochodem pierwszomajowym w 1980 roku - właśnie o nim była mowa w cytowanej relacji - lista takich haseł została dużo wcześniej ustalona. Już 14 kwietnia donosiła o tym ważnym wydarzeniu "Trybuna Ludu":

"W Związku Radzieckim opublikowano pierwszomajowe hasła Komitetu Centralnego KPZR, który pozdrawiając partię komunistyczną i robotniczą, nawołuje do umocnienia światowego systemu socjalizmu oraz jedności i zwartości komunistów całego świata na zasadach marksizmu-leninizmu i proletariackiego internacjonalizmu". Dalej następuje obszernie wyliczenie uniwersalnych idei i konkretnych spraw bieżącej polityki, na które tego roku postanowił zwrócić uwagę świata Komitet Centralny KPZR. I tak na przykład obok apelu "o wzmocnienie walki przeciwko groźbie wojny światowej, o redukcję zbrojeń i umocnienie odprężenia, przeciwko agresywnym knowaniom imperializmu i hegemonizmu, militarystyki i przeciwko kolonializmowi i rasizmowi", obok hasła na cześć "pokoju leninowskiej polityki Związku Radzieckiego" znaleźć można pozdrowienia dla "narodu afgańskiego, mężnie broniącego zdobyczy Rewolucji Kwietniowej".

Oto więc źródło. Nie trzeba było go nawet specjalnie długo szukać. Źródło słów powtarzanych przez tysiące pochodów pierwszomajowych jest jawne i samo się zdradza. Komitet Centralny KPZR ogłasza -

zapewne w "Prawdzie" - hasła pierwszomajowe. Podejmują je następnie komitety centralne bratnich partii i przydają im nieco miejscowego kolorytu. Stopniowo hasła te w sposób zorganizowany i systematyczny ogarniają coraz większy obszar. Obieg słowa jest zbieżny z dystrybucją władzy. Centralne przekazują założenia ideologiczne obchodów ośrodkom lokalnym. Te z kolei, będąc na swoim terenie centralami, przekazują je dalej - aż w końcu każdy z indywidualnych uczestników pochodu dobrze już wie, do jakiego rodzaju ekspresji jest zobowiązany. Leninowski "pas transmisyjny" działa tylko w jedną stronę. Dzięki niemu Kreml mówi ulicą - polską, czeską, niemiecką...

W 1982 roku, podobnie jak przez wiele ostatnich lat, gdzieś daleko - w Moskwie - trudzone się nad opracowaniem ideologicznych założeń pochodów pierwszomajowych. Później na ich podstawie opracowano - zapewne w Warszawie - szczegółowe scenariusze, w tym również listę obowiązujących haseł. 1 maja pojawiły się one na gdańskich ulicach. Wskrzyszony po rocznej przerwie pochód niósł je na transparentach, wykrzykiwał w chwilach odpowiednich, ściśle określonych scenariuszem. Te hasła przebrzmiewały jednak bez echa. Wątpię nawet czy prócz władzy stojącej na trybunie ktokolwiek je słyszał. Być może więc oficjalny pochód siedł w milczeniu? W każdym razie cokolwiek tam mówiono czy wykrzykiwano, zostało to zagłuszone przez słowa, których nie było w centralnie przygotowanym scenariuszu obchodów pierwszomajowych.

Skąd pochodziły te słowa? - powracam do postawionego przed chwilą pytania - kto był ich autorem? Oficjalni komentatorzy nie mieli w tym względzie żadnych wątpliwości. Ich zdaniem manifestacja w Gdańsku, podobnie jak manifestacje w innych miastach Polski, była inspirowana "z zewnątrz", a więc i hasła stamtąd musiały przywędrować. W oświadczeniu opublikowanym 12 maja przez "Rzeczpospolitą" rzecznik prasowy rządu, minister Jerzy Urban wyjaśnił: "Medawne zajścia, inspirowane i wspierane przez ośrodki zagranicznej dywersji, a organizowane przez awanturników politycznych kryjących się tchórzliwie za plecami dzieci i młodzieży godzą w proces stabilizacji w naszym kraju". Jak łatwo zauważyć, interpretując niezależne wystąpienia pierwszomajowe, władza wykorzystwała schemat znany jej bardzo dobrze z wkaśnych poczyniń. Nie mogła czy też raczej nie chciała uwierzyć w spontaniczność manifestacji, uznała więc, że tak jak organizowany przez nią pochód pierwszomajowy, tak samc kontr-pochód musiał być inspirowany i sterowany z z e w n ę t r z, tyle że tym razem nie przez nią, lecz przez wrogie jej polityczne siły. Na pytanie, kto mówił polskimi ulicami 1 maja 1982 roku, odpowiadała - ustami rzecznika prasowego - że "ośrodki zagranicznej dywersji".

Taka odpowiedź jest skrajna. W ogóle wyklucza możliwość istnienia w masie jakiegos w s w n ę t r z n e g o z r ó d ł a zbiorowej ekspresji. Masa pozbawiona zostaje tym sposobem autonomii. Nie mówi, a jedynie powtarza słowa, które podszeptuje jej "zza pleców" cudzy ("wrogii!") głos. Przedstawiając szeroko tę interpretację w środkach masowego przekazu, władza przyjęła punkt widzenia owego prefekta policji, o którym Merleau-Ponty pisał, że w żaden sposób nie może uwierzyć w autentyczność robotniczych wystąpień. Zrewoltowane masy wydają mu się zawsze ciemne i bezwolne i dlatego mogą być "sprytnie wykorzystywane przez kilku cynicznych przywódców". Ale prefekt policji nie ma racji. Jest zgoła inaczej niż sobie wyobraża. "Ruch rewolucyjny, jak działalność artysty, jest intencją, która tworzy samą siebie, swoje narzędzia i swoje środki wyrazu" - twierdzi Merleau-Ponty. Niemożliwe więc, by cokolwiek projekt intelektualny (ów "wrogii podszept") wpłynąć mógł na poczynania zbiorowości, o ile nie znajdzie oddźwięku w projektach życiowych tworzonych przez jej członków. Oto dlaczego żaden intelektualista-propagandysta, żaden

"awanturnik polityczny", żadne "dywersyjne ośrodki", nie mogą, bo nie są po prostu w stanie kierować masami wbrew ich woli. Nie mogą też ich zmusić do powtórzenia czegokolwiek. Udaje się to tylko wówczas, gdy - jak w oficjalnych pochodach pierwszomajowych - rozbite zostaną autentyczne więzi wewnętrzne konstytuujące klasy, zbiorowości i grupy społeczne. Ale wówczas już nie mamy do czynienia z masą.

Raz jeszcze: zrewoltowanej masie nie wbrew jej woli nie sposób narzucić. Owszem, można jej przedstawić propozycję, ale zawsze są one poddawane sprawdzeniom i akceptowane bądź odrzucane. Akt ten natomiast wspiera się na zbiorowym doświadczeniu, którego żaden "awanturnik polityczny" nie jest w stanie podrobić.

Nie oznacza to oczywiście, że wszystkie hasła wykrzykiwane przez demonstrantów 1 maja 1982 roku powstały spontanicznie w czasie przemarszu tłumów przez Gdańsk. Duża część znana była już wcześniej - niektóre od kilkunastu lat, jak choćby "Prasa Kłamie" z marca 1968 roku, inne od kilkunastu tygodni, na przykład "Wrona skona", "Wiosna nasza". Gdy więc piszę tu o spontaniczności, o autentyczności i własnowolnym akcie ekspresji, mam na myśli również chwile zbiorowej akceptacji, podjęcia i powtórzenia hasła, które powstało gdzie indziej i kiedyś indziej. W aktach zbiorowej ekspresji obydwie te możliwości sąsiadują ze sobą i dopełniają się. Masy raz odnajdują swój wyraz, co zostało już powiedziane, w tradycji wiernie ponawianej bądź modernizowanej, innym razem skłaniają się ku ekspresji momentalnej.

Alle w rejestrze haseł wykrzykiwanych przez demonstrantów szczególnie interesujące są te, które nie miały żadnych uprzednich źródeł ani przyrod. Bo one właśnie w doświadczeniu sensie: zostały wypowiedziane przez tłum, są mowa mas.

Napisakem "zostały wypowiedziane przez tłum", a przecież postawione przed chwilą pytanie - kto mówi? kto powiedział? - nadal pozostaje bez odpowiedzi. Interpretacji, jakie przedstawiła władza, nie sposób traktować serio - toteż uchylam ją bez żalu. Odpowiedź negatywna natomiast - że to nie władza a mówią gdańskimi ulicami - zbyt wiele pozostawia możliwości rozwiązań pozytywnych. Teraz wreszcie na którąś z nich trzeba wskazać. Być może zresztą niepotrzebnie odwiekam ten moment, ponieważ odpowiedź uderzyła się sama, ponieważ została ukryta na powierzchni, w gramatycznej postaci niektórych okrzyków. "Chcemy wolnej Polski", "Dzisiaj nie biją - chodźcie z nami", "Wronie skonać - pomożemy", "Zwyciężymy"... W tych i innych jeszcze okrzykach dochodzi do głosu jakieś "my", które ukonstytuowało się w opozycji do "wy" i "oni". Ale czy to gramatyczne "my", nawet jeśli ma oparcie i uwierzytelnienie empiryczne w rzeczywistej masie, jest owym poszukiwanym podmiotem i sprawcą wypowiedzi? Czy tym, kto mówił, było "my"? Czy "my" mówi? Zwykle jest przecież tylko retorycznym przebraniem ukrytego "ja", któremu przysługuje nieprzekazywalny przywilej ekspresji językowej i dlatego przemawiać może tak chętnie i łatwo w imieniu skazanego na wieczne milczenie "my".

Bo "my" nie mówi. Jest jedynie sygnaturą, znakiem, piętnem, które na wypowiedziach "ja" wyciska zbiorowość w chwili, gdy bierze je w posiadanie. Znak ten łatwo można fałszować (gdy "ja" samowolnie rozciąga swą wolę i swe pragnienia poza swe granice), ten fałsz zaś również łatwo demaskować, wskazując na empiryczną pustkę zainka "my".

"my" nie mówi. "Ja" jest niema. Intencje powiedzenia czegoś, wnoszone do zbiorowości przez każde "ja" z osobna, nie spotykają się we wspólnym słowie. "my" nie mówi także z tego powodu, iż wspólne całej zbiorowości pragnienia, by powiedzieć coś konkretnego może uzyskać różnorodny wyraz. Tak oto zbiorowa ekspresja paraliżowana jest przez dwójaki rodzaj bogactwa. Z jednej strony uniemożliwia ją nadmiar sensu, z drugiej: nadmiar słów. Masa znajduje się w sytuacji



kogoś, kto naraz wykrzyczeć chce wszystko lub - pragnąc powiedzieć coś konkretnego - nie może się zdecydować, jakiego użyć zwrotu. Sukces językowej ekspresji zakłada ten rodzaj samoograniczenia, do jakiego żadna zbiorowość nie jest zdolna (o ile oczywiście nie zostanie przez kogoś zorganizowana). Ma na to zbyt wiele ust i zbyt wiele głów. Po to więc, by "my" mogło przemówić, potrzebne jest mu jakieś "ja".

Ale czy ono jeszcze istnieje w tłumie? Czy mu się nie podporządkowuje? Czy nie roztopia się w nim? Badacze wielkich zbiorowości, od Le Bona poczynając, zwracają uwagę na zanik lub przynajmniej poważne osłabienie poczucia "ja" u jednostek tworzących wielkie zbiorowości. Jung skłonny jest nawet mówić w takich przypadkach o "nieuchronnej regresji psychologicznej", jakiej jednostka podlega. Canetti dodaje, że "stan masy można zdefiniować wręcz jako stan absolutnej równości". Gdzież więc szukać r ó ż n i c y, owego "ja", które mogłoby się stać punktem wyjścia zbiorowej ekspresji? A może jest ono w ogóle zbędne a jego miejsce zajmuje opisana przez Le Bona "zbiorowa dusza"?

Transfiguracja wielu "ja" w "zbiorową duszę" przedstawiona została przez niego w "Psychologii tłumu" jako fakt nie budzący najmniejszych wątpliwości. "W tłumie" - twierdzi Le Bon - zanika świadomość własnej odrębności, uczucia i myśli wszystkich jednostek mają jeden tylko kierunek". Ta strata jednakże jest tylko chwilowa, albowiem - dopowiada dalej - "powstaje jakby zbiorowa dusza; chociaż jej istnienie jest bardzo krótkie, to jednak posiada ona cechy nadzwyczaj wyraźne". Co więcej, zdobywa ona prędko autonomię a także władzę nad jednostkami, ponieważ "każe im inaczej myśleć, działać i czuć, aniżeli działają, myślała i czuła każda jednostka z osobna".

Czy każe im także mówić, wykrzykiwać jakieś hasła, wznosić okrzyki, których wcześniej nie znały? Le Bon odpowiada na to pytanie przecząco. Mimo iż jednostka, która "przestaje być sobą, staje się automatem", to jednak nie "zbiorowa dusza" przemawia jej ustami. Tłum nie jest w jego przekonaniu zdolny do samodzielnej ekspresji słownej. Staje się natomiast niezwykle podatny na działanie cudzych słów, podszeptanych mu hasła, podrzuconych przez kogoś z zewnątrz symboli. Mogą one, zdaniem Le Bona, "wnieść najgorźniejszą burzę w duszy tłumu, potrafią też go uspokoić; z kości ludzi, którzy padli ofiarą tej mocy słów i hasła, można usypać o wiele większą górę niż piramida Cheopsa".

Pozwoliłem sobie przytoczyć powyżej kilka zdań z "Psychologii tłumu" nie dlatego, iżbym sądził, że w tej dawnej, prawie przed stu laty napisanej książce tkwi niepodważalna prawda. Przeciwnie, sądzę, że jej kluczowa idea, "zbiorowej duszy" wyrastającej ponad jednostki, stwarza fałszywą perspektywę poznawczą i uniemożliwia wyjaśnienie tajemnic zbiorowej ekspresji. Sięgnąłem do książki Le Bona dlatego, że wydało mi się niezwykle korzystne przeciwstawić się pewnego typu postawie w jejczesnej i czystej postaci. Dzisiaj przyskonięta ona bywa zwykle scientywnym językiem nauk o społeczeństwie a w wypowiedziach polityków reprezentujących interesy istniejącej władzy skrzętnie kamuflowana. Le Bon natomiast nie ukrywa swych antypatii, tłumy zagrożają porządkowi, którego jest jawnym swolennikiem i obrońcą. Jego książka nie jest neutralna ideologicznie. Jak wielu przed nim i po nim, staje on o b o k w ł a d z y p r z e c i w k o t ł u m o w i. Nie trzeba wielkiej przenikliwości, by dostrzec, iż podobni są w tym do niego dzisiejsi komentatorzy "zajść ulicznych" w Polsce. Le Bon i Urban, choć każdy z nich występował w imieniu i n n e j władzy, powiedzieli w istocie to samo: masy są bezrozumne, kierują nimi niskie instynkty zwierzęce lub "zewnątrzni inspiratorzy", masy nie są zdolne do autentycznej ekspresji, bezwładnie powtarzają jedynie cudze słowa.

Nie sędzę, by zawsze tak było. Myślę nawet, że analizy w stylu Le Bona, tak popularne dzisiaj w Polsce, są wobec współczesnie powstających mas anachroniczne w tym samym stopniu, co ubiegłowieczne "psychologie" społeczeństwa. Z jakiego bowiem powodu był mas nie miałyby podlegać zmianom? Mielibyśmy wówczas przekształcające się nieustannie społeczeństw i ahistoryczny, "pierwotny" tłum, który objawia się w dziejach zawsze w tej samej postaci - taki sam w średnio-wiecznych zamieszkach religijnych, jak w robotniczych manifestacjach w XIX-wiecznej Anglii czy we wspaniałej Polsce. Nie, także tłum, także masy wychodzące na ulicę mają swoją historię. I jest to często historia "wychylona w przyszłość", historia spełnionych zapowiedzi i prefiguracji, które później rozwijane bywają w "statycznym" życiu całego społeczeństwa. Jeśli o mnie chodzi nie widziałem dotąd tłumów, które broniłyby istniejącego porządku społecznego. Ale nie widziałem też - by użyć przyjętej ostatecznie przez Le Bona terminologii - "tłumów zbrodniczych". Moje bezpośrednie doświadczenie społeczne mieści się w tych granicach, nie osiągając ich jednakże. Czym wobec tego były wszystkie te, tak liczne w Polsce lat osiemnastych masowe demonstracje? Myślę, że jedyną dostępną powszechnie formą wyrazu, jedynym sposobem głośnego i jawnego wypowiedzenia posłuszeństwa, niezgodą na poczynania władzy. Tłumy pojawiające się na ulicach **chciały mówić** - a mogły tylko krzyczeć...

Nie potrafię dokładnie określić, w jakim stopniu mój sprzeciw wobec ideologicznej interpretacji działań językowych tłumy także jest ideologiczny. Nie mam złudzeń - tym, co myślę i teraz piszę, kieruje wcześniejszy wybór miejsca w konflikcie między władzą, stworzonym przez nią porządkiem społecznym a żywiołową, wrzącą, zrewoltowaną masą. Gdy więc pytam tu co chwila, kto mówi, i odrzucam odpowiedzi udzielone przez obrońców władzy - tak dawnej, jak i dzisiejszej - staję co stronie niejako rysującej się przyszłości. Jeśli ktokolwiek, to ludzie wychodzący na ulicę są jej zapowiedzią.

To dlatego tak ważne jest, co wtedy mówią i jakie są źródła tego, co mówią, a także, w którym momencie słowo indywidualne, "prywatnie" przez kogoś wypowiedziane staje się słowem zbiorowym - okrzykiem tłumy, mową masy. Bo niewątpliwie - u podstaw zbiorowej ekspresji leżeć musi jakiś pakt między jednostką i zbiorowością, między "ja" (które nie zatracą się w masie bez reszty) i "my" (którym nie kieruje zbiorowa dusza). Na mocy tego tajemnego paktu, który zawieszony jest bez słów, obydwie strony wykonują dopełniające się działania. "Ja" nie wyzbywa się przywileju mówienia. To ono mówi, to w nim tkwią źródła zbiorowej ekspresji. Ale wypowiedziane przez nie słowo jest w pewien sposób wymuszone czy sprowokowane przez masę, która - uchylając stary ład społeczny i wprowadzając nowy - reorientuje i restrykuje, w jakiej rozbrzmiewać będzie jej mowa. Zmiany te dotyczą zarówno przestrzeni fizycznej jak i symbolicznej, jawnej i ukrytej. W chwili, gdy tłum opanowuje ulicę, staje się ona na pewien czas strefą niepodległą, wyłączoną spod panowania władzy. Myśl o prawie krępującym swobodę ekspresji i o instytucjach egzekwujących to prawo (od cenzury po siły przymusu bezpośredniego: milicję, czy wojsko) wydaje się niewczesna i budzić może jedynie śmiech i drwinę tłumy. Wolność ekspresji wydaje się niczym z zewnątrz nie zagrożona. Nie jest też skrepiowana ustanowionymi przez władzę zakazami, granicami, normami. Administracyjne i symboliczne autorytety dnia codziennego tracą znaczenie i wpływ na sposób myślenia masy. Ostentacyjnie zawieszają one (jeśli wręcz nie druzną) korzystny dla władzy sposób przedstawiania i oceniania rzeczywistości. W samej sobie odnajduje uzasadnienie nowego ładu. I samowolnie zajmuje w końcu miejsce, które jest miejscem władzy, miejscem mowy.

Osiągnięty przez masę stan jest niezwykle chwytliwy. Wolność zbiorowej ekspresji, zależy od aktualnej sytuacji na ulicy, na której toczy się walka. Władza, pragnąc odzyskać utracone miejsce, dąży

do tego, by unicestwić fizyczny byt tłum. Wiadomo bowiem, że w chwili, gdy zostanie on rozproszony, wolność duchowa - myślenia i mówienia - stanie się na powrót kwestią indywidualną, zależną od sił i nieświadomości jednostki.

Tymczasem jednak - wyobraźmy sobie - tłum, który oparował ulicę, nie został jeszcze rozproszony i stanowi materialne oparcie ekspresji językowej. Słowo, jakie publicznie wypowiedział wówczas jednostka, przekracza osiągnięty przez zbiorowość stan. Intencja powiedzenia czegoś jest efektem indywidualnej oceny, prywatnego projektu, skrywanego głęboko osobistego urągania. Słowo to jest samowolne i dzikie, ponieważ każde "ja" stanowiące masę może korzystać bez ograniczeń ze zdobytych przez nią swobód ekspresji. Nikt nikogo nie pyta o pozwolenie, po to by mówić wystarczy mocne gardło. Słowo to jest też nieoczekiwane. Pojawia się nagle - bez zapowiedzi, bez przygotowań - i narusza osiągniętą przez masę tożsamość. Wyżania się jakieś "ja", które mówi, i przeciwstawia słuchającej reszcie. Ale trwa to tylko chwilę. Słowa, które zostaną przez masę podjęte, zespolą ją jeszcze silniej. W dzikiej i niekontrolowanej ekspresji indywidualnej w tłumie nie ma niczego obowiązującego. Ten, kto wykrzykuje jakieś słowa, nie może liczyć na żadne przywileje. O ich dalszym losie rozstrzyga ostatecznie zbiorowość. Jedne - odrzucone - przemina bez echa. Inne - te, w których spotkały się niewysławione przedtem intencje zbiorowości - zostaną podchwyczone i powtórzone przez tysiące gardeł. Tak mówią masy...

Przyznam, że są to chwile, które budzą we mnie przerażenie. Eksplozja wywołana słowem, na które czekały masy, jest czymś, co przekracza ludzką miarę. To nagłe zestrojenie artykulacyjne, ta jednorodność wielu tysięcy "ja" dobrowolnie wyrzekających się swej odrębności i wszelkich przywilejów, to unieważnienie różnic... Masy skandują "Solidarność hyka, jest i będzie". "Ja" zestrąja się z "ja". Powstaje wielogłowy podmiot zbiorowej ekspresji, który daje wyraz swym niemych dotąd pragnieniom. Gdy hasło zamiera na ustach skandujących, podmiot ten rozpada się, rozprasza i trwa w tym stanie zawieszony gotowości aż do chwili, w której jakieś inne, rzucone przez kogoś pojedynczego słowo wywoła następną eksplozję.

Czym jest, czym musi być słowo indywidualne, by poruszyć masy? Czy istotnie jest ono słowem wolnym? A jednostka, która zawaria niemy pakt z masą - czy korzysta z niczym nie skrupowanej wolności?

To, co pewne i zdaje się nie budzić wątpliwości, to wolność negatywna. Tworząc masę, biorąc w władanie ulicę, jednostki wypowiedzają posłuszeństwo władzy, wyzwalają się z więzów dnia codziennego, uchylają obowiązujące prawo. "Ie oznacza to jednak, że wszelka władza zostaje wówczas zniesiona i jednostka może mówić wszystko, ryzykując to jedynie, że jej słowa nie zostaną przez innych wysłuchane i podchwyczone. Nie, wolność ekspresji w tłumie jest przez tłum limitowana, ryzyko znacznie większe. Dzieje się tak przede wszystkim dlatego, że zawieszenie prawa jest zazwyczaj częściowe, jakby destrukcyjna siła masy wyczerpywała się w zetknięciu z najbliższą przeszkodą, jakby zbiorowy protest mógł być wymierzony tylko w jeden obiekt. Nietrudno przewidzieć los kogoś, kto podczas politycznej manifestacji znacznie wykrzykiwał hasła nawołujące do rewizji zasad moralnych. Spotka się w najlepszym razie z obojętnością, najprawdopodobniej jednak tłum prędko położy kres jego niewczesnym występniom, ponieważ mogłyby mu one zagrozić. Tożsamość tłumowi niezwykle łatwo unicestwić. Wspiera się ona na bliskości fizycznej jednostek i wspólnotę niewysławionych pragnień i dążeń, które wykonały ze społeczeństwa jakichś "demonstrantów", jakichś "wiochrzycieli" i scaliły w autonomiczny twór. To dlatego tłum - z jednej strony - broni się przed fizycznym unicestwieniem z zewnątrz przez siły pozostające w służbie kwestionowanego porządku społecznego (w sytuacji bezpośredniego zagrożenia sięga po kamienie), z drugiej: ogranicza wolność ekspresji.

Nazbyt duża swoboda doprowadzić by mogła do wewnętrznego rozkładu i tak przecież niezwykle chwiejnej tożsamości. Broniąc się przed tym, tłum - każdy tłum - obstaje przy swoim horyzoncie ideologicznym.

Przez chwilę zastanawiałem się, jakiego w tym miejscu użyć czasownika. Słowo "obstawać" niezbyt dokładnie określa pozycję masy wobec świata idei. Bo niewątpliwie to m a s a s t w a r z a swój własny horyzont ideologiczny. Ale horyzont ten nie jest nigdzie wyłożony wprost ani eksplikowany. Wygląda to tak, jakby to on raczej s t w a r z a ł m a s ę, ponieważ - mimo iż nie został przez nikogo uprzednio skodyfikowany - daje o sobie znać już w momencie pierwszych zbiorowych wystąpień. Od razu jest gotowy. Zapewne więc obydwie akcje dzieją się równocześnie i fizycznemu skupieniu jednostek odpowiada analogiczne skupienie w sferze pragnień, emocji, idei. Nic byśmy zresztą o nich nie wiedzieli, gdyby nie akty ekspresji indywidualnej w tłumie. Słowa wypowiedziane przez jednostki u r z e c z y w i s t n i a j ą ów horyzont, nadają mu społeczną widzialność - wszelkie słowa, nawet słowa przez tłum odrzucane, one także pozwalają oznakować granicę, jaką masa wyznaczyła między swoją wersją prawdy i fałszem, między przyzwoleniem i negacją, między obietkami miłości i nienawiści.

Manifestujący na ulicy tłum dobrze wie, które słowa są jego własne, a które cudze i obce, które prawdziwe a które sfałszowane i podrzycone. Potrafi je bez trudu r o z p o z n a ć, ale nie wypowiedzieć. "My" jest nieme. Po to, by mówić, tłum potrzebuje "ja". Gdy więc ktoś - ktokolwiek, równie dobrze "prowodyr", co "prowokator" lub wreszcie człowiek przypadkowy - t r a f i na słowa mieszczące się w horyzoncie ideologicznym i gdy zostaną one dostatecznie głośno wypowiedziane, tłum natychmiast je podchwyci i zacznie skandować.

Kto wtedy mówi? Raz jeszcze stawiam to pytanie, ponieważ nie znalazło ono dotąd należytej odpowiedzi. Ale stawiam je w nieco innej formie. Czy ten mówi, kto układa hasła skandowane przez tłum, czy tłum, który je skanduje? Która ze stron związanych niemyim paktem bierze górę? "Ja" czy "my"? Kto kogo niewoli? Czy wolność jest warunkiem autentycznej ekspresji i wobec tego mówić to nie podlegać żadnej władzy? Jeśli tak, to czy gra zaimków w akcie zbiorowej ekspresji jest grą o władzę i ten zyskuje lub ocala podmiotowość w mowie ( t e n m ó w i ), kto ją ostatecznie zdobywa? A więc - k t o ?

Fakt, jaki zawiera jednostka i masa w chwili ekspresji, jest asymetryczny. Inny jest wkład i inny zysk tworzących go stron. "Ja" nie wkrada się podstępnie między demonstrantów po to, by przemówić ich ustami. Ale też nie roztopia się w tłumie, nie znika. Nadal istnieje. Jest wręcz nieodzowne. Bez autonomicznego "ja" mechanizm zbiorowej ekspresji nie mógłby w ogóle działać. Co więcej - masa obdarza jednostkę wolnością często większą niż ta, którą jednostka - podporządkowana dotąd władzy - posiadała przedtem. Istnienie masy, jej fizyczna obecność na ulicy jest wyzwaniem rzuconym władzy. W jednej chwili masa może dokonać tego, na co jednostka potrzebuje zazwyczaj długiego czasu. Z wielką katwością zrywa narzucone przez władzę więzy. Ale "ja" płaci masie za to wyzwolenie niemałą cenę. Nie może przekraczać granic horyzontu ideologicznego, który właśnie urzeczywistnia się w aktach zbiorowej ekspresji. "Ja" nie jest więc wobec masy zewnętrzne i władcze. Przeciwnie - to "my", to zbiorowość stanowi "twarda" stronę związku i gdy podejmuje słowa jednostki, gdy zaczyna je skandować - w y w i ą s z c z a "ja" z jego mowy.

Ten, kto władzę uchyla, kto narusza jej przywileje lub je znosi, zajmuje jej miejsce. Tak też i tłum. Opanowując ulicę, wyzwala jednostkę spod presji władzy, ale w tej samej chwili s t a j e s i ę kontr-władzą, przeciw-władzą i ustanawia własne panowanie nad zbiorową ekspresją. Ten skandujący tłum, którego jeszcze przed chwilą nie było a który teraz z taką siłą manifestuje swe istnienie, mógłby - gdyby tylko odnalazł receptę na długowieczność - rozciągnąć

granice swego panowania na całe społeczeństwo. Tkwią w nim zalążki władzy zinstytucjonalizowanej. Tymczasem jednak tym, co faktycznie podlega jego kontroli jest sfera ekspresji - działania czysto symboliczne.

W imię wspólnego dobra i wspólnego losu zbiorowość domaga się, by jednostka złożyła ofiarę z własnej wolności ekspresji. Fakt pojawienia się tu czy tam: m ó w i ą c y c h mas świadczy o tym, że ludzie są skłonni do takich dobrowolnych ofiar i mniej czy bardziej chętnie oddają swe gardła we władanie masy - to znaczy we władanie i n n y c h, to znaczy w i e l u, to znaczy w i ę k s z o ś c i.

x

Słowo skandowane przez masy ma dwa różne wymiary. Powstaje w opozycji do słowa władzy - jest więc miejscem zerwania. Ale jest też miejscem spotkań. Spotyka się w nim jednostka i zbiorowość. Słowo skandowane przez masy powstaje p o m i ę d z y "ja", "my" i "oni". Ten skrócony paradygmat zaimeków kryje nie byle jakie tajemnice. Na poprzednich stronach próbowałem niektóre z nich rozwickłać. Interesował mnie zwłaszcza pakt między "ja" i "my", ponieważ właśnie on bywa najczęściej przedstawiany opacznie. Jednostce przypisuje się zbyt wielką i zarazem zbyt małą rolę. Tymczasem "ja" nie jest ani tak potężne czy choćby zręczne, by narzucić autentycznej masie swoją wolę, ani tak uległe i bezpostaciowe, by rozproszyć się pośród innych bez śladu. A jeśli nie odgrywa żadnej z przypisywanych mu ról: ukrytego za piecami tłumu "inspiratora" czy "podlegacza" ani ludzkiego "materiału" - nie pozostaje nic innego, jak uchylić tradycyjne pytanie, kto mówi masą, i zanymać:

Kim mówi masa?

Ktoś, kto wyczuwa obecność "tłumu niewidzialnego", bez trudu zrozumie potrzebę zmiany podstawowego pytania.

Janusz Górski

## Co czyta kraj /1/

- I. Kreuj wzorce postępu
- II. Dbaj o godność narodu
- III. Twórz klimat krytycyzmu wobec zła społecznego
- IV. Wyzwalaj nowe zasoby ofiarności i zaangażowania
- V. Zwalczaj werbalizm
- VI. Umacniaj patriotyzm pracy
- VII. Popieraj linię partii
- VIII. Kształtuj wzorowe postawy obywatelskie
- IX. Upowszechniaj socjalistyczną świadomość
- X. I socjalistyczny styl życia

## Uzdrowianie kopciuszka polskiej gospodarki morskiej

Jak osiągniecie postawione przed sobą cele?

Ideą powołania Komisji Braterstwa Broni

Jest poszerzenie działalności przyjaźnianej

Poprzez wspieranie TPPR nowym aktywnym

Jak już powiedziałem, chodzi nam o młódzież.

Pytania dla uczestników, wiek 11 - 15 lat:

Jak brzmi pełna nazwa Międzynarodowej Nagrody Leninowskiej

Ilu Polaków otrzymało Międzynarodową Nagrodę Leninowską

Kto i kiedy wydał słynny Dekret o Pokoju

Ze względu na różnorodność zagranicznych obozów

Prosimy o dodatkową informację czy należysz do ZHP.

Radny dzielnicowej rady narodowej w Warszawie:

Popieram zgłoszoną propozycję.

By opodatkować również koty

Choć co do choników i kanarków

Wydeje mi się ona może zbyt daleko idąca.

Mgr Antoni Ryć naszym juniorom:

Czekuję od was ambicji

Postawy godnej Polaka

Musicie koniecznie wyprzedzać akcje Niemców.

Oni walczą agresywnie

Od początku do końca.

Stanisław Rosiek:

Ze środka:

Odczytam się raz jeszcze /i już po raz ostatni w tym ciągu wypowiedzi o władzy słowa/ ze środka szóstego numeru PCDPUNKTU a także ze środka czasu, o którym mówi się, że jest czasem "demokratycznych gruntownych przeobrażeń" i chyba jest nim istotnie, skoro za kilka dni rozpocznie się druga tura głosowania do sejmu i senatu... Mówię więc z jakiejś szczeliny, która powstała w układzie moich i cudzych tekstów a także - co znacznie ważniejsze - ze szczeliny w czasie, z trudnego do opisanie miejsca między dawną i nową epoką. Czas jakby się zatrzymał na krótką chwilę, a w każdym razie płynie nieco wolniej niż przez ostatnie miesiące. Nareszcie coś względnie stabilnego: chwila oczekiwania, między-czas, krawędzie epok. A zatem można wreszcie postawić pytanie, w jakim stopniu zmienił się sens opisywanych przeze mnie "zdarzeń językowych". Mam przed sobą sześć stron, by uzgodnić pisane przez ostatnie lata teksty z chwilą obecną, by nadać im współczesną orientację. Wiem, że to zadanie trudne a być może nawet niewykonalne, ponieważ czas, który na chwilę zatrzymał się, jutro ruszy naprzód /i nieważni~~szymi~~ wszystkim, co dzisiaj dopowiem, co uda mi się "zaktualizować".

Słowa powyższe mogłyby stać się posłowiem do książki, która - mimo iż ostatecznie nie powstała - ma tytuł: "Władza słowa. Szkice, notatki, materiały z lat 1980-1988". Pierwszą jej częścią miał być szkic z 12 numeru PUNKTU "Stręjk mówi sam siebie", części następne publikowane były w kolejnych PCDPUNKTACH, w tym zaś zeszycie, przewidując rychły koniec pisma, dają już wszystko, co dotąd powstało i co nadaje się do publicznego pokazania: od "Referatu" po "Mechanizm zbiorowej ekspresji"

Rezultata niech spoczywa w milczeniu. Przygotowywana książka, dziś wiem to dobrze, nigdy już nie powstanie. Brak na nią, tak myślę, zbiorowej ciekawości, mnie zaś brak już chęci, by kończyć to, co kiedyś - przypadkiem? w poczuciu obowiązku? - rozpocząłem i czym zajmowałem się później z mniejszą lub większą pilnością. Nie potrafię jednakże powstrzymać się przed wypowiedzeniem kilku uwag czy opinii, które pojawić się miały w przygotowywanej książce. Te uwagi i opinie to jakby dalsze ciągi a czasem zamknięcia rozpoczętego publicznie rozprawiania. Końca domaga się przede wszystkim "Referat". Przedstawione strony to dopiero preliminaria. Podobnie chronologicznie ostatni szkic na temat mechanizmu zbiorowej ekspresji - on także, dzisiaj może zwłaszcza on powinien być d o k o n o z o n y, o ile "koniec" w przypadku pisania nie jest tylko złudzeniem. Tak czy inaczej w moim o s t a t n i m s ł o w i e chciałbym w miarę możliwości i sił przeciwstawić się działaniom czasu, który unieważnia wysiłki myślenia i pisania o rzeczach polityki.

Ktoś, kto zacznie odczytywać publikowane na poprzednich stronach teksty o władzy słowa, zorientuje się prędko, że są one niedzisiejsze. Pisane były w mniej lub bardziej odległej przeszłości. Spora część w świecie breżniewowskiego "wyciszenia", gdy słowo "głamaństwo" nie zrobiło jeszcze międzynarodowej kariery. Dzisiaj - odezwie się może jakiś krytyczny czytelnik - 2... władza dobrowolnie ustępuje swym przeciwnikom miejsca /w sejmie 35%, w telewizji 45 minut.../, jaki więc sens ma w chwili obecnej rozstrząsanie jej dawnych grzechów? Również pojęcie "władzy słowa" wzbudza elementarne wątpliwości. Nawet jeśli kiedyś taka "władza" była, dzisiaj przecież już jej nie ma - powie może ten sam czytelnik. Zniszczyła się sama, "od środka". Po cóż zajmować się czymś, co nie istnieje? Jako publicystyka rozważań o władzy słowa są spóźnione, jako analizy historyczne przedwczesne, ponieważ o przeszłości nie wiemy jeszcze wszystkiego.

Włóż jak - odpowiem innymi pytaniami - zio z przestrzeni mówienia zostają raz na zawsze wyeliminowane? Już go nie ma, już nie wróci?



Nigdy więcej nie będziemy siłą przymuszani do milczenia?

Pamięć złośliwie podsuwa obrazy wyciszenia z 13 grudnia 1981 roku. W ~~te~~ głośnych niesiącach, które datę tę poprzedziły, wydawało się, że rozbudzone społeczeństwo nigdy już nie umilknie, że to po prostu niemożliwe ponownie zablokować żywe krwioobieg słowa... Nie, jednak uchylam ten argument. Nie chciałbym tu straszyć przeszłością, zwłaszcza że przywołane zdarzenia wcale jeszcze do przeszłości nie należą. Nasze "teraz" sięga poza tzw. "okrągły stół". Nadal jesteśmy w ś r o d k u tej samej epoki, do której należy i sierpień, i grudzień, i maj... Spektakl trwa. Wszyscy jesteśmy ciągle na tej samej scenie i doprawdy - wbrew mitologiom wielkiej zmiany, zerwania, zwrotu - to, co się dopiero zdarzy, zostało już dawno rozpoczęte i <sup>teraz -</sup> ~~ukryte~~ ~~przez~~ przed naszymi oczyma - dzieje się. Przejdźmy do konkretnego. Interesowało mnie, w jaki sposób słowa władzały ludźmi. Stąd dzisiaj stawiane pytanie:

Czy nowo-mowa nadal istnieje? Pytając tak, przyjmuje się, że kiedyś /wcześniej/ istniała, co wcale nie jest takie pewne. Gdy w końcu lat siedemdziesiątych czytaliśmy zeszyt TKN-u pt. "Język propagandy", nikt w obecność nowo-mowy nie wątpił. Wokół nas /w nas/ było jej pełno. Po sierpniu coś się zmieniło. "Nowo-mowa", zbiór materiałów z sesji naukowej zorganizowanej na początku 1981 roku, kończy się - paradoksalnie - sekwencją głosów kwestionujących tytułową kategorię. W nowo-mowę wątpił wtedy ks. Tischner i Walery Pisarek, Stanisław Balbus i Jadwiga Puzynina. Jednym nie podobał się termin będący kalką angielskiego "newspeak", innym jego znaczenie - nieokreślone, nieprecyzyjne, mgliste, nazbyt metaforyczne. Zgody jednak dyskutanci nie osiągnęli. <sup>Podjęte</sup> (próby rewizji pojęcia, poszły w dwa przeciwnych kierunkach. I tak, Balbus utrzymywał, że społeczeństwo "samorzutnie niejako, acz nie bez «sugestii sterowanych», przekształca swój język w nowo-mowę. Jest to - w przeciwieństwie do powieści Orwell'a - twór społecznej a u t o m i s t y f i k a c j i, zbiorowej

hipnozy". Inaczej ks. Tischner. "U Orwella - mówi? - jest tak, że nowo-mowa jest mitem ludu narzuconym ludowi przez władzę. Władza posługuje się nowo-mową jako narzędziem władzy i zniewolenia. Władza jest przebiegła a lud naiwny. Wydaje mi się, że model ten jest błędny. Nasza nowo-mowa to raczej sen władzy a nie ludu. Lud wie dobrze, gdzie są granice prawdy i ułudy". Przywołane reinterpretacje pojęcia są nieuczędnialne. Bo albo władza jest przebiegła, albo śni. A lud - albo jest niewinny i naiwny, albo sam tworzy nowo-mowę. Zastanawiający rozrzut poglądów. Nowo-mowa jako pojęcie rozpada się. Czy w 1981 roku znika równocześnie jako językowa praktyka. Nie, przeciwnie. Święto wyzwolonych /w sierpniu i przez sierpień/ słów trwa krótko. Nowo-mowa przesłata być monopolem władzy. U schyłku rozpoczętego w sierpniu procesu, dokładnie w ostatnich godzinach "solidarnościowej anarchii", Andrzej Świążda wypowiedział na ostatnim posiedzeniu Komisji Krajowej pogląd, który poddawał w wątpliwość językową niewinność "ludu". "Stworzyliśmy - mówił - «nowo-mowę» Solidarności, język który służy kłamstwu. Używamy języka, który nic nie mówi, jest wieloznaczny. Na przykład słowa «konfrontacja» i «prowokacja». Co to ma znaczyć, że wychodzi działacz i mówi w TV, że podwyżka cen jest prowokacją?".

Tak, wtedy już święto wyzwolonych słów należało do przeszłości. Człogi Jaruzelskiego utrwały tylko ten stan. Czy zatem nie było i nie ma niewinnych? A może to w języku skupia się całe zło? W 1983 roku, gdy przygotowywałem "Referat", skłonny byłem baruziej niż dzisiaj, utrzymywać, że mowa ludzka, w której Miłoz dostrzegł ostatecznie "istotę cywilizacji", jest jednak wynalazkiem piekielnym. Sądziłem przy tym, że tylko literatura, pisana koniecznie z dużej litery, potrafi niekiedy ujarznić tkwiące w mowie zło. Tylko literatura jest "niewinna". Tak sądziłem i miżłem na myśli mowę, która jest donośna, która przekracza "prywatne" okoliczności mówienia i zajmuje jakieś miejsce w przestrzeni społecznej wymiany. Literaturze, choć i ona to czyni, często udaje się jednak zachować coś "prywatnego" i to właśnie broni

ją przed niebezpieczeństwem totalizacji. Czy w tym czasie, w 1983 roku, mogłem myśleć inaczej? Wokół mnie /i wokół nas/ pchnożyło się słowo władzy. Tylko okrzyki skandowane przez demonstrujące na ulicach masy zyskiwały społeczną słyszalność. Literatura wydawała się jedynym wyjściem, jedyną szansą sprzeciwu. Cóż, kiedy milczała i prawie nic ważnego przez te lata nie powstało. W każdym razie ja nic <sup>dla siebie</sup> (nie znalazłem). Najważniejszą w latach osiemdziesiątych formę ekspresji - ekspresji niezależnej od władzy stworzyły demonstrujące na ulicach masy.

W maju 1982 roku po raz kolejny przekamtało się coś w relacjach między słowem, przestrzenią i zbiorowością. Powstał układ inny niż w czasie święta wyzwolonych słów. Sierpniowy strajk - przypomnę - wyłączył spod kontroli władzy zakłady pracy i tym sposobem ustanowił suwerenne i stałe miejsca zbiorowej ekspresji. Strajk mówił sam siebie wieloma ustami. W utworzonym w Stoczni Gdańskiej centrum komunikacyjnym rozlegały się słowa wypowiedane w zakładach pracy całej prawie Polski. To była sekwencja współbrzmiących monologów. Każdy z tych, co zabierali głos, mówił <sup>"od siebie"</sup> ~~na własną rękę~~ - w imieniu swoim lub załogi, która go do stoczni wysłała. Następne miesiące utwierdziły i rozprzestrzeniły stworzone w sierpniu zasady. Oficjalna propaganda nazwała ten stan anarchią. Prawdą jest tylko, że każdy mówił co chciał, każdy stać się mógł komunikacyjnym centrum - więc było ono wszędzie, w każdym zakładzie pracy czy regionie. A zatem anarchia w przestrzeni mowy? Niestety, nie. Ekwiwale w języku siły prędko doprowadziły do samoograniczeń. "Stadność powtarzania" zabiła sierpniową wolność ekspresji.

W pierwszych miesiącach stanu wojennego społeczeństwo jako zbiorowość milczało. Grudniowy opór był niemy. Odezwało się dopiero 1 maja ulicznymi demonstracjami. W wielu miastach Polski uformowały się wielotysięczne masy, które samowolnie biorąc we władanie niewielką przestrzeń, przeciwstawiły władzy własne słowo. Granice tej wyłączonej ~~pr~~ przestrzeni sięgały tak daleko, jak rozpościerała się masa. "Na zewnątrz" nadal obowiązywały tzw. rygory stanu wojennego, "wewnątrz" pro-

klamowano niezależność i wypowiedziano władzy posłuszeństwo. Ta zaś nie pozostawała bierna. Wszelkimi dostępnymi środkami rozpraszając demonstrantów, starała się unicestwić fundament jawnej i niezależnej ekspresji społeczeństwa. Inaczej niż robotnicy strajkujący w swoich zakładach pracy, demonstranci mogli się w każdym prawie miejscu pojawić i przemówić przeciw władzy. Ale tą ruchliwość okupiono niemałymi rygorami. Stałe zagrożenie z zewnątrz a także niezakorzenie w przestrzeni zmuszało do wzmocniania więzi wewnętrznych. Słowo indywidualnie przez kogoś wypowiedziane nie miało szans, nie powoływało do istnienia drugiego słowa a to następnego... Słyszalne było tylko to, co masa podchwyciła i skandowała. Rozpoczął się czas taktycznej jednogłosowości.

Skandowanie stało się podstawowym w latach osiemdziesiątych sposobem ekspresji. Także ekspresji indywidualnej. Lektura wielu niezależnie drukowanych gazet i biuletynów bywała często przygnębiająca. Prawda, że one wzmocniły w oporze, lecz zarazem usztywniały. Ten zanik własnego głosu, wyciszenie różnic, brak wewnętrznego dialogu, niezdolność do autokrityki czy wreszcie konspiracyjne ukrycie nazwisk - wszystko to utrwalało wrażenie, że poszczególne artykuły pisze nie ten lub ów, lecz że skanduje je niewidzialny tłum. Taki był styl epoki i niewiele zmieniło przetrwanie nielicznych, którzy mu nie ulegli.

A dzisiaj? A teraz, ku któremu zmierzam w tym ostatnim słowie? Żdaje się, że mimo ścisłego pluralizmu taktyczna jednogłosowość nadal obowiązuje jako zasada działania. Dostrzec ją można w potępianiu ulicznych manifestacji, w sposobie przeprowadzenia przez "Solidarność" rozgrywki wyborczej, w atakach na własnych dysydentów. I nawet Michnik, którego słowa jeszcze niedawno były przez zbiorowość podchwytywane i powtarzane, sam teraz musi często skandować. Jeśli zaś o mnie idzie, to ja - tak, ja - też, w imię wielogłosowości pójdę głosować. Jednogłosowość. Myślę, że dzięki tej końcowej deklaracji stałem się już wreszcie nieaktualny.

Stanisław Różek

## S e r i a   t r z e c i a

### S z a ł a m o w . R o s s i . B i e n e k .

Adam Ciszek:

Głos z otchłani.

Władimir Szalałow urodził się 18 czerwca 1907 roku w mieście Wołogda - okolicie pięciuset kilometrów na północ od Moskwy. W latach 1926 - 1929 studiował prawo na Uniwersytecie Moskiewskim. Wtedy też podejmował pierwsze próby poetyckie. Jako dwudziestodwuletni student został aresztowany i skazany na pięć lat łagrów na Wyspach Sołowieckich. Wkrótce po zwolnieniu został ponownie aresztowany w 1937 roku i dostał kolejne pięć lat obozu. Radziecka encyklopedia literacka zbryła ten fakt eufemistycznym zwrotem - "bezzaprawnie represjonowany". W 1924 roku przedłożono mu termin odbytu w obozie "do końca wojny" bez żadnego wyroku - po nroście, odłożono zwolnienie więźnia, który odsiedział już wyrok, do lepszych czasów. W rok później jednak skazano go na dziesięć lat za nazwanie Iwana Bunina klasykiem literatury rosyjskiej. Sentencja wyroku brzmiała: "za agitację antyradziecką". Mimo śmierci Stalina w 1953 roku - i upływu terminu wyroku (co w tym kraju, jak widać, nie miało większego znaczenia) - Szalałow nie został zwolniony: jeszcze przez trzy lata musiał walczyć o prawo powrotu do domu. Kiedy wrócił, zresztą w 1957 roku jako pięćdziesięcioletni mężczyzna, a właściwie sterany życiem starzec, do domu już nie było - więzy rodzinne nie wytrzymały próby czasu i braku jakiegokolwiek nadziei.

Po powrocie do Moskwy znów zaczął pisać wiersze, które od czasu do czasu publikowała prasa literacka. Udało mu się wydać nawet kilka zbiorzków poezji: "Krzesełwo" ("Ogniwo" 1961), "Szelest liści" ("Szelest listjew" 1964), "Droga i los" ("Doroga i sudba" 1967), "Moskiewskie obłoki" ("Moskowskije obłaka" 1972). Jest to przeważnie liryka refleksyjna, cechująca się precyzją w doborze słów, oszczędnością środków wyrazu, nowością w budowaniu nastroju poetyckiego, bardzo dobrym osnowaniem rzenioska. Pisał również szkice literackie i przede wszystkim znakomite opowiadania, systematycznie odrzucane przez wydawnictwa radzieckie. Co gorsza, "Opowiadania kołymskie" nie miały początkowo szczęścia także na Zachodzie. Przez długie lata nie ukazywały się w całości, lecz drukowane były pojedynczo lub po kilka w różnych wydawnictwach, niekiedy "naprawiane" przez uczynnych redaktorów. Dopiero w 1967 roku około dwudziestu opowiadań Władimira Szalałowa ukazało się w języku niemieckim, przetłumaczonych wkrótce - z niemieckiego (i) - na francuski. W dwa lata później wydane zostały we Francji następane dwadzieścia siedem opowiadań, tym razem przetłumaczonych już z języka rosyjskiego.

W oryginale "Opowiadania kołymskie" ukazały się w całości dopie-

ro w 1978 roku w londyńskiej oficynie Overseas Publications Interchange Ltd., poprzedzane zwyczajnym wstępem Michała Hellera. Od tego momentu można już było mówić o prawdziwej obecności dzieła Szalamowa w świecie, chociaż jego sława, rzecz jasna, znacznie wyprzedziła tę datę.

Trudno w tak krótkiej notce powiedzieć coś sensownego o tak złożonym i tak niezwykłym utworze. Przede wszystkim pragnę podkreślić, że wszystkie, składające się nań sto trzy opowiadania stanowią w istocie jedną całość. Chociaż nie łączy ich ani bohater (mamy przed sobą długi szereg portretów różnych postaci), ani osoba narratora (występują tu różni narratorzy konkretni: Andriejew, Gozubiew, Krist, Szalamow, a ponadto medium abstrakcyjne, wyrażające jednak punkt widzenia postaci), ani akcja wreszcie (w każdym z opowiadań przedstawiony jest inny epizod, nie powiązany z pozostałymi w jeden łańcuch zdarzeń), to czytelnik bez trudu wyczuwa tę jedność. Oparta ona jest na przedstawionym niezwykle przenikliwie i głęboko szczególnym doświadczeniu egzystencjalnym - doświadczeniu "innego świata".

"Opowiadania kołymskie" nie są zatem wyliczeniem okropności życia obozowego, panoramą hestialstwa czy litanią niewyobraźalnych cierpień milionów ludzi, co już zapewniłoby im ważne miejsce wśród innych świadectw tego typu. Mimo, iż przedstawione w nich zdarzenia i fakty oparte są o wieloletnie osobiste doświadczenia autora, nie mają one właściwie charakteru dokumentu. Dzieło Szalamowa jest raczej przede wszystkim rodzajem badania artystycznego, poetyckiej analizy (przy oksymoronicznym rozumieniu tego wyrażenia) stanu świadomości - postaw i zachowań ludzkich w obliczu sytuacji ostatecznych i zarazem syntetycznym modelem "innego świata". Jest to właściwie uważne, badawcze, pytające spojrzenie w głąb tego świata i w otchłanie duszy ludzkiej.

Poszczególne opowiadania cyklu kołymskiego osnute zostały najczęściej wokół jakiegoś jednego zdarzenia, zawierają jeden niewielki epizod, oglądany pod mikroskopem, tak, że nieznaczne nawet poruszenie najmniejszej cząstki, najmniejszego atomu w tym świecie nie może ująć uwagi tego spojrzenia. Narracja ma charakter bezpośredniej relacji naocznego świadka lub uczestnika zdarzeń, bądź też retrospekcji czy wyznania. Częstokroć narrator zachowuje postawę sprawozdawczą, neutralną - unika komentarza czy oceny. Niekiedy nawet oddaje głos samemu dokumentom. W wielu opowiadaniach jednak komentuje i ocenia zdarzenia i zachowania ludzi, ale zawsze jest to jego zdanie "prywatne", niewyowiedziane ze środka tego świata, narrator bowiem również do niego należy. Dlatego komentarz jego nie ma charakteru autorytatywnego, powszechnie obowiązującego, nie jest odpowiedzią, lecz pytaniem.

Bohaterowie "Opowiadań kołymskich" poruszają się przeważnie w kręgu kilku zaledwie, ale fundamentalnych spraw: pracy, jedzenia, syberyjskiego mrozu (takiego, że plwocina zamara w locie) i śmierci. Wszystkie ich myśli skupione są tylko na tych tematach, całe życie sprowadza się do tych czterech wymiarów. Pozbawieni przeszłości i przyszłości, odarci ze wspomnień i marzeń, są więźniami chwili, nie wybiegają myślami daleko naprzód: prawdziwym pragnieniem jest zaspokojenie głodu, ogrzanie się, teraz, w tej chwili, jedynym marzeniem - śmiercią na przycy w baraku, a nie na drzewie, w błocie, pod butami wspaniętów. Prawdziwy problem stanowi dla nich jednak nie tyle zaspokojenie głodu, ile doniesienie szabą drżącą ręką kawałka chleba do ust, nie tyle wyrobienie branej z sufitu normy, aby otrzymać przydział jedzenia, ile przedstawianie zdrętwiałych, chorych nóg w drodze do pracy. Dlatego wyślenie ich ma charakter konkretny, wręcz "techniczny": jak najlepiej pogryźć kromkę bezębnymi dziąskami, aby na jak najdłużej starczyło. Stąd nastawienie

na szczegól i specjalny stosunek narratora do czasu i przestrzeni, dzięki którym powstaje jedyny w swoim rodzaju wizerunek życia na czterechobrotach, niczym na zwolnionym filmie, właściwie agonii życia czy jego inercyjnego, jałowego biegu, już na przedprozach śmierci.

Bohaterowie wywodzą się z różnych warstw i grup społecznych: są to byli poeci i profesorowie uniwersytetów, inżynierowie i robotnicy, chłopi i urzędnicy, sekciarze oraz wysocy dostojnicy partyjni i państwowi. Zróznicowani są również narodowościowo: są tu Rosjanie i Polacy, Niemcy i Ukraińcy, Estończycy i Żydzi. Ale ta różnorodność to tylko przeszłość, właściwie już nieobecna. Tutaj wszyscy są zrównani: jednakowo mają wygląd, identyczne myśli, ten sam cel. W pewnym sensie stanowią modelową realizację egalitarnego społeczeństwa komunistycznego. Dzielą się tylko na ofiary i oprawców, ale nawet te role nie odróżniają ich aż tak bardzo od siebie, gdyż często ofiara sama staje się katem, kat natomiast dzieli los ofiary.

Świat "Opowiadań kołymskich" jest samym dnem otchłani, stanowi granicę ludzkiego doświadczenia i granicę rozumienia zarazem. Dlatego dzieło Szałamowa ma postać pytania. Jest to pytanie, kierowane do nas z ostatniego kręgu piekła, z samego jądra ciemności, będące świadectwem zachowania człowieczeństwa w tym nieludzkim świecie. W wydaniu samizdatowym dołączony był do opowiadań list Fridy Wigdorowej do Warłama Szałamowa, w którym pisała m.in.: "przeczytałam Pańskie opowiadania. Są one najokrutniejsze ze wszystkiego, co czytałam w życiu. Najbardziej gorzkie i najbardziej bezwzględne. Ludzie w nich są bez przeszłości, bez biografii, bez wspomnień. Stanowią dowód, że nieszczęście nie łączy ludzi, że człowiek myśli wówczas tylko o sobie, tylko o tym, żeby przetrwać. Dlaczego więc zamknęłam książkę z wiarą w honor, dobro, godność człowieka? Jest w tym jakaś tajemnica, nie umiem tego wyjaśnić, nie wiem, jak to się dzieje. Ale jest właśnie tak".

Podzielałam ten pogląd. Ja odniosłam również takie wrażenie. Kto wie zresztą, może, gdyby było inaczej, ta książka miałaby moc zabijania? Ale ona jest zwrócona ku życiu - przeciwko śmierci, ku światłu - przeciwko ciemności, ku dobru...

To jest chyba największy sukces artysty, prawdziwe jego zwycięstwo.

Zwycięstwo, mimo iż w 1972 roku, pod naciskiem typowego "homo sovieticus" Borysa Polewoja, znanego jako autora "Opowieści o prawdziwym człowieku", a w owym czasie redaktora miesięcznika "Junost", w którym publikował swoje wiersze Szałamow, pisarz wyparł się "Opowiadań kołymskich" i potępił fakt ich publikacji, a tym samym jakby urzekreślił ich istnienie. Ale dzieło jego jednak żyje, wyrzeczenie się nie unicestwiło go, nie mogło unicestwić. Przeczwienie, sam ten akt stał się znamienym post scriptum do niego. Post scriptum, które pisarz dopisał już własnym życiem.

Na koniec pragnęłam jeszcze wyrazić przekonanie, iż kołymski cykl Warłama Szałamowa jest jednym z najoryginalniejszych i najwybitniejszych zjawisk w literaturze rosyjskiej, a nawet światowej, przy czym o jego randze nie stanowi tematyka, lecz waga i doniosłość artystyczna. Sam utwór przypomina w pewnym stopniu - w zakresie postawy twórczej - wrozę Izaaka Babela, a zwłaszcza jego "Armie Konną". Na gruncie polskim najbliższy Szałamowi jest niewątpliwie Tadeusz Borowski: obaj byli prozaikami i poetami zarazem, pozostawając nimi również w opowiadaniach obozowych; obaj najgłębiej chyba sięgnęli w penetracji duszy ludzkiej w sytuacji ekstremalnej; obaj wreszcie zapakali za to całym swoim życiem, chociaż każdy na swój sposób. Nie ujmuję to jednak oryginalności żadnemu z nich: zarówno dzieło Szałamowa, jak i Borowskiego jest jedyne w swoim rodzaju i niepowtarzalne.

Warkam Szalamow

Sherry brandy

Umierał poeta. Duże obrzmiałe z głodu dłonie z białymi bezkrwistymi palcami i brudnymi, długimi, zwijającymi się w rurki paznokciami mimo zimna leżały na niersi. Przedtem chował je za pazuchę, na gołe ciało, ale teraz dawało ono zbyt mało ciepła. Rękawice dawno już zostały skradzione - kradziono w biały dzień, aby kraść, wystarczyło być tylko bezczelnym. Zabrudzone przez muchy matowe elektryczne słonce, zakute w okrzepłe kręto, przymocowane było wysoko pod sufitem. Światło padało na nogi poety. - leżał on w ciemnym zaczębieniu dolnego rzędu ciasno stłoczonych białych krzeseł, niczym w skrzyni. Od czasu do czasu jego palce wykonywały ruch, trzeszcząc przy tym jak kastaniety i obracowały guzik, pętelkę, dziurkę w kurcie, strzępywały jakiś pyłek i znów nieruchomiały. Poeta umierał tak długo, że przestał już zdawać sobie sprawę z tego, że umiera. Niekiedy pojawiała się boleśnie, wręcz dotykalnie przeciskająca się przez zwoje mózgu, jakaś prosta i zasadnicza myśl - że skradli mu chleb, który schował pod głowę. I to przejmowało go takim niepokojem, lękiem, że gotów był sprzeczać się, kłócić się, bić, szukać, udowadniać. Ale brakowało na to wszystko siły i myśli o chlebie zanikała... I natychmiast zaczynał myśleć o czymś innym - o tym, że mają wszystkich wywieść za murze, ale statek spóźnia się z jakiegoś powodu, i że to dobrze, iż znajduje się tutaj. I z taką samą zatwością i chwilejnością myślał już o jużym znamięniu na twarzy dyżurnego baraku. Przez większą część doby myślał tylko o zdarzeniach, wyprzedzających jego obecne życie. Przywidzenia, pojawiające się przed jego oczami, nie zawierały obrazów dzieciństwa, młodości, sukcesów. Całe życie dokadł się śpieszył. To wspaniałe, że teraz nie trzeba się śpieszyć, że można spokojnie porozmyślać. I on bez pośpiechu myślał o wielkiej jednostajności przedśmiertnych ruchów - o tym, co jeszcze przez artystami i poetami zrozumieli i opisali lekarze. Twarz Hipokratesa - przedśmiertna maska człowieka zna każdy student akademii medycznej. Ta zaradkowa jednostajność ruchów przedśmiertnych stała się punktem wyjścia najśmielszych hipotez Freuda. Jednostajność, powtarzalność - oto bezwarunkowy grunt nauki. Tego, co w śmierci jest niepowtarzalne, szukali nie lekarze, lecz poeci. Świadomość, iż jest w stanie jeszcze myśleć, sprawiała mu przyjemność. Spowodowane wypłóceniem nudności dawno już stały się czymś zwyciężającym. I wszystko absorbowało go w równym stopniu - Hipokrates, dyżurny ze znamięciem na twarzy i jego własny brudny paznokcieć. Życie to wrażało do niego, to odchodziło i on umierał. Ale potem powracało znowu, otwierały się oczy i pojawiały myśli. Tylko pragnienia już się nie pojawiały. Od dawna już żył w świecie, w którym często przywracano ludziom życie - przy pomocy sztucznego oddychania, salkoxy, kamfory, kofeiny. Umarzył znowu stawał się żywym. I dlaczego by i nie? Wierzył w nieśmiertelność, realną nieśmiertelność na tym świecie. Często myślał o tym, że z punktu widzenia biologii po prostu nie ma żadnych nowoców, aby człowiek nie miał być wiecznie... Starość - to tylko możliwa do wyleczenia choroba - gdyby nie to nie rozwiązane do tej chwili nieporozumienie, on sam również mógłby żyć wiecznie. Albo tak długo, aż się zmęczy. I on wcale się nie zmęczył życiem. Nawet teraz, w tym etapowym baraku "brandyce", tak z czułością nazywali go tutejsi ludzie. Był to przedświatek piekła, ale jeszcze nie samo piekło. Irzeczniwie,



panował tu duch wolności i wszyscy to odczuwali. Przed nimi znajdował się obóz, za nimi zaś - więzienie. Było to "zawieszenie broni" na czas drogi i poeta to rozumiał.

Istniała jeszcze jedna droga do nieśmiertelności, wskazana przez Tytuczewa:

"Szczęśliwy, kto oglądał świat

W chwilach przemiany i przełomu" (przeł. J. Tuwim).

Ale jeżeli nawet nie uda mu się już, jak widać, osiągnąć nieśmiertelności w ludzkiej postaci, w sensie fizycznym, to przecież w pełni zaszczyt na nieśmiertelność jako twórcę. Mówiono o nim jako o wiodącym poecie rosyjskim dwudziestego wieku i on sam też często myślał, że tak jest rzeczywiście. Wierzył w nieśmiertelność swoich wierszy. Nie miał własnych uczniów, ale czyż poeci potrafili ich znieść? Pisał również prozę - szabą, a także eseje. Zawsze uważał jednak, iż tylko w wierszach odkrył coś naprawdę nowego i ważnego dla poezji. Całe jego minione życie było literaturą, książką, baśnią, snem, tylko dzień dzisiejszy był realnym życiem.

Myślenie o tym wszystkim było pozbawione napięcia, utajone, ukryte gdzieś głęboko w sobie. Rozmyślaniom jego brakowało pasji. Od dawna opanowało go już zobojętnienie na wszystko. Cóż to były za grupstwa, pusta krzątania, w porównaniu z nieznośnym ciężarem życia. Sam sobie się dziwił - jak można w ten sposób myśleć o wierszach w sytuacji, kiedy kłamka zapadła, a on wiedział o tym bardzo dobrze, lepiej niż ktokolwiek inny. I kto zresztą? Komu on tu jest potrzebny i kto może się z nim równać? Dlaczego należało to wszystko zrozumieć. I on czekał ... i zrozumiał.

W chwilach, kiedy życie powracało do jego ciała i jego na pół otwarte, mętne oczy zaczynały nagle widzieć, powieki zaczynały drgać, a palce ruszać się - powracały również myśli i nie przychodziło mu nawet do głowy, iż są to myśli ostatnie.

Życie powracało samo, jak pełnoprawny gospodarz; nie wołał go, ale ono mimo to napełniało jego członki, mózg, podobnie jak napełniały go wiersze czy natchnienie. I znaczenie tego słowa po raz pierwszy odskonięte zostało przed nim w całej swojej pełni. Wiersze były życiodajną siłą, dzięki której żył. Właśnie tak. On żył nie dla wierszy, lecz wierszami.

Stało się teraz tak wyraźnie, tak namacalnie jasne, że właśnie natchnienie było życiem; tuż przed śmiercią dane mu było poznać, że życie było natchnieniem, właśnie natchnieniem.

I on cieszył się, że dane mu było poznanie tej ostatniej prawdy.

Wszystko, cały świat zrównany został z wierszami - pracą, dandaniem koni, dom, ptak, skała, miłość - całe życie z łatwością mieściło się w wierszach i znajdowało w nich wygodne schronienie. I tak zresztą powinno być, albowiem wiersze były słowem.

Również teraz z łatwością powstawały jedna za drugą kolejne zwrotki, chociaż on dawno już nie zapisywał i nie mógł zresztą zapisywać swoich wierszy, ale mimo to słowa pojawiały się łatwo, w jakimś gotowym i za każdym razem niezwykłym rytmie. Rym pełnił rolę szukacza, wybieraka magnetycznego słów i pojęć. Każde słowo, stanowiące fragment świata, reagowało na rym i cały świat przemykał z prędkością jakiejś maszyny elektronicznej. Weź mnie! Nie, mnie! - wołało wszystko wokół. Nie musiał niczego szukać. Wystarczyło tylko odrzucać. Byli w nim jakby dwaj ludzie - jeden, który pisał, pracujący na najwyższych obrotach, i drugi, który wybierał i od czasu do czasu zatrzymywał rozpędzony mechanizm. I kiedy zobaczył, że jest w nim dwóch ludzi, zrozumiał, że tworzy teraz prawdziwe wiersze. No i co z tego, że nie zapieane? Zapisywanie, drukowanie - wszystko to marność nad marnościami. Wszystko, co powstaje nie bezinteresownie, nie jest najlepsze. Najlepsze jest to, co nie zostało zapisane, co powstało i zniknęło, wyparowało bez śladu i

tylko wysiłek twórczy, który odczuwa, a którego nie można z niczym pomylić, dowodzi, że powstał wiersz, że zostało stworzone piękno. Ale czy się nie myli? Czy nie zwoźzi go zadowolenie artysty?

Przypomniał sobie, jak słabe, jak bezradne poetycko były ostatnie wiersze Błoka i że Błok zdaje się tego nie rozumiał...

Poeta z wysiłkiem nowstrzymał pęd myśli. Było to zatwiejsze tu, niż gdzieś w Leningradzie czy Moskwie.

W tym momencie słabnął się na tym, że już od dawna o niczym nie myśli. Życie znów uciekało z niego.

Przez wiele godzin leżał nieruchomo i nagle zobaczył w pobliżu siebie coś w rodzaju tarczy strzelniczej czy mapy geologicznej. Mapa była niema i on na próżno usiłował zrozumieć co przedstawia. Upłynęło sporo czasu, zanim się zorientował, że to jego własne dłonie. Na koniszkach palców pozostały jeszcze brązowe ślady od dopalanych, wysysanych do samego końca skrętów z machorki - na opuszkach wyraźnie występowały zarysy linii nabylarynych, niczym poziomic na mapie topograficznej korzystego terenu. Były one identyczne na wszystkich dalszyciu palcach - koncentryczne kregi, jak słoje na pniu ściętego drzewa. Przypomniało mu się, jak pewnego razu w dzieciństwie zatrzymał go na bulwarze Chińczyk z bralni znajdującej się w piwnicach domu, w którym mieszkał. Chińczyk przypadkiem wziął go za rękę, notem za drugą, odwrócił dłońmi ku górze i ze wzburzeniem zaczął coś krzyczeć w swoim języku. Okazało się, że ogłosił chłonce szczęściarzem, posiadaczem niezawodnego znaku. To znamie szczęścia wspominał poeta wiele razy, szczególnie zaś często wtedy, kiedy już wydrukował swoją pierwszą książkę. Teraz wspominał Chińczyka bez złości ani ironii - było mu wszystko jedno.

Najważniejsze, że jeszcze nie umarł. A przy okazji, co to znaczy: umarł jako poeta? Coś dziecięco naiwnego musi być w takiej śmierci. Albo coś z udawania, teatralności - jak u Jesienina czy Majakowskiego.

Umrzeć jako aktor - to jeszcze można zrozumieć. Ale umrzeć jako poeta?

Tak, on się domyślał coś niecoś z tego, co go czekało w przyszłości. Na etapie wiele zdążył zrozumieć i odradzać. I cieszył się, w cichości ducha cieszył się swoją bezsilnością, spodziewając się, że umrze. Przypomniał sobie dawny więzienny spór - co jest gorsze i straszniejsze: obóz czy więzienie - nikt tego tak naprawdę nie wiedział, argumenty były wysrane z palca. I przypomniał sobie okrutny uśmiech jednego człowieka, przywiezionego do tego więzienia z obozu. Uśmiech tego człowieka wrył mu się w pamięć na zawsze tak, że bał się o nim pomyśleć.

Wyobraźcie sobie, jak sprytnie ich oszuka, gdy teraz umrze - tych, którzy go turzywieśli - na całe dziesięć lat. Kilka lat temu był na zesłaniu i wiedział, że na zawsze został wciągnięty do specjalnych rejestrów. Na zawsze?! Skale uległy przesunięciu i zmieniło się znaczenie słów.

Znowu poczuł, że zaczyna się przypływ sił, właśnie przypływ, jak w morzu. Wielogodzinny przypływ. A potem - odryw. Ale morze przecież nie cofa się przed nami na zawsze. Jeszcze wyzdrowieje.

Nagle zachciało mu się jeść, ale nie mógł się poruszyć. Powoli i z trudem przypomniał sobie, że dzisiejsze zupę oddał sąsiadowi i jedynym jego posiłkiem w ciągu ostatniego dnia był kubek przegotowanej wody. Oczywiście trochę chleba. Ale chleb otrzymał już bardzo dawno temu. Wczorajszy zaś mu skradziono. Ktoś miał jeszcze siły na kradzież.

Leżał tak aż do rana, lekki i bez uczucia. Światło elektryczne nieco przytłaczało i jak co dzień, urzynieszono chleb na dużych tacych z dykty.

Ale on już się nie denerwował, nie wypatrywał przylepki, nie płakał, kiedy trafiała do kogo innego; nie wpychał drżącymi rękami do ust "dokładki" - aby momentalnie stępiała na języku, zaś nozdrza nadymały się i cała istota chłonał zapach i smak świeżego żytniego chleba; a dokładka już zniknęła w ustach, chociaż nie zdołał przełknąć ani poruszyć szczękami: kawałek chleba wyparował, zniknął, był to cud - jeden z wielu tutejszych cudów. Nie, teraz już się nie denerwował. Ale kiedy włożyli mu do rąk jego całodzienną rację, chwycił ją swoimi bezkrwistymi palcami i przycisnął do ust. Gryzł chleb przeżartymi szkorbutem zębami, dziąsła krwawiły, zęby chwiały się, on jednak nie odczuwał bólu. Z całej siły przyciskał do siebie chleb, napychał nim usta, ssał, szarpał i gryzł...

Sąsiedzi powstrzymywali go:

- Nie jedz wszystkiego naraz, później zjesz, później...

I poeta zrozumiał. Rozwarł szeroko oczy i nie wypuszczał skrwawionego chleba z brudnych sinych rąk.

- Kiedy później? - powiedział jasno i wyraźnie. I zamknął oczy. Pod wieczór poeta umarł.

Ale z "inventarza" skreślono go dopiero za dwa dni - pomysłowym sąsiadom udawało się przez dwie doby otrzymywać chleb za zmarłego; zmarły podnosił rękę jak marionetka. Tak więc umarł on wcześniej od daty swojej śmierci, co nie jest faktem bez znaczenia dla jego przyszykłych biografów.

Przełożył ABC

## Warkam Szakamow

### Apostoł Paweł

Kiedy wywchnąłem stopą na skutek upadku z wyszlizanej drewnianej drabiny w szurfiu, kierownictwo przekonało się, że okulałem na długo, a ponieważ nie wolno było pozostawać bez pracy, przeniesiono mnie jako pomocnika do stolarza Adama Fryzorgiera, z czego obaj - i ja, i Fryzorgier - bardzo się ucieszyliśmy.

W swoim "niewszym życiu" był on pastorem w jakiejś niemieckiej wiosce w pobliżu Marksstadtu nad Wołgą. Spotkaliśmy się na jednym z większych etapów w czasie kwarantanny z powodu tyfusu i przyjechaliśmy tu razem na poszukiwania złóż węgla. Fryzorgier, podobnie jak ja, miał już za sobą tajgę, był nawet "muzulmanem" i na pokły obłąkany został odesłany z kopalni na etap. Jako inwalidzi skierowani zostaliśmy na poszukiwania złóż węgla w charakterze "obsługi" - kadry specjalistyczne zwiadu geologicznego skradają się z wolnonajemnych. Co prawda, byli oni niedawnymi więźniami, którzy dopiero co odsiedzieli wyrok. W łazrze nazywano ich nogardliwym przezwiskiem "wolniaszek". Czterdziestu takich wolnonajemnych ledwie wyskrobało w drodze dwa ruble na kupno machorki, ale i tak nie mogliśmy się z nimi równać. Wszyscyśmy wiedzieli, że za jakieś dwa, trzy miesiące będą mogli sprawić sobie ubrania, pozwolić na wypicie wódki, otrzymają paszporty, a może nawet wyjadą za rok do domu. Nadzieje na to były tym większe dlatego, że kierownik zwiadu Paramonow obiecał im wysokie zarobki i polarne racje żywnościowe.

"W cylindrach do domu wróćcie" - powtarzał im stale. Z nami natomiast, z więźniami, nikt nie prowadził rozmów ani o polarnych racjach, ani o cylindrach.

Zresztą kierownik nie był wobec nas ordynarny. Do obezługi zwiadu nie chcieli mu dać nawet pięciu więźniów - było to maksimum, które Paramonow zdołał wyprosić.

Nie znaleźliśmy się jeszcze między sobą, kiedy wywołano nas według listy z baraków i postawiono przed obliczem Paramonowa, który przyglądał się nam swoimi jasnymi i przenikliwymi oczami. Wynik badania był zadowalający. Jeden z nas, jarosławski kpiarz Izgibin, z siwymi wąsami, który nawet w obozie nie stracił swojej przyrodzonej żywości, był zdumem. Jego fach trochę mu ukatwił życie, więc nie był tak wyniszczony jak pozostali. Drugi, jednooki gigant z Kamieńca-Podolskiego, był - jak sam przedstawił się kierownikowi - "palacem parowozowym".

"A więc znasz się odrobinę na ślusarstwie" - powiedział Paramonow. "Znam się, znam się" - skwapliwie przytaknął "palacz". On natychmiast zorientował się w korzyściach pracy z wolnymi.

"Zreści, nazwiskiem Riazanow, był agronomek. Ta profesja wywołała zachwyt kierownika. Na podarte łachmany, które miał za siebie agronom, nikt, rzecz jasna, nie zwrócił najmniejszej uwagi. W obozie nie sądzi się człowieka z ubioru, a Paramonow dobrze znał warunki obozowe.

Ozwartym byłem ja. Nie byłem ani zdumem, ani ślusarzem, ani agronomek. Ale mój wysoki wzrost widocznie uspokoił kierownika, zresztą nie warto było się męczyć nad poprawianiem listy z powodu jednej osoby. Skinał głowę.

Natomiast nasz piąty towarzysz zachował się bardzo dziwnie. Mamrotał słowa medlitwy i zastaniał rękami, nie reagując na głos Paramonowa. Ale i to nie było dla kierownika nowością. Zwrócił się do stojącego obok dyspozytora, trzymającego w rękach żółty plik skoroszytów - tak zwanych "akt personalnych".

- On jest stolarzem - zgadując pytanie, powiedział dyspozytor. Przesłuchanie było skończone i zostaliśmy wysłani na poszukiwanie węgla.

Przyorgier opowiadał mi potem, że kiedy go wywołano, pomyślał, że to na rozwałkę, tak zastraszył go oficer śledczy jeszcze w kopalni. Mieszkałem z nim przez cały rok w jednym baraku - nie było takiego wypadku, żebyśmy się pokłócili. Jest to niezwykła rzadkość w stosunkach między więźniami, zarówno w obozie, jak i więzieniu. Kłótnie rodzą się z byle powodu i momentalnie osiągają taki stopień napięcia, że zdawałoby się - kolejnym stopniem może być już tylko nóż, albo w najlżejszym wypadku jakiś pogrzebacz. Ale je wszystko nauczyłem się nie przywodziwać większej wagi do tych soczystych wyznisk. Gorączka szybko opadała i jeżeli obaj jeszcze przez długi czas leniwie wrzeczali się wymyślaniami, to robili to raczej "dla porządku", aby "zachować twarz".

Jednak ja w Przyorgierem ani razu się nie pokłóciłem. Myślę, że tylko to było zastępcę, albowiem nie znam człowieka bardziej szczerego, niż on. Mówił niewiele, nikogo nie obrażał. Głos miał stary, trzęsący się, ale jakoby sztucznie, takby specjalnie. Takim głosem mówi w teatrze młodzi aktorzy, grający starców. W obozie wielu się stara (zresztą nie bez powodzenia) uchodzić za starszego i fizycznie słabszego, niż w rzeczywistości. Wszystko to nie zawsze robione jest świadomie i celowo, ale często jest instynktowe. Ironia losu polega tu jednak na tym, że wiktoryści tywni, którzy dodają sobie lat i udają słabszych w rzeczywistości, poszła do stanu cięższego niż ten, który próbowali odgrywać. Ale w obozie Przyorgiera nie było żadnego udawania.

Jedynennie samo i wieczorem Przyorgier wodził się bezcennie, bezdłony do wyzniskich tywni, wpatrzony w podłogę, i jeżeli nawet miał udział w wyzniskich rozmowach, to tylko na tematy religijne, czyli bardzo rzadko, gdyż w ogólnie nie lubo tematów religijnych.

Stary zboreznik, sŁodziutki I zgibin, próbowaŁ pokpiwać sobie z Fryzorgiera, ale jego dowcipy napotykały na taki łagodny uśmiech, że cały ich ładunek szedŁ na marne. Fryzorgiera lubiła cała ekipa geologiczna, a nawet sam Paramonow, któremu zrobił wspomniaŁe biurko, chociaŹ popracował nad nim zdaje się z pół roku.

Nasze łózka stały obok siebie, więc często rozmawialiśmy ze sobą i Fryzorgier dziwił się nieraz i no dziecięcemu wymachiwał niewielkimi rączkami, kiedy napotykał w moich wypowiedziach na znajomość jakiś popularnych historii ewangelicznych - co w swojej świętej naiwności uwaŹał za dostępane tylko dla wtajemniczonych. Chichotał i byŁ bardzo zadowolony odnajdując u mnie tego rodzaju znajomość rzeczy. Wpadał wówczas w zapał i zaczynał opowiadać o takich rzeczach z Ewangelii, które pamiętałem słabo, albo i zgoła nie znałem. Bardzo mu się podobały takie rozmowy.

Pewnego razu jednak Fryzorgier się pomylił, wyliczając imiona dwunastu apostołów. PowiedziaŁ, że apostoł Paweł byŁ faktycznym twórcą religii chrześcijańskiej i głównym jej przywódcą duchowym. Znałem nieco biografię tego apostoła, więc nie chciałem stracić okazji, Źeby go poprawić.

- Nie, nie - zaoponował ze śmiechem Fryzorgier - pan nie wie, proszę - i zaczął liczyć na palcach: Piotr, Paweł, Marek...

Opowiedziałem mu wszystko, co wiedziałem o apostołe Pawle. Słuchał mnie uważnie i milczał. ByŁo juŹ późno i trzeba byŁo spać. W nocy obudziłem się i zobaczyłem przy migotliwym zadymionym świetle kałanka, Źe Fryzorgier ma otwarte oczy i usłyszałem szepot: "Bo- Źe, dopomóż mi! Piotr, Paweł, Marek..." Nie spał do rana. Rano wcześnie wyszedł do pracy i wrócił późnym wieczorem, kiedy juŹ spałem. ObudziŁo mnie ciche atarcze szlochanie. Fryzorgier kłęczał i modlił się.

- Co panu jest? - spytałem, kiedy skończył modlitwę. Odnalazł moją rękę i uciśnął ją.

- Miał pan rację - powiedziaŁ. - Paweł nie naleŹał do dwunastu apostołów. Zapomniałem o Bartłomieju. - Milczałem.

- Pan się dziwi moim łzom? - powiedziaŁ. - To są łzy zawsty- dzenia. Ja nie mogłem zapomnieć, nie wolno mi byŁo zapomnieć takiej rzeczy. To jest grzech, ciężki grzech. I ten niewybaczalny błąd musiał wytknąć mnie, Adamowi Fryzorgierowi, inny człowiek. Nie, nie, pan tu nic nie zawinił - to ja sam, to jest mój grzech. Ale to dobrze, Źe pan mnie poprawił. Wszystko będzie dobrze.

Ledwie udał mi się go uspokoić i odtąd (szarzyło się to niedługo przed wywiechnięciem stopy) staliśmy się jeszcze większymi przyjaciółmi.

Pewnego razu, kiedy w warsztacie stolarskim n. kogo nie byŁo, Fryzorgier wyciągnął z kieszeni zatłuszczony portfel z tkaniny i przywołał mnie skinieniem ręki do okna.

- Chodź, zobacz - powiedziaŁ, podając mi maŁutkie zdjęcie, "pięćminutowkę" z postrzępionymi brzegami. Była na nim młoda kobieta z jakimś przypadkowym, jak zazwyczaj na "pięćminutowkach", wyrazem twarzy. Połókkę, połamane zdjęcie byŁo starannie okleione kolorowym papierkiem.

- To jest moja córka - powiedziaŁ uroczyście. - Jedyńca. Źona od dawna juŹ nie żyje. Córka nie pisze, co prawda, ale pewnie nie zna adresu. Pisałem do niej duŹo i nadal piszę. Tylko do niej. Nikomu nie pokazuję tego zdjęcia. WioŹę je z domu. Sześć lat temu zabrałem z komody.

W drzwi warsztatu bezszelestnie wszedł Paramonow.

- Kto to jest, córka? - zapytał, rzucając okiem na zdjęcie.

- Córka, obywatelu kierowniku - odparł z uśmiechem Fryzorgier.

- Pisz?

- Nie.

- Cóż to tak o starusku zapomnia? Szła do mnie podanie o wszczęcie poszukiwań, gdzie trzeba. A jak twoja noga?

- Kuleję, obywatelu kierowniku - odpowiedziałem.

- No to kulej sobie, kulej. - Paramonow wyszedł.

Od tego czasu Fryzorgier już nie krył się przede mną, lecz po skończeniu wieczornej modlitwy oraz położeniu się do łóżka wycierał zdjęcie córki i delikatnie głaskał kolorową ramkę.

Tak żyliśmy sobie spokojnie z pół roku, aż któregoś razu przywieziono pocztę. Paramonow akurat wyjechał i pocztę odbierał jego sekretarz, więzień Riazanow, który, jak się okazało, wcale nie był agronomem, tylko jakimś esperantystą, co zresztą wcale mu nie przeszkadzało w zreczynym ściąganiu skór z padłych koni, cięciu grubych żelaznych rur, które nareźniał następnie piaskiem i rozgrzewał w ognisku, oraz prowadzeniu całej kancelarii kierownika.

- Potrzebna no - powiedział do mnie - jakie podanie przysłało na nazwisko Fryzorgiera.

W przesyłce znajdowało się oficjalne pismo z prośbą o zapobieżenie więzieniu Fryzorgiera (artykuł, wyrok) z podaniem córki, którego kopia była załączona obok. W podaniu córka krótko i zwięźle napisała, że po upewnieniu się, iż jej ojciec jest wrogiem narodu, wyrzeka się go i prosi o uznanie pokrewieństwa za niebyłe.

Riazanow pokręcił papierek w ręku. "Co za świństwo - powiedział. - I po co to jej potrzebne? Do partii się chce zapisać, czy co?"

Ja myślałem o czym innym: po co przesyłają ojcu w więzieniu takie podanie? Czy to jest rodzaj swoistego sadyzmu, podobnie jak praktykowanie powiadamiania krewnych o rzekomej śmierci więźnia, czy też po prostu chęć przeprowadzenia wszystkiego "zgodnie z prawem"? Bo coś jeszcze innego?

- Słuchaj Waniusza - zwróciłem się do Riazanowa. - Czy już zarejestrowałeś pocztę?

- Skąd, doniero co przyszła.

- Oddaj mi proszę, tę przesyłkę - i odpowiedziałem mu, w czym rzecz.

- A co z listem? - powiedział niezdecydowanie. Przecież ona na pewno napisze i do niego.

- To list również zatrzymasz.

- No zgodzi, bierz.

Zmiałem kopertę i wrzuciłem w otwarte drzwiczki płonącego pieca.

Po miesiącu przyszedł również list, tak samo krótki. Tak podanie i spaliliśmy go w tym samym piecu.

Wkrótce mnie dokońcili wywieźli, a Fryzorgier został i nie wiem już jak mu się dalej powodziło. Często go wspominałem, donóki miałem siłę wspominać. Słyszałem jego drżący i przejęty szepot: "Piotr, Fawel, Marek ..."

Przeł. ABC

Alain Besançon

## Człowiek z "ostatniego kręgu"

Zdarzają się czasem w życiu nieoczekiwane spotkania. Pewnego razu otworzyłem drzwi już niemiłodemu człowiekowi, nadzwyczaj uprzejmemu, mówiacemu wytwornie po francusku, ale z takimi wyrażeniami i modulacją głosu, które dzisiaj nie są już używane, nawet przez ludzi z jego pokolenia. Kiedy miałem okazję słyszeć już podobną francuską mowę? Oczywiście, w przedwojennych filmach. Mowa ojczysta tego człowieka została przerwana na długi okres i ponownie była podjęta w tej samej postaci, w jakiej on ją pozostawił wiele lat temu. Tę przerwę był Gułag. Już nieraz zauważałem u innych ocalałych ofiar Gułagu podobną konserwację języka ojczystego, któremu przeszkodziło rozwiąć się w sposób naturalny.

Ten niesłychanie uprzejmy, prawie ceremonialny człowiek, który wkrótce przekroczy osiemdziesiątkę, przeżył życie, którego realizm wykracza poza naszą wyobraźnię. Urodził się on we Francji, jego rodzice byli Francuzami. Ojciec zmarł przed jego urodzeniem się. W rezultacie ponownego zamążpójścia matki jego jako dziecko trafia do Warszawy, gdzie z powodzeniem uczy się. Jest poliglotą - oprócz polskiego, francuskiego, rosyjskiego, niemieckiego, hiszpańskiego, angielskiego (i paru innych, o których już wspominałem) poznał chiński i hindi. Ale już w wieku 19 lat wstąpił do polskiej partii komunistycznej, będącej wówczas w podziemiu i prawie nie istniejącej. Wkrótce Międzynarodówka Komunistyczna zwraca uwagę na tego poliglotę, wykorzystuje go w rozmaitych misjach i następnie wysyła do Hiszpanii, gdzie Jaques Rossi kieruje jedną z tajnych radiostacji, działającej poza liniami frankistowskimi. Jak wiadomo, Stalin postarał się zwabić do Moskwy wszystkich agentów, którzy "pracowali" w Hiszpanii. Niektórzy z nich - jak Orłow, czy Krywicki - przejawili odwagę lub przezorność i odmówili powrotu, co dało im pewną możliwość wymknąć się śmierci. Prawie wszyscy inni zostali rozstrzelani. Jaques Rossi, wówczas młody człowiek, odgrywający drugorzędną rolę, został zesłany do Gułagu. Pozostawał w nim od 1939 do 1961 roku. Droga powrotna biegła przez Polskę i USA; w końcu osiadł w swej ojczyźnie, we Francji, gdzie żyje w ubóstwie.

W obliczu takiej dewastacji swojego życia jedynie sam Jaques Rossi wie, nad czym powinien on rozpaczać najbardziej. Nie zauważyłem u niego ani gryczy, ani rozpaczy, ale odwrotnie, jakąś jasność i wewnętrzną snokój. Ludzie tacy jak on wielokrotnie przekraczali Icheron: wymakają się oni naszym osadom. Ale nie sposób obliczyć, jakie intelektualne i duchowe potencje tego człowieka zostały zagubione w syberyjskich obozowych barakach. Przynajmniej jednak

znalazł w sobie dostatecznie dużo siły, aby zrealizować tę niezwykle ważną pracę, która obecnie publikujemy. Wielu z więźniów potrafiło wyżyć jedynie dzięki niezłomnej woli i pragnieniu opowiedzenia pewnego razu całej prawdy ich męczącego życia, a ich współwięźniowie właśnie dlatego pomagali im, że powierzali taką misję.

W literaturze o Gułagu, już wystarczająco obfitej, praca Jacquesa Rossi zajmuje oryginalne miejsce. Gułag zrodził takie prace, będące teraz klasycznymi, jak książki Czapskiego; Herlinga; Szalałowa; Sołżenicyna. Dzieła te są osobistymi świadectwami, w których autorzy, przekazując swoje doświadczenie i moralną atmosferę Gułagu, jednocześnie oblekali je w formę artystyczną po to, aby skuteczniej oddziaływać na czytelnika, pragnącego poznać i zrozumieć to zagadnienie. Praca Jacquesa Rossi należy do innego gatunku. Chociaż sam on był świadkiem Gułagu w większym stopniu niż większość autorów, których wymienię, to jednak Rossi wolał stworzyć pracę naukową. Jego osobowość skryła się w jego badaniach. Jego encyklopedia nie jest przeznaczona dla szerokiej publiczności: jest to informator, który stanie się niezbędną pomocą w pracy każdego historyka, gdzie w oszczędnej i bezosobowej formie przytoczono więcej sprawdzonej i poklasyfikowanej informacji, niż ta, która dysponowaliśmy dotąd. I tym niemniej ta encyklopedia nie jest utworem kompilacyjnym, odzwierciedla się w nim unikalne doświadczenie życiowe. I ten, kto się zagłębi w tej książce, przetrząsa się, będzie tak samo wstrząśnięty jak podczas lektury misternie napisanego opowiadania. Umożliwi ona wyobraźni czytelnika zbliżyć się - jak to jest tylko możliwe - do tego "ostatniego kręgu", w którym Jacques Rossi tak długo przebywał.

Przeł. Zet.

Zet

## Przewodnik po Gułagu

W roku 1987 ukazała się w Londynie nakładem wydawnictwa Overseas Publications Interchange Ltd książka Jacquesa Rossi zatytułowana "Sprawozdanie po Gułagu", będąca - jak to precyzuje w podtytułe autor - "słownikiem historycznym sowieckich penitencjarnych instytucji, związanych z pracą przymusową". Wstęp do niej napisał wybitny znawca problematyki sowieckiej, francuski rusycysta, Alain Besançon (tekst publikujemy obok). Książka ta jest dziełem niezwykłym. Materiał do niego autor zbierał ponad 20 lat, będąc więźniem wielu więzień i łagrów. Korzystał przy tym nie tylko z własnej ogromnej wiedzy o Gułagu, ale i ze świadectw innych jego "mieszkańców". Przerobował tysiące wywiadów ze spotkanymi tam ludźmi, w tym także z więźniami carskiego reżymu i pierwszymi ofiarami sowieckiego systemu represyjnego. Jego konsultantami byli też więźniowie, którzy przed uwięzieniem sprawowali rozmaite funkcje w administracji państwowej, w tym także w organach bezpieczeństwa. Po odzyskaniu wolności autor zaczął obracać te materiały, tworząc ogromną kartotekę składającą się z kilkudziesięciu tysięcy kartek. Do przewodnika weszło nieco ponad dwa tysiące.

Zawiera on bogaty i różnorodny materiał, mający możliwe wszechstronnie przedstawić przerażające zjawisko Gułagu. Są więc hasła omawiające rozmaite organizacje i instytucje państwowe, zarządzające Gułagiem (począwszy od wczesnych lat dwudziestych),



najbardziej "znane" więzienia i łagry, rozsiane po całym terytorium Związku Sowieckiego, największe akcje represyjne, skierowane nieraz przeciwko ogromnej liczbie ludzi, masowe egzekucje - przeprowadzane w różnych okresach historii Gułagu. Przytoczymy dla przykładu kilka haseł tego rodzaju.

OGPU - Objedynionnoje Gławnoje Politiczeskoje Uprawlenije SSSR (Zjednoczony Główny Zarząd Polityczny ZSRR); ustanowiony przy Radzie Komisarzy Ludowych ZSRR na podstawie Dekretu KC ZSRR z 15 listopada 1923 r. "w celu zjednoczenia rewolucyjnych wysiłków republiki w walce z polit. i ekonom. kontrrewolucją, szpiegostwem i bandytyzmem" (art. 1 Dekretu). Przewodniczący OGPU wchodził z prawem głosu doradczego w skład Rady Komisarzy Ludowych ZSRR (art. 1, zob. niżej 2). OGPU kieruje pracą GPU "republik związkowych i wydziałów specjalnych, jak również organów w transporcie; ochroną granic ZSRR; pracą operacyjną w skali wszechzwiązkowej (art. 2, 4). W dyspozycji OGPU znajdują się wojska specjalne; posiada on swego przedstawiciela w Sądzie Najwyższym ZSRR, zaś nadzór nad jego działalnością sprawuje Prokurator tegoż Sądu (art. 8, 11, 12). - 2. Przewodniczącym OGPU ZSRR został mianowany F. Dzierżyński, który jednocześnie jest komisarzem ludowym spraw wewnętrznych. Rezydencją tego nowego organu zostaje ta sama Wielka Łubianka, razem ze starymi kadrami. - 3. Przy OGPU znajduje się Kolegium, czyli rada specjalna, która w trybie posasadowym podejmuje decyzje o skierowaniu do obozów lub rozstrzelaniu osób, uznanych winnymi. OGPU dysponuje specjalnymi wojskami. - 4. Powołując się na uchwałę KC ZSRR z 15 listopada 1923 r. Kolegium OGPU informuje, że zgodnie z jego decyzją z 11 marca 1933 r. zostało rozstrzelanych za kontrrewolucyjny sabotaż 35 osób ("Izwestija", 12 marca). - 5. Po śmierci Dzierżyńskiego w 1926 r. jego zastępca Mężyński zostaje mianowany szefem resortu spraw wewnętrznych i jednocześnie naczelnikiem OGPU. - 6. W 1934 r. umiera Mężyński. Jednocześnie następuje reorganizacja: powstaje ogólnozwiązkowy NKWD z włączonym doń OGPU (zob. GUGB). Ludowym komisarzem spraw wewnętrznych ZSRR i naczelnikiem GUGB zostaje mianowany były zastępca Mężyńskiego Jagoda. Dwa lata później będzie on rozstrzelany jako wróg ludu, m.in. oskarżony o otrucie Mężyńskiego.

KOŁYMA - rzeka w półn.-wsch. Syberii, 2 600 km od źródeł na północ od Ochotska do ujścia we Wsch.-syberyjskie morze. - 1. Kołymskie obozy (1932-1956) zyskały najbardziej ponurą sławę. Klimat kołymski jest bardzo surowy, bywają mrozy dochodzące do 60°C i więcej. Dzienna norma na jednego więźnia - górnik wynosiła 1,5 tony (w czasach carskich - 50 kg). - 2. Ze wszystkich obozów okresu stalinowskiego Kołyma wyróżniała się nie tylko okrucieństwem reżymu, ale i najwyższą śmiertelnością. - 3. Kołyma została opisana przez szereg byłych więźniów. Wśród nich: W. Szałamow, E. Ginzburg, F. Lipper, W. Pietrow, A. Krakowiecki i in.

PROCESY ROSKIEWSKIE - 1. Publiczne procesy wybitnych działaczy partyjnych i państwowych, w tym również szeregu najbliższych współpracowników Lenina. Wszyscy publicznie przyznają się do popełnienia najbardziej nieprawdopodobnych przestępstw. - 2. Pierwszy proces miał miejsce w sierpniu 1936 r. Zinowjew, Kamieniew i in., ogółem 16 osób, zostali oskarżeni o utworzenie "centrum terrorystycznego", działającego według wskazań Trockiego. Wszyscy zostali rozstrzelani. Drugi proces, "antyradzieckiego bloku trockistowskiego" odbywał się w styczniu 1937 r. Zostało rozstrzelanych 13 osób, w tym Piatakow, Sieriebrjakow i in. W rezultacie trzeciego procesu "prawicowo-trockistowskiego bloku" w marcu 1937 r. zostali rozstrzelani wszyscy oskarżeni - 21 osób, w tej liczbie Bucharin, Rykow, Rakowski, Kriestinski i Jagoda. Jedynie Kriestinski

wycofał zeznania, wydobyte z niego torturami. Przewodniczący ogłosił przerwę, po czym Kriestinski potwierdził swoje wcześniejsze zeznania. - 3. Procały moskiewskie są głównym elementem WIELKIEJ CZYSTKI. Każdy ze skazanych pociągnął za sobą wielotysięczny OGON. Po zniszczeniu starej gwardii leninowskiej Stalin pozostał jedynym następcą i kontynuatorem założyciela państwa bolszewików.

KATYŃ - miejscowość ok. 15 km na zachód od Smoleńska w Zach. Rosji. - 1. Latem 1943 r. w czasie niemieckiej okupacji, miejscowa ludność wskazała Niemcom miejsce w lesie katyńskim, gdzie władza sowiecka dokonała zbiorowego mordów na internowanych Polakach. Odkopano 4.143 trupy w polskich mundurach (miejscowy lud nazywał ich "polskimi oficerami"). Każdy miał związane z tyłu ręce drutem kolczastym i dziurę od kuli w potylicy (por. wykonawca 3). Zaproszona przez Niemców międzynarodowa komisja ekspertów (w tym 1 z Bułgarii, 1 z Czechosłowacji) ustaliła, że śmierć nastąpiła w kwietniu-maju 1940 r., czyli w tym czasie, gdy miejscowość ta była w rękach Sowietów. Na to wskazuje również wiek zarosli, wyrosłych w tym miejscu, gdzie były pochowane trupy. Daty listów, znalezionych u pomordowanych, urywały się w kwietniu 1940 r. Por. oficerowie BAŁTYCCY OFICEROWIE, SOŁOWKI, WINNICA. - 2. Po klęsce Niemiec i po zajęciu Bułgarii i Czechosłowacji przez Armię Czerwoną władze sowieckie odszukały bułgarskiego i czechosłowackiego członka Komisji i ci oświadczyli, że ich ekspertyza została wykonana pod naciskiem Niemców i że polscy wojskowi zostali zabici w r. 1942 w czasie okupacji niemieckiej. Inni członkowie Komisji, znajdujący się na terytorium nie zajętem przez Armię Czerwoną, takiego oświadczenia nie wydali. - 3. Pomordowani Polacy stanowią część z 14.500 oficerów, podoficerów, policjantów i in. internowanych przez władze sowieckie po zajęciu przez nie wschodniej Polski w 1939 r. O pozostałych brak wiadomości. Zob. KOZIELSK, OSTASZKOW, STAROBIELSK. Por. WINNICA; MASOWE EGZECUCJE 16, SOŁOWKI 9.

Oprócz haseł tego rodzaju książka Jaquesa Rossi zawiera cały słownik języka łarowego, obejmujący różne strony życia w łagrze, od momentu aresztowania począwszy. Doświadczenie obozów stało się doświadczeniem dziesiątków milionów ludzi, należących do rozmaitych narodowości, ras, wyznań religijnych, przekonani politycznych. Obok tej różnorodnej masy więźniów w Gułagu istniała ogromna machina policyjna, administracyjno-biurokratyczna, zatrudniająca wielomilionową armię ludzi. W sumie Gułag stanowi skomplikowany układ (by nie powiedzieć - system) społeczny o specyficznej organizacji. Ten system wytworzył własny język, w którym odbijały się jego wewnętrzne podziały i odzwierciedlało się jego życie.

A więc ujawnia się w nim podstawowy podział więźniowie - aparat represyjny. Wiele słów odnosi się do tego aparatu i jego działalności. Ale ujmuję na również podziały wewnątrz masy więźniów, na przykład, narodowościowe. Przedstawiciele różnych nacji posiadają swoje przezwiska: Rosjanin - KACAP, Gruzin - KACO, Ukraińiec - CHOCHOZ, Żyd - KONKA itd. W języku zawiera się też społeczna stratyfikacja więźniów. Na przykład, STUKACZ - więzień, który współpracuje z władzami obozu, konfident; SUKA - więzień-kryminalista, który zerwał ze swym środowiskiem i przeszedł na stronę administracji obozowej; PRIDUROK - więzień, któremu udało się jakoś urządzić w obozie i uniknąć ciężkiej pracy fizycznej itd.

Większość słownictwa dotyczy warunków życia - jedzenia, spania i zaspokajania innych podstawowych potrzeb. Z uwaru na to, że w obozach oprócz więźniów politycznych i ludzi zupełnie niewinnych przebywało wielu kryminalistów (zwłaszcza złodziei), język łarowy obfituje w słowa z żargonu złodziejskiego (tzw. błat). Inna jego wyróżniająca cecha jest duża ilość obsceniów, związanych zwłaszcza z

sfera seksualna.

Książka Jacquesa Rossi jest prawdziwą kopalnią wiedzy o Gułagu. Stanowi ona kompendium dla wszystkich, którzy zajmują się tym ponurym zjawiskiem naszego stulecia. Jej znaczenie będzie rosło w miarę narastania różnorodnej literatury o Gułagu, w stosunku do której będzie ona pełnić rolę niezastąpionego komentarza.

opr. Zet.

A.N.

## Uniwersytety Horsta Bienka

Horst Bienek, urodził się w 1930 w Gliwicach, żyje w RFN. Swoimi czterema powieściami - "Pierwsza polka", "Światło września", "Czas bez dzwonów", "Ziemia i ogień" zakończył swoją kronikę Górnego Śląska. Za to otrzymał wiele nagród. Należy dziś do najwybitniejszych pisarzy zachodnio-niemieckich. Ale zanim to nastąpiło zajmował się teatrem, był asystentem samego Bertolda Brechta. Wtedy też, w 1951 roku, za zaangażowanie się po stronie protestujących robotników w Berlinie został aresztowany, a następnie skazany na 25 lat łagru w Związku Radzieckim. Odsiedział 4 lata w łagrze i w kopalniach Workuty, zwolniony dzięki interwencji władz RFN, w ramach porozumienia między władzami obu krajów amnestionowany. Horst Bienek wyniósł z tego pobytu nie tylko doświadczenie podobne do milionów innych łagrowników, ale także jako Niemiec, pochodzący z porażona polskiego, fascynacją Rosją, jej kulturą, językiem, literaturą. Wyniósł z łagru także silne uczucie solidarności z kontestatorami z ZSRR, tymi odważnymi ludźmi, którzy przeciwstawiali się przemocy, bezprawiu, zbrodni. W swoim osobistym dzienniku (Beschreibung einer Provinz - Zapisywanie pewnej prowincji), pisanym na marginesie pracy na tetralogię powieściową, znaleźć można wiele takich przykładów. Z tego notatnika z lat 1972-79 wybraliśmy teksty, które mówią o tych "uniwersytetach".

A.N.

## Horst Bienek

### Zapisywanie pewnej prowincji

#### Fragmety

1972-1975

Od czasu kiedy skończyłem "Cielę", nie śnię więcej więzienia. Przedtem niemal każdego tygodnia złe sny. Dzisiaj, po sześciu latach, znowu sen o aresztowaniu. Ale no raz pierwszy o tym, że w międzyczasie zostałem zwolniony. Kiedy przychodzę do obozu w Workucie i pozdrawiam starych więźniów, patrzę na mnie wzrokiem pełnym żarzą: Jak mogłeś się pozwolić jeszcze raz aresztować?

x

W więzieniu świata, tam nie jestem sam. Osip Mandelstam.

x

Socjolog Martina Walsera na posiedzeniu Akademii w Darmstadt. Wówi do mnie: "Niedawno słyszałem w radiu czytana powieść i pomyślałem sobie od razu, że to musi być rosyjskiego autora, ta poządliwość wspomnień, nasyciona, epicka narracja, to umięję przecież tylko Rosjanie... i na końcu słyszę zapowiedź, że to było z nowej Pańskiej powieści..."

Tak, to jest właśnie to, co bym chciał: pisać "rosyjskie" powieści.

x

Mędzy leninradzki poeta Josif Brodski skazany na pięć lat robót przymusowych, z powodu pasożytnictwa. Naturalnie był on pasożytem - pisał wiersze.

x

Ukazuje się "Archipelag GULag" Sołżenicyna - nie było zapewne żadnej większej sensacji książkowej w tym stuleciu. Pasternaka "Doktor Żiwago" nie może się z tym równać; i również "Na zachodzie bez zmian" Remarque'a.

Książkami przyjął przedpłaty.

Czytam ze "szczerok" drukarskich. Nie mogę sobie przypomnieć, abym jaką książkę czytał z tak wielkim podnieceniem, białem serca i zgrozota. Sołżenicyn pisze na nowo historię Sowietów, która ponad pięćdziesiąt lat była zniekształcana i fałszowana. Wydaje się to być cudem: jeden człowiek, który był urodzony w roku Rewolucji, uniósł się nad bagno kłamstwa i fałszerstwa i szuka za korzeniami prawdy. Ta książka zmieni świadomość człowieka w ZSRR. A także świadomość ludzi u nas, na Zachodzie.

To jest historia państwa NKWD. Opis aresztowań (to się czyta jak sceny z teatru absurdu!), za ponad sto stron licząca lista metod tortur, transporty więźniów "stółkami", warunki pieresilki (o poszczególnych obszarach łagrów chce on opowiedzieć w następnej części): jest to tragedia, komedia czy krwawa farsa? Albo wszystko razem? Jakiś Gogol nie mógłby tego trafnie, sarkastycznie opisać. Tak wypisuje ktoś nie swoją nienawiść, raczej jednak swój gniew z duszy: "Ta zbrodnia: kult jednostki nazywają ją działaniem - co jest tedy w niej z kultu?"

Gniewnie - tak, oburzenie - tak, szyderczo - tak, gorzko - tak, cynicznie - tak, lecz jednak nigdy bezkrytycznie. Teraz pytamy się wokół. Kto też jest ten Sołżenicyn, bohater, fanatyk, męczennik, opętany, krnąbrny starowiec? - Jest pisarzem, do tego nieustrasżonym. Ile dywizji ma Grażdanan Sołżenicyn?

Przez dwie noce pisać omówienie. Ukazuje się w ogóle jako pierwsze na dwóch prawie stronach w "Die Zeit".

x

Osobliwe: że w rzeczy samej potrzebuję sytuacji celi, aby móc pisać w sposób ciągły. To jest rodzaj samokastracji. Odcinam się od świata, aby stworzyć wokół siebie inną moją dziką przetrwanie. Nie mogę zrozumieć jak Tomasz Mann mógł się przemieszczać przez cztery godziny do "Eimaru" albo "Kaisersaschern", aby potem cały dzień wieść normalny byt reprezentacyjnego życia...

x

Od Billa list z wołaniem o pomoc, czy nie mógłbym uczynić czegoś dla rzeźbiarza Nieświastnego w Moskwie, teraz wypowiedziano mu

nawet atelier, popadł w tak głęboką depresję, że prawie wcale nie może pracować. On sam, Bëll, musi wiasnie do szpitala. Natychmiast napisałem do kilku pisarzy, do znanych artystów, przede wszystkim do rzeźbiarzy, a więc do najbliższych koleżów Nieiswiestnego, i do krytyków sztuki. Może zrobi to w Moskwie większe wrażenie.

x

Dzisiaj nadałem telegram z petycją do rzeźbiarza Nieiswiestnego. Chciałem skierować do najpotężniejszego człowieka, a więc do sekretarza generalnego Breżniewa, dowiaduję się jednak od Wielanda Schmieda, że oficjalną instancją dla tego rodzaju spraw jest przewodniczący państwa. Musiałem najpierw poszukać, kto nim jest. Podgorzny. Urzędnik na poczcie w Ottobrunn gapi się na mnie zdziwiony i równocześnie ze współczuciem - równie dobrze, mówi jego wzrok, mógłbym odesłać pewnie do Archanioła Michała albo do Pana Belzebuba. Spostrzegam, jak potyka się o trudne nazwiska rosyjskie i zawsze wciąż od nowa musi liczyć. Zastanawiam się nad tym, do których rąk dotrze ten telegram? Czy Kreml ma własną pocztę? Albo czy listonosz idzie z poczty głównej na Kreml? W jakim przedpokoju, na którym biurku zechce wylądować? Czy w ogóle będzie w języku niemieckim przeczytany? I zarejestrowany? Albo zaraz przez jakiegoś sekretarza wyrzucony na makulaturę? Albo zaraz odłożony do akt? Ile segregatorów, ile regałów, ile pomieszczeń od czasu Rewolucji może być z takimi petycjami wypełnionych?

x

Telegram: 12 listopada 75  
Do Przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, do N.W. Podgorznego, "Moskwa na Kremlu"  
Artysty, pisarze, i krytycy sztuki apelują do Pana, szanowny Panie Przewodniczący, by rzeźbiarzowi Ernstowi Josifowiczowi Nieiswiestniemu wydać od lat pożądane i od władz zawsze odmawiane zezwolenie na wyjazd na Zachód, zwłaszcza teraz, kiedy się go w Moskwie wykluczyło nie tylko ze związku zawodowego, ale także że zabrano mu atelier.  
Podpisali - Horst Antes, Joseph Beuys, Alfred Hauser, Bernhard Heiliger, Alfred Hrdlicka, Ed Kienholz, Fritz König, Norbert Kricke, Bernard Schultze, Günter Uecker - Laszlo Glozer, Georg Jappe, Karl Ruhrberg, Wieland Schmied, Harald Szeemann - Heinrich Bëll, Horst Bienek, Hermann Kesten, Wolfgang Koeppen. (Tylko jeden odmówił podpisu: Guttuso).

x

1976-1977

Lecę samolotem na zlecenie "Die Zeit" do Londynu na zgromadzenie założycielskie czasopisma emigracyjnego "Kontynent". Kożakowski, Sieniański, Golomszok, Maksymow, Brodski, Czapski, Goma są obecni. To jest pierwsze czasopismo emigracyjne, które ma się wspólnie wypowiadać w imieniu wszystkich krajów bloku wschodniego. To mógłby być jakiś nowy "Kozokoł". Wszyscy uczestnicy są w stanie euforii. Oprócz tego, że czasopismo będzie się ukazywało po rosyjsku, ma być jeszcze drukowane po niemiecku, angielsku, francusku, włosku, hiszpańsku. Dziwnym zbiegiem okoliczności nie należy do tego żaden z Czechów emigracyjnych.

Polemika Grassa przeciw temu przedsięwzięciu. Tylko dlatego, że niemieckie wydanie ukazuje się u Ullsteina (Apringer)?  
Opisuję dla Frankfurter Allgemeine Zeitung spotkanie ze Sinlaskim. W tytule daję odpowiedź Grassowi: "Syty nie zrozumie głodnego!"  
(Rosyjskie przeżewie)

X

Rzeźbiarz Nieistwiestnij może wyjechać z Moskwy. Udzielił w Paryżu swego pierwszego wywiadu. Podziękował za solidarność zachodnich artystów i pisarzy. Chce w przyszłości żyć i pracować w USA.

X

Właśnie ukazał się nowy zeszyt "Kontynentu" z moim wprowadzeniem w radzieckie pieśni podziemne. W Süddeutsche Zeitung zapowiedź przedrukim, co mnie szczególnie uradowało. Te pieśni mogłyby być przez swoją jakość przyjęte jako antyfaszystowskie pieśni ruchu oporu, i w krajach bloku wschodniego są bardzo popularne. Lecz ZACHÓD nie przyjmuje tego prawie do wiadomości. Może brakuje tutaj też interpretatora w rodzaju Ernesta Buscha.

"Kagda ja wiernuksja" (Kiedy powrócę - z łagru, myśli się przy tym) Galicza zna dzisiaj każdy Rosjanin, to nie jest agresywne, jest miękkie, pełne skargi, oskarżające.

X

Dzisiaj, 8 listopada 1976 roku byłbym po 25 latach robót przymusowych zwolniony. Gdyby Stalin nie umarł, nie byłbym napewno w 1955 roku ułaskawiony i zwolniony. Ale tych 25 lat pewnie by z nas nikt nie przeżył. Z ciężką pracą w kopalni - w Workucie niegosińskiej. Myśmny to nazywali: "Dziewięć miesięcy zimy i trzy miesiące zimna".

Od dawna już nie myślałem o tym,  
to prawda. Cztery lata  
odsiedziałem. W Workucie.  
To długi czas. A jednak: miałem szczęście.  
Tylko cztery lata.

Z dwudziestu pięciu.  
Nie zapomne tego.  
Czasem skacze z radości do góry.  
Na ulicy. Po prostu tak.  
Co mam powiedzieć.  
Miałem szczęście. W ogóle!

X

W drodze do Linzu skręciłem w kierunku Mauthausen. Obejrzałem były obóz koncentracyjny. Teraz jest tam muzeum. - Ale Workuta nie jest muzeum.

X

Pisze mi się z trudem dalej. Znajduję u Czechowa pocieszający tekst: "Pisanie odraża mnie, a nie wiem, co mam dalej robić. Najchętniej poświęciłbym się znowu medycynie i praktykowałbym gdzieś w polu, ale brakuje mi już psychicznej zdolności dostosowania. Jeżeli teraz piszę albo jeśli sobie przedstawię, że muszę pisać, to czarna mnie taka niechęć, jakbym musiał jeść kapuśniak, z którego właśnie wyłowiono karalucha - przepraszam za to porównanie". (list z 25 lipca 1898 r.).

X

Dla mnie arkusz papieru to to samo jak las dla uciekającego więźnia. Andrej Sinjowski w "Głosie w chórze" o swoim pobyciu w łagrze.

X

1978-1979  
Jaki syndrom zbrodni i winy: 25 kwietnia 1943 roku, w tym dniu, kiedy rozgrywa się trzecia część powieści "Czas bez dzwonów" (Zeit ohne Glocken), następujące wydarzenia historyczne: w Warszawie

rozpoczyna się żydowski powstanie w Getcie. W Katyniu odkrywa się groby masowe z ok. 12.000 zastrzelonymi polskimi oficerami. Później międzynarodowa komisja badań Czerwonego Krzyża stwierdza, że w 1940 roku zostali zabici strzałami w tył głowy, kiedy Sowietci te tereny zajmowali. W gazetach donosi się o śmierci przez powieszenie Prof. Rubera w Monachium, który "należał do grupy wyrotowej rodzeństwa Scholl, które już w lutym zostało stracone na gilotynie". (Völk. Beobachter)

X

Telefon wprost z Moskwy. Pan Kestutis, jeżeli dobrze zrozumiałem, chce mnie w najbliższym czasie odwiedzić; jest przyjacielem Petrasa, z którym byłem w 29 szpitali w Worskucie. Wszystko brzmi jak w misterium.

X

Parę tygodni później - już dawno zapomniałem o tym telefonie - melduje się Kestutis Jakubynas, z Monachium. Umawiam się z nim w mieście. To jest bezniczniesze dla mnie. Dostał w międzyczasie od Sowietów zezwolenie na wyjazd do swego brata żyjącego w Kanadzie i jest teraz w drodze do Siniawskiego, z którym razem siedział w więzieniu Lefortowo. Podaje się jako zaufany Petrasa, z którym ja zaprzyjaźniłem się w Łagrze w Worskucie. Ku mojemu zaskoczeniu dowiaduję się, że Petras w erze Chruszczowa mógł wrócić do Wilna i został ostatecznie współpracownikiem państwowego muzeum. (Wiedziałem tylko to, że Petras w jednym z przejściowych rządów był czymś takim jak ministrem oświaty ludowej i w erze stalinowskiej bez wystarczającego powodu został aresztowany; chociaż się wytepić duchową elitę bałtyckich krajów). Kestutis przyniósł mi jak na sowieckie stosunki wspaniałe album ilustrowany ze skarbnicy muzeum wileńskiego, do którego Petras napisał wprowadzenia. Umarł przed trzema laty.

K. sam siedział razem dwadzieścia lat w sowieckich obozach koncentracyjnych. Po swym drugim zwolnieniu przystąpił do Komitetu Helsińskiego i wstawiał się listami i petycjami za swoimi aresztowanymi krajanami. Ostatecznie Sowietci zabrali go do Moskwy i wydalono go na Zachód. K. mówi płynnie siedmioma językami. W Łagrze ma się wiele czasu. Co się tam robi? Uczy się języków. Do tego nie trzeba żadnych podręczników, w rosyjskich łagrach siedzą ludzie niemal wszystkich nacji.

Nagle zdarzyło się coś niemożliwego: Kiestutis przywiózł mi tom z moimi własnymi wierszami. Fotokopia jednego zeszytu szkolnego, w którym zapisałem 25 wierszy: "Das Alphabet des Schmerzes" (Alfabet bólu). Zupsknie o tym zapomniałem, albo też wyparłem to z pamięci. Teraz przypominam sobie znowu o tym: w oazie mojego zwolnienia, ten zeszyt ze strachu, mógłby mi być przy "filcowaniu" zabrany, pozostawiłem jednemu litewskiemu kolsdze. W jakiś sposób musiał wpaść w ręce Kiestutisa, który go po prostu przywiózł do Wilna.

Kiestutis powiedział mi, że zrobił pięćdziesiąt kopii z oryginału (z dwiema butelkami wódki można było już przez noc używać maszyn kopiującej), które wszystkie kursują w podziemiu. Oryginał sam został oczywiście schowany w tajnym miejscu, gdzie przechowuje się wiele "relikwii z arsenału cierpień czasów stalinowskich" i przeznaczona się dla późniejszego muzeum.

Byłem wytracony z równowagi. Ludzie na Litwie, którzy są okupowani przez Sowietów i uciskani, myślą w takiej perspektywie, w takich wymiarach.

Niektóre wiersze, zostały później wydrukowane, w nieco innej redakcji, tak jak je zachowałem w pamięci, w mojej pierwszej książce

"Traumbuch eines Gefangenen" (Sennik jednego więźnia). Inne zupełnie zapomniałem.

X

Mandelsztam: Czas jest drapieżnym zwierzęciem.

X

Siniawski: "W cieniu Gogola". Już od dawna nie czytałem żadnej książki z tak wielką fascynacją. Zupełnie inny, nowy Gogo! - ale pewnie ten prawdziwy. Żadna lektura, proces nauczania.

X

Kwestionariusz w magazynie "Frankfurter Allgemeine Zeitung". Joachim Kaiser odpowiada na pytanie o "bohatera współczesności, którego podziwiał": Sołżenicyn. Aby to powiedzieć, potrzeba dzisiaj prawie już odwagi.

X

W jury (literatura) stypendiów artystycznych DAAD dla Berlina. Angażuje się mocno za stypendystami ze Wschodu i udeło mi się też najważniejszych przepchać. Zauważyłem u innych odczuwalną ostrość, jeżeli nie nawet dystans do tych artystów, którzy stoją w oczycji do swego reżymu - oczywiście jedynie u tych z państw bloku wschodniego. Jeżeli chodzi o przegłosowanie artystów z Afryki Południowej albo Ameryki Łacińskiej, wtedy mają oni w ogóle jakąś szansę, jeżeli są przeciwnikami reżymu. Jest to u naszych ludzi tylko lewice e dopasowanie, szykana albo po prostu wygoda?

X

Wdzięczny za to, że moimi uniwersytetami były obozy pracy. By historię Rosji przeżyć, historii socjalizmu doznać. Odporny na ideologie.

Człowiek z Zachodu czyta książkę, aby ją poznać; Rosjanin czyta książkę, aby siebie poznać. W. Schubert - "Europa und die Seele des Ostens" (Europa i dusza Wschodu).

X

Czytam wiersze Brodskiego, które mam omówić dla Süddeutsche Zeitung. Jego "Wielka elegia dla Johna Donna", genialny pomysł, napisał już w wieku 23 lat. Jak w ogóle wielu Rosjan w tym stuleciu zaczynało bardzo młodo i genialnie: Jesienin, Majakowski, Szlebnikow, Gumilow, Achmatowa.

X

Czytam pasję Jewgenii Ginsburg, jej drogę przez dziewięć kras piekła na Kozymie. Stalina krwawa czystka: "Wszyscy ćwiczyli samokrytykę. Wielkie sale wypełnione po brzegi i audytorja, zamieniały się w oficjalne konfesjonały... ale to było tylko odroczenia. To nie chroniło przed łagrem, ani przed wyrokiem śmierci... Symfonia strachu i szaleństwa zaczęła się w roku 1937". Dla tej dzielnej kobiety miało się to zakończyć dopiero po dwudziestu latach. Każde zdanie przeraża, i jest ono uwidarygodnione przez tę biografię. - Dokładnie tak samo było w Workucie. Pewnego razu również o tym opowiem.

X

Rosyjska mowa. Jak pod nią cierpiałem! Wyrok, wrzask, przekleństwa, rozkazy - w więzieniu, w łagrze. A jednak: jak ja tę mowę kocham!

Przekład Bolesława Faca



P o z a   s e r i a  
P o z a   z b i o r o w o ś c i a

Jan Pióro

Rajzerka

Pierwszą stronę wspomnień Ledeusta Łukowskiego, liczących jak dotąd 68 siedemdziesięciowersowych stron maszynopisu, a rozpisanych, jak mówi o tym data: 17 linca 1930 r. w Adelaiddzie Australii/, otwiera następujące wyznanie:

"Drohobycz 1939. We więzieniu słodzą pogłoski, że jest amnestja, nie dla politycznych, ale za przestępstwa zwykłe, to znaczy tak zwane kryminalne.

Moje przestępstwo było, moim zdaniem jako sprawa rodzinna, bo byłem ukarany za podpalenie, na cztery lata więzienia, to było stanowczo za mało, wyrok był za srogi.

Mój Ojciec za śmiertelne zranienie mojej Matki, tylko był skazany na trzy lata więzienia, to gdzie mogła być jakaś sprawiedliwość."

Rozpoczynają się te wspomnienia nie tylko, jak widać, od osobistego rozrachunku autora ze sobą, ale i z niesprawiedliwością świata, w którym przyszło mu żyć. Dodajmy: świata bardzo bezpośrednio doświadczanego, objawiającego swe wyroki przede wszystkim przez drastyczne decyzje najbliższych, które przez to stają się jeszcze bolesniejsze. Przekleństwo niezastuszonej kary nieomal układa mu się w los, zaś życie, albo raczej: cała życiowa przemyślność - w nieustannie ponawiany wysizek, jak by się temu losowi wywikłać. Niepewność co do osądu własnego postępowania, irracjonalna nieczytelność przeznaczenia przy jednoczesnym zawierzeniu szczęśliwemu trafowi, chęć usprawiedliwienia się przed mnioj lub barziej anonimowym czytelnikiem, zdają się najbardziej elementarnymi powodami, dla którego Łukowski zdecydował się na spisanie swego burzliwego życiorysu. Od czasu do czasu przypomina, że czyni to także dla konkretnej osoby: dla swojej bratowej, która jako jedyna na tym świecie skłonna była jeśli już go nie rozumieć, to przynajmniej wysłuchać; wysłuchać kogoś, kto podpalił stożółę, protestując tym czynem przeciwko wyobcowaniu z rodziny, przeciwko obojętności, z jaką go traktowano. Cwo piętno nieprzystosowanego miał odtąd nieść przez cały dorosły żywot. Myśl o tym, co jest z przeznaczenia, a co z ludzkiego wyboru, nieustannie przenika jego wspomnienia. Na jednej z kart tak podsumowuje swoje doświadczenie:

"Będąc dzieckiem, żyjąc w Czarnobylu, to wychowywałem się sam, nikt sie mną nie interesował, moi rówieśnicy tacy jak Antek Zieliński, jestem ciekaw, co sie znim stało, to musieli już pracować, lub też chodzić do szkoły we wsi Skorbuciany, ja zdejście zem uczęszczał tam jakiś rok.

Dlaczego zaprzestałem, to nie jestem zdolnym to powiedzieć, to co wiem, czy to co przypominam, to uczyłem się nieźle, jestem ciekaw, co by było, żeby mi posyłano stale do szkoły, nato niema nikt żadnej odpowiedzi.

Dlatego, zostałem nawpuł pustelnikiem, dlatego nikt nie potrafił mnie zrozumieć, czasami to ja sam siebie nie potrefie, bo moje wysiłki tak biegły, jakby im było lżej, tak samo i teraz, tak biegna, jak im jest wygodniej, i leniwiej.

No bo poco, mam zmuszać siebie do nauki, po tak długim czasie, niemam na tyle silnego charakteru, tak jak ma Jurek, ale tak popatrzę z zasaady to mi w życiu źle nie było, nawet niem /nie wiem/ czy bym chciał lepiej.

Zawsze lubiełem być dobrze ubranym, naco nigdy nie żekowałem pieniędzy, a zaś szczególnie to lubie dotze ubrane kobiety, na które nigdy nie było mie stać, bo co mi sie podobało, to niebyło do mego osiągnięcia, a zaś to co sie niepodoba, to jest mi nie potrzebne, tak to mi sie wydaje.

Tak jak i poprzednio, zawsze lubie sie popatrzeć, na cos ładnego pomimo że to ładne, jest nie do osiągnięcia.

Nigdy w życiu nie miałem nikogo, nikogo takiego bym mógł sie zwięzić, czy podzielić moimi myślami, jakie to jest dziwne, jak sie dziwnie w życiu składa.

Często myśląc, specjalnie teraz, gdy mam w domu fotografie, całej rodziny, że i tak, ja zem sie bardzo dobrze, utrzymałem, to co ja przeszedłem przed wojną, specjalnie w Kraju, ze sie nie nauczyłem kradzieży to często temu sie dziwie.

Zebrowałem po wsiach po Kościolkach, po majątkach, po sklepach, ale nigdy nie kradłem, niewiem, zawsze zem sie bał, zem sie bał że mie ktoś widzi, ze mie ktoś zauważy.

Przecież przed wojną, to miałem duzo do czynienia, ze złodziejami, z prostytutkami, no a mnie jakoś to sie nie kpało, siedziałem po domach poprawczych, po więzieniach, nic a nic, sie tymi zeczami nie zaraziłem, jakoś zem był nato wszystko odporny.

Tak samo i w Angli, żyłem w mieście, jak na pustyni, chodziłem między ludmi, tak jak między drzewami w lesie, no i tak już pozostanie, oto chodzi, czy ktoś ma zato wine, czy nikt niema, czy ja to pisze, czy ja to niepisze.

Dalej w las, więcej dzewa, więcej myśli, więcej powraca, to co nie powinno powracać, teraz przynajmniej to wypukuje ze siebie na ten papier, ktoś powie poco warjat to pisał."

Pisanie staje się tu sposobem opanowywania własnej obcości, zarliwym świadectwem zarówno uczestnika niezwykłych wydarzeń, jak i ofiary jakiejś egzystencjalnej niemożności pozostania jednym z tych, którzy zrozumieli siebie choćty przez to, że zostali zrozumiiani przez innych.

Wojnę, jak wspomina Żukowski we wcześniej zacytowanym fragmencie, zastała go w więzieniu. Wypuszczony na wolność tuż przed wkroczeniem armii radzieckiej, próbuje dotrzeć do rodzinnego folwarku w Czarnobylu. Po drodze przechwytyją go najpierw Niemcy, a potem Rosjanie. Ci ostatni postępują z nim tak, jak zwykli się obchodzić z większością Polaków na "wyzwolonych" terenach: wraz z innymi próbują przewieźć go za Ural. Na pierwszym etapie wywózki w miejscowości Szepetówka udaje mu się uzyskać pracę palacza w miejscowej cukrowni. W swoim pierwszym kontakcie z NKWD zataja prawdziwe powody swego uwiezienia i przyjmuje strategię pozorowania zyczliwości dla instalowanego przez Rosjan porządku /"Chce pomagać dla Sojuzu, no to co in-

nego można powiedzieć"/. Całkowicie nastawiła się na przetrwanie, pracując za łyżkę zupy i kąt do spania. Ostrzeżony przed możliwością dalszej wywózki, udaje się do miejscowości Stalino-Dombas, gdzie podejmuje pracę w kopalni węgla kamiennego. Ale i tam, jak pisze, "Zostałem uprzedzony że zadużo rozmawiam, że ktoś nie zameldował do N. K. W. D. i że mogą mnie aresztować, no oczywiście ja nogi za pas, nabo już wtedy wiedziałem, co znaczą N. K. W. D. bo mi już to dobrze zostało wytłumaczone, przez moich przyjacieli. Nie czekając już na nic, nawet nie powracając do mieszkania, ale z miejsca na tramwaj, i na stację kolejową, tam se kuniłem nową książkę /umożliwiającą podróżowanie - przyp. mój J. P./, także bez zapakowania, no i zaczęła się rajszerka nowa."

Ze Stalino-Dombas dociera do Baku. Tam zostaje aresztowany przez NKWD. Najpierw, jak pisze, "zdecydowano, że ja nie należę do zwykłych kryminalistów, ale do tak zwanej jelitki, polityczny", lecz potem, po dalszych przesłuchaniach, trwających przeszło dwa tygodnie, najprawdopodobniej potraktowany jako szkielet nie w pełni odpowiedzialny za to, co robi /raz jeszcze potwierdziła się skuteczność strategii udswania głupszego niż się jest/, otrzymuje nakaz powrotu do rodzinnego domu. On jednak wsiada do pociągu jadącego w kierunku Tyflisu, by stamtąd przedostać się do Turcji. Z Tyflisu, gdzie nie otrzymuje pracy umożliwiającej mu choćby chwilowe rozpoznanie się w tamtejszej sytuacji, udaje się do Batumi. W Odessie straż graniczna cofa go z powrotem w kierunku Kijowa. I tak po raz drugi trafia do Szebetówki. Tu jednakże, niemal bezpośrednio po przyjeździe, zostaje skierowany do obozu pracy w Tarnopolu, gdzie wykonuje niezwykle ciężką robotę kamieniarza. Z powodu politycznej niesubordynacji /"W tym to obozie często, polityk miał wykłady, no ja m. zaczęłem dawać pytania, na które on nie miał nigdy odpowiedzi"/, trafia do więzienia w Brygidkach. W tym miejscu oddajemy głos Tadeuszowi Żukowskiemu, przedrukowując tę partię jego tekstu, która rozpoczyna wspomniane uwięzienie, a kończy obraz Polaków, którzy zgłosili chęć służenia w wojsku, po wielu dramatycznych miesiącach oczekiwań, otrzymują resztkę pozwolenia na opuszczenie Zagru i płyną rzeką Kołymą do Magadanu, gdzie formuje się polskie wojsko. Po wielu perypetiach dopiero w Pietropawłowsku Żukowski przywdziewa wojskowy mundur, zaczynając poniekąd nowe życie. Tak podsumowuje swą dotychczasową tułaczkę:

"No takie to były historie dostania się do wojska, przed wojną to gdy wieśniaki brali do wojska to tak jakby na śmierć, a tutaj to każdy by szedł na kolanach by nic, a nic nie narzekał, no tak to się czasy zmieniają."

Przedrukujemy również wspomnienie z czasów tworzenia się armii gen. Andersa oraz palestyński etap wojennej tułaczki Tadeusza Żukowskiego w przekonananiu, iż jak rzadko która z dotychczasowych relacji dotyczących tego dramatycznego okresu polskich nadziei, oddaje ona odczucia prostego żołnierza, który do końca wojny pozostał nieufny wobec wszelkich awansów i zaszczytów i dla którego wojaczka pozostawała ciągle częścią indywidualnego oraz zbiorowego losu tych, których oszukało życie. Według niego szeregowy żołnierz, niezależnie od tego, po której stronie frontu przyszło mu walczyć, był tylko mierzwą historii, ofiarą zbiorowego oszustwa i powszechnego szaleństwa. Pod tym względem relacja Tadeusza Żukowskiego zdaje się autentycznym wypełnieniem tej postawy, którą reprezentował bo-

hater Wittlinowej "Sola siem" Piotr Kiewiedowski, do końca nie mogący zrozumieć, w imię jakich wartości i dłać, cząs sie pierwszej wojny światowej ludzie zamienili się w zwierzę, rzucając się sobie, do gardła. Wojna ucaynia dzień świat jakiegoś bardziej niezrozumiałym, całą złożoność życia sprowadzając jedynie do zwierzęcej woli przetrwania. Przymylnijmy jeden z epizodów takiej książki:

"Piotr słuchał jedynie ucnem. Nie rozróżniał ślepowi naciągów od widomych. A zwłaszcza nie wiedział, gdzie jest lewa skraw-dło, a gdzie prawe. I w ogóle: smąd skrawdło do raportu Karzy-dła jego piaki. Zapach cassyrskiej zupy dłałaz jak chloroform. Niewczył terazniejszość. Znieczulał wrzaliłość na rzeczywistość i wyimaginowaną grozę wszystkich wojennych kar. Piotr widział tylko swoją młodą matkę i widział strzęp swojego dzieciństwa. Jednym zjednak sposobem nie mógł sobie przypomnieć, jakie to by-ły krupy: jaglane, jęczmieńne czy zwykła męczana kasza. Dru-gie podróz, srogi umł korozo go zemdliły. Widziałła, wstrze-szone zapachem zup, jaky zatracac kontury. W zupie pływają ku-ski od śląskich nacągów. I byłby usnął, gdyby zniemacza nie przypomniały się słowa matki:

- Jidz, Petro, jidz, os toho budez zrył"

Łukowski doświadcza podobnego uczucia zagubienia i bezsi-ności wpośród głupewych, jego zdaniem, wojennych i wojennych rytuałów oraz konieczności. Mimo czytelniejszej niż u Kiewie-dowskiego psychologicznej motywacji wojowania, bo przecież wstę-pił do armii Andersa, by wyrwać się z trawli tego kręgu radzic-kich nacągów, to wciąż, do końca mieszcz się w jego duszy czarna dla zabijania z nadzieją lepszego życia, które może dlań stwo-rzyć dotarcie do wolnej Polski. "Bo wojna - pisze - to jest zwy-klie polowanie na ludzi, tu to już niema zapach zartów, siła zabie tego kogo sie widzi, lub sie dać zrtić temu, kto widzi ciebie, no to jak to lepiej, oczywiście ze leniej nie zostac za-bitym, leniej zabić kogoś, kogo sie nigdy w życiu nie widzielo, tak to jest bardzo dziwne, że lu sie pozwola sie aż tak mani-pulowac, że kilku ludzi moze być natyle zddnymi, ażoty socjog-nąc takie maszy, ze sobą, to jest dziwne sie prwdziwe, tak by-żo, tak jest i tak bedzie.

Tak samo jak ci co przyszli do nas z niewoli, poprzednic strzelali do nas, potem znowu strzelali do tak zwanych swoich przyjacielei, jaki to jest człowiek zmienny, jak my ludzie, tak to pisząc, myśle poco ja to pisze, no nie bisze.

Tak to jedząc po frontach, juz po garach, po dziurach, czo-wiek stule zbliżal sie do domu, tylko ja nie wiedziałem, gdzie i do czego, ja gdzie i co i jak bede robił, po powrocie, to ty-ko moje najgłupsze zmartwienie."

Tadeusz Łukowski wolność zdaje się pojmowac bardzo konkretnie: jako możliwość powrotu do swojej matki, ojczyzny, do tej przestrzeni, która była żywym świadkiem jego rajperskiego wy-cieka, wybranego na wrót z konieczności, na wpar dobrowolnie; do Czarnobylis na Kresach.

gdzie było krótko nostalgia do wieknej katechize-ego krajobruszu i zarazem celu z powodu doznanych tam nieprawie-dliwosci. Ia bliżej konce wojny, a braci masiel w bitwie z pod-ite Cassina i w walkach o Wilno, tym wyraźniej widzi Łukowski daremność swojej wojaczki. Nie ma ziadzi. Co do tego, że Łukowski nie wycofują się z zajętych terenów. Wiersta z nią podro-cie zrtoty, jakiegoś historycznego oszustwa, doznanego już sie.

tylko nie pojedynczym człowiekiem, lecz na całym narodem.

Lukowski po zakończeniu wojny nie wraca do Polski. Pozostaje w Anglii, gdzie podejmuje pracę w kopalni węgla kamiennego. Pisze z autoironią:

"Zapisałem się do kopalni węgla, z powodu tego bo pracowałem w Rosji, w kopalni węgla i to uważałem za swój jakiś tam zawód, no bo nic innego nie umiałem, po drugie to były możliwe pieniądze, i żadnej mądrości tam nie potrzeba, a to co posiadalem, to było zupełnie wystarczające, to jest siła i głupota."

Opis perypetii związanych z pracą i próbami rodzinnej stabilizacji kończy tę część wspomnień, którymi dysponuje Redekcja. Nie drukujemy zaproponowanego nam rękopisu w całości, dając tylko obszerny fragment rosyjsko-palestyńskiej "Rajzjerki", gdyż on wydawał się nam najciekawszy; wnosi najwięcej do dotychczasowego obrazu polskich losów w obczyźnie, odsłaniając także, niejako po drodze, pewne istotne powody dzisiejszych zrazów i zwiekład Polaków.

"Rajzjerka" jest bardzo ciekawym świadectwem człowieka niewzornego w pisaniu, a jednak w tej swojej niewzorności bogatego w środki wyrażania najróżnorodniejszych przeżyć i myśli. W przedstawianym fragmencie staraliśmy się zachować oryginalną, przede wszystkim fonetyczną, pisownię Lukowskiego, eliminując tylko najbardziej oczywiste błędy, będące efektem awidentycznych przeoczeń /literówek/, oraz te, które wzięły się z braku odpowiednich liter w klawiaturze maszyny do pisania oszpecają, jak się wydsze, na zasadach alfabetu angielskiego /nicobecność smekczek oraz samogłosek nosowych/. Ze ingerencje w oryginalny rękopis, jak sądzimy, nie gubią nic z jego autentyczności, z jego niepowtarzalnej wewnętrznej energii, z jego prawdy, która jest tu jakimś dziwnym stoperem litery i dźwięku.

Polski czytelnik jest już po części oswojony z tego typu literaturą. "Pamiętniki chłopów", których pierwszy tom ukazał się w 1935 roku, były w okresie międzywojennym jednym z najwyrazistszych wykładów w regułach tzw. kultury wysokiej, odważną próbą wprowadzenia plebejskiego autentyzmu do możliwie szerokiej świadomości czytelniczej. Książka okazała się rewelacją i została uhonorowana nagrodą Polskiej Akademii Literatury. To właśnie przez tego typu publikacje widzieliśmy się do sztuki tywidła nieporabianej ludowości, która odsianiała się taką jaką była, a nie taką, jaką okiśniano ją przez wieki widzieć. Na przedłużeniu tych tendencji trzeba ody również zobaczyć wydane po wojnie rewelacyjne "Listy emigrantów z Brazylii i Stanów Zjednoczonych 1860 - 1891" /1973/, a także gramatycznie niepoprawne, lecz jakże barwne i swoiście głębokie wyznania Kaziuka z "Konopielski" Edwarda Redlińskiego. Jeden ze współautorów wspomnianych "Pamiętników..." pisze: "Choć treść tego oświadczenia może być nieprzyzwoita, nawet aśkina - noc tym mało zastanawiam się, byle byłaby rzeczywista. .... /Przeję same rzeczywistości. Choć nie mam jestem wykształcony, z biażoruskim akcentem w wymowie, z ortograficznymi błędami w piśmie." "Rajzjerka" Tadeusza Lukowskiego jest również plebejskim "oświadczeniem" przed sądem. Jeśli już nie współczesności, to przynajmniej kogoś bliskiego. Autor raz po raz podkreśla swoją wolę sumiennej rekonstrukcji faktów, właśnie owych "rzeczywistości", o które upominał się przedwojenny chłop. Przedstawiany fragment jest wyrazem ciężkiej, niepokornej samoświadomości niewykształconego człowieka, który mimo swojego skazania na kulturową niewyorność, chce pozostać sobą. Fragne nie zostawić po sobie cząstkę spisane-

go świąteczna, jak się zaczyna. Oni: "do wiary dla nas-  
to ludzi, do wiary to jest nie do wiary." Żukowski pod ko-  
niec swych wspomnień. Oni: "zakochano: tym, co trzęsła, wyzna-  
je: "aż mi samemu się nie wieży, że tak być, jak jest, że tak  
być musiało, inaczej by nie było". Prześnującą pamięć frag-  
ment sądzimy, iż niejedni z Czytelników także podzielili to prze-  
życie.

## Tadeusz Żukowski

### Zapiski

#### Erygłiki.

Wysiedam w branie więzienną, zmieszane zaczęto mówić, że nas,  
zapisano nazwisko i takie tam rzeczy normalne, które należą do  
aresztu, tam już było zupełnie inaczej, zupełnie inna atmosfera,  
inne uczucie, wielkie przygnębienie, jakby coś się zaczęło  
pod nogami, jakieś uczucie jak to można powiedzieć, uczucie bez  
uczucia, to chce w ten sposób wytłumaczyć, że to było uczucie,  
że już koniec że już wyjscia niema, że już jest ko wprost niema,  
że już jakby był żywy grub, tylko że człowiek jeszcze żyje, ale  
że życie już niema, że już się skończyć. że już nie nie powra-  
ci, że nic niema co do czekania, że niema co do myślenia, że  
niema już żadnej przyszłości, że niema wogule nic, że doszedł  
człowiek do nicości, do nie życia żyjącego, do najgłębszej na-  
gardy, do największego poniżenia, wogule człowiek stał się nie-  
człowiekiem, stał się czemś żyjącym czemś bez sensu, bez uczu-  
cia, wogule wyprućiony ze wszelkiej ludzkości, stał się tylko  
tym co chodzi, i niewie dlaczego, niewie jak długo nie ma na-  
co i naco jego trzymają przy życiu, nawet sam sobie przedstawia  
wieżę, sam do siebie gubi zaufanie, staje się nie sam sobą,  
kimś innym kimś, sobie wogule nie znany, kimś zupełnie obcym,  
tak obcym nawet sam sobie.

Wpuszczają do celi, zgroza ile ludzi nie można nawet się ru-  
szyc, wzrok biegnie od jednego do drugiego, szuka kogoś, nie-  
wiedząc czego, wzrok szuka jakiejś przyjemnej twarzy, szuka ja-  
kiegoś społuczucia, jakiejś sympatii, jakiegoś wyrozumienia.

Przy dwóch stoją dwa ogromne kible, to jest wychodek, smród  
od ludzi chorych na żółdki, kible się wynosi rano i wieczorem,  
okropnie pełne, okropnie śmierdzące, powylaniu, trzeba wysma-  
rować czarnym śmierdzącym dziekciem, to częściowo zabijać za-  
pach, czyli smród ludzkiego odbytku.

Ludzie wystraszeni, pierwszy raz w życiu we więzieniu, coś słownego takia to ludziom, ludziom z dobrych domów, dobrych warunków, nic nie brakującego im w życiu, a tu gład bicie męczenie, pytanie na które niema odpowiedzi, wypytywanie z znających, oskarżanie znających, wogule nie winnych, nic nie wiedzących.

Ludzie słabi się zalamują, mówią wszystko to co chce ich śledczy, wsadzają dziesiątki swoich znających do więzienia, bo nie są zdolni wytrzymać tortury, co za zgroza, co za nieszczęście, co za okrucieństwo, ludzkiej natury, nie do opisania, nie jest to możliwe w żadnym języku, przez żadnego piasza, to co tam było, to jest poza wszelką możliwością do określenia, określenie jest nie możliwe, tak określenie jest nie możliwe, dlatego to jest trudne wto samego uwięzić, a co dopiero temu kto tego nie przeszedł, jak on ma to uwięzić gdy to jest nie do wiary, nie do pomyślenia.

Boże potrzeba tylko na jednym boku, bo więcej niema miejsca, idy sie przewraca jeden to musza sie przewracać wszyscy, smród pocacowo można wycarniać z pod pach garściami. Jestem ciekaw jak to ludzie przeżyli, człowiek jest napewno, jedno z najsilniejszych istot żyjących.

Gdy wozują na śledztwo, to pytają kto jest napewną literę, no to każdy mówi swoje nazwisko, gdy nazwisko pasuje to pytają o imie ojca, gdy to pasuje to wyprowadzają na śledztwo, tak to i mnie wywołano.

Idąc do tyłu głowa do dołu nie wolno patrzeć ani w prawo ani w lewo, jedynie pod nogi, przychodzi do mojego śledczego, pokój usły stał i dwa kaszeczki, siurko, czy coś w tym to rodzaju.

Na śledczy dość młody, kilka lat starszy jak ja, dość przystöjny, poczęstował mnie papierosem, popatrzał na mnie, a zaś ja na niego, i mi powiedział, czyli zapytał, czy ja mu powiem, to co on bezknie chciał sie umnie dowiedzieć, bo i tak, i tak on to wszystko sie dowia, ja zapytałem co będzie gdy ja nie powiem, on mi powiedział, że wszyscy mówią wszystko, ja już rozumiałem, co on ma na myśli, to powiedziałem że tak, jedno umnie było ważne, a mianowicie, to że ja wyłącznie sam za siebie byłem odpowiedzialny, więcej za nikogo, nie miałem nikogo ani niczego do wydawania, tak jak to mieli inni.

Śledztwo sie ciągnio pare miesięcy, bez żadnych kłopotów, dość przyjemne dyskusje, ja to wszystko podobały mi się, co on mi tylko kasek podpisać.

On pochodził z Kijowa miał młodą żonę, która została, że on niechce być w Polsce, sie musi, w pewnej dyskusji powiedziałem że gdy Niemcy na nier uszła, to on nie będzie miał czasu nawet wskazać, on sie tego to najwięcej obawiał, że to może sie stać.

Powiedział mi na początku śledztwa, to co ja dostane to jest dziesięć lat, że bez tego to sie nie obydzie, no i tak było, na ostatnim śledztwie, poczęstował mnie kawą, papierosem podał mi sobie ręce, z wyćeniami stu stronami, wszystkiego najbrzydzę.

We więzieniu jest najgorszej, w czasie śledztwa, bo jes sporo tak zwanych kurucy, to tak sie nazywa ludzi ze donoszą, na drużki, przed takimi zostalem zmiejsca uprzedzony, z zasady to ja nie miałem czego wogule sie ukrywać.

Prowadzą mi do sądu, co za dziwo, wprowadzają obozowego doktora, którego nazwisko nie pamiętam, a także i podchorążego, zato że robili podkop, kilka słów powiedzieliśmy szeptem.

Ni stąd mi z owąd, wprowadzają sierżanta, szefa obozu, on

a kiedy na stronie Sowieta, i tak, i tak, to ja nie  
do nic sęka, tego cię, i tak, i tak, to ja nie  
nie zobaczy to za siebie, to cię, i tak, i tak, to ja nie  
do samokrętu, i tak, i tak, to ja nie  
nie to cię, i tak, i tak, to ja nie  
to nie dokończysz.

Jedną nie pyta czy ja nie wiem, to ja nie wiem, to ja nie  
pokazuje im na obraz widzący nas, co ja nie wiem, to ja nie  
nie tak, i tak, i tak, to ja nie  
nie tak, i tak, i tak, to ja nie

Czy ja mówią, że w Sojuszu, to ja nie wiem, to ja nie  
działem, popatrz na twój porządek, to ja nie wiem, to ja nie  
władzą, drugi biedny jakiś robotnik, i tu mówię, ty mówisz, że  
nie siebie, to zobaczysz Sojuszu, czy nie mówisz, to ja nie  
nie, to ja nie mówię, żeby Stalin pokazał mi, to ja nie  
to coś zobaczy za darmo.

To co ja mówię, to ja nie wiem, to ja nie wiem, to ja nie  
nie, to ja nie mówię, to ja nie mówię, to ja nie  
nie, to ja nie mówię, to ja nie mówię, to ja nie  
nie, to ja nie mówię, to ja nie mówię, to ja nie

Poszedł to ja nie wiem, to ja nie wiem, to ja nie  
nie, to ja nie mówię, to ja nie mówię, to ja nie  
nie, to ja nie mówię, to ja nie mówię, to ja nie  
nie, to ja nie mówię, to ja nie mówię, to ja nie

Jednego ludzie jeszcze głębiej nie poznali, to ja nie wiem, to ja nie  
nie, to ja nie mówię, to ja nie mówię, to ja nie  
nie, to ja nie mówię, to ja nie mówię, to ja nie  
nie, to ja nie mówię, to ja nie mówię, to ja nie

Także ich nazywano Śmiercią, ci to ludzie siali poprostu, to ja nie  
nie, to ja nie mówię, to ja nie mówię, to ja nie  
nie, to ja nie mówię, to ja nie mówię, to ja nie  
nie, to ja nie mówię, to ja nie mówię, to ja nie

Każdy kto by nie wszedł do celi nowy, to ja nie wiem, to ja nie  
nie, to ja nie mówię, to ja nie mówię, to ja nie  
nie, to ja nie mówię, to ja nie mówię, to ja nie

A znowu czasami to grali w karty na cudze ziemie, i nie im  
nie, to ja nie mówię, to ja nie mówię, to ja nie  
nie, to ja nie mówię, to ja nie mówię, to ja nie  
nie, to ja nie mówię, to ja nie mówię, to ja nie

Nawiem jak długo czekałem na transport, zdążyłem nie  
nie, to ja nie mówię, to ja nie mówię, to ja nie  
nie, to ja nie mówię, to ja nie mówię, to ja nie  
nie, to ja nie mówię, to ja nie mówię, to ja nie  
nie, to ja nie mówię, to ja nie mówię, to ja nie  
nie, to ja nie mówię, to ja nie mówię, to ja nie  
nie, to ja nie mówię, to ja nie mówię, to ja nie

Ludzie schają się do grania zupełnie zabitego okna, to ja nie  
nie, to ja nie mówię, to ja nie mówię, to ja nie  
nie, to ja nie mówię, to ja nie mówię, to ja nie  
nie, to ja nie mówię, to ja nie mówię, to ja nie



Pociąg ruszył, po czterdziestu do wagonu, prycze po środku po dziesięciu na podłogę i po dziesięciu na prycze, na końcu to każdy miał swoje miejsce, i jakoś człowiek zasnął, a zaś koła wagonu zaczęły pukać stale tym samym rytmem, jedziemy dalej, jedziemy dalej, nie powrucim, nie powrucim, koniec z nami, koniec z nami.

No i tak to koła pukały bez końca, bez przerwy, bez zmęczenia, bez myśli bez litości, tylko szybciej tylko wkoło, jakby jedno od drugiego uciekało, jakby uciekały przed śmiercią, przed czymś strasznym, przed rzeczywistością, tak jakby mówiły bajkę bez końca, bo dla wiązkości to końca już nie było, bo obrut koń to już był ich koniec, ich koła nie poszły do tyłu, ich koła gdy stanęły, to ich życie razem stanęło.

To były tak jak koła szczęścia na Kazimieże we Wilnie, że tylko jednostki mogły wygrać, nawet na kole Kaziuka było łatwiej wygrać, no niektuży wygrali, tak jak ten to że teraz pi-sze, ale takich jest mało, takich są jednostki, że unich ich koła wygrało loterie życia, loterie zadko wygrywaną, tak nikturych te same koła wiozły spowrotem, już w pociągu nie towero-wym, ale osobowym, już z oknami otwartymi, oknami pełnymi wido-ków, kturych poprzednio nie było widać, tak te same koła, przy-wiozły nie spowrotem.

Kijów

21/7/80

Nie pamiętam jak długo jechaliśmy do Kijowa, dawano bardzo twarde czarne suchary do jedzenia, i soloną rybę, nazywano ją garbusza, no i wodę do picia, w dźwiękach wagonu był taki przy-zwąd do załatwiania, zrobiony z drzewa.

Ja nie miałem żadnych złych przygód, napewno dlatego że nie ze sobą nie posiadałem, jedynie to co mi dano, tak że nikt nie mi niemógł zabrać, bo niebyło co do zabierania.

Jardzo dużo żem się dowiedział od żulików o warunkach jakie nas mogą spotkać, jedno to mi powiedzieli, jest najważniejsze, to żeby nie pracować za dużo, bo się człowiek wyczerpie ze sił, i nigdy już ich nie odzyska, lepiej zjeść puł normy, i żyć dłużej, jak jeść więcej, i szybciej się wykończyć, bo to co się raz zgubi przy pracy, to już więcej nie powruci.

Na każdym postoju stale nas rachowano, sprawdzano wagony, ścienny podłogę dach, pukano po ścianach dzwoniącymi specjalny-mi młotkami. To co skrzeszłem od żulików, że potrafili przeciąć część podłogi, aby jakimś sposobem, meluśkim scyzorykiem, ktu-re często mogli kupić od strażników, z kturymi mieli dobre sto-sunki, bo mieli to powiedzenie, że on ze polityke nie siedzi, ze polityka dla niego jest w Sojuszu w poszadku.

Dużo opowiadali o przeżyciach na froncie Fimskim, jakie tam się działy rzeczy okropne, że z tego frontu była duża dezerc-cja, tak jak oni opowiadali, to lepiej żyć w łagrach, jak nie być wogule.

W Kijowie seamy się dowiedzieli już o wojnie, Kieriecko-So-wieckiej, to moje przypuszczenie się zdażyło, to co rozmawia-łem z moim śledczym we Lwowie, już nam powiedziano, że my niedługo będziemy zwolnieni do wojska, że my jesteśmy we więzie-niu nie na długo.

Zmiejsca z pociągu poszliśmy do żelni, lub tak zwanej 11-sze bojki, gdzie wszystkie ubranie nakładako się na coczajinę ko-ła, ktu-re szło do parówki żeby pozabijać robactwo, oczywiście że robactwo nie zostało zabite, jedynie podrażnione, i potem doczuczalo jeszcze więcej, jakby ze złości.

Wydła dawano taki kawałeczek jak jest kostka cukru, dobbe

dy się poszło w niemieckich kolejkach, to była jasnora tura wsiada, bo potem to już zupełnie ciemno, a przecież trzeba powrócić prawie do domu od nocy, i skroplone zimnociąg, to wtedy się dziwić dla biednego robotnika, że chociaż słabą pogodę pogodową, i się łaciło na nie widać człowieka, no ale tak to często bywa, że niewinny dostaje największą.

We więzieniu w celach transportowych, traktowaniu są najgorsze warunki, tak było w Kijowskim więzieniu, które to co najszerszym słynęło z okrucieństwa, najczęściej to było z paleniami, w celach mieli stałe żulicy, i za palenie mogli kupić od innych więźniów, rzeczy jak ubrania białe, a zaś od takich jak ja, że nic nie posiadali, to chociaż chleb, nieważ ile razy to robotnik, zamieniać chleb na papieros, pamiętam raz, i to było we więzieniu Kijowskim.

Wbijano się papieros na koniec igrzy, a żeby tylko trochę dotykać ustami, żeby nic a nic dymu nie zamrznąć, rozłożyłem się na podłogę, to dla tego żeby się nie przekrucić, i się zaciągałem bez przerwy, tak że się wszystko w głowie kręciło, jak na karuzeli, tak to taka była głuchota przyjemność, że czło dziwny chleb.

Spać trza było po kolejach bo wszysztkia się położony to nie było miejsca, jedni stali drudzy powoli spacerowali lub siedzieli z pod kurczonymi nogami, najczęściej to było tym, kłudy mieli słabe żołądki, i stałe rozwalenie, ja jako dzięki Bogu to nie miałem lub nie pamiętam, to co pamiętam, to co zdrowiem kłopotu nie posiadałem, to był największy plus, to było największe szczęście, to było największe bogactwo, tak to widzę dzisiaj, ale wtedy tak tego naprawdę żem nie widział, to co wtedy widziałem, lub myślałem, to niemożę powiedzieć, tylko wiem że dużo myślał, o czasach mojego dzieciństwa, tak samo jak i dzisiaj, bo to jest z zasady najlepiej pamiętać mojego życia.

Ko i tak to biegł czas w Kijowskim więzieniu, czekając już na zwolnienie do wojska, którego nie było wcale jeszcze wiadomości, i oficjalnie nic nie było nam wiadomo, tylko to wiem że się stało tylko na temat zwolnienia rozmawiało, i się samego siebie żudziło.

Mie pamiętam jak długo byłem we więzieniu Kijowskim, znowu zabierać wszystknie rzeczy, to już znaczy transport, to znowu jedziemy na nieznane, w niewiadome, w nie przyniesione, ale jedno to jest wiadome, że nie wiemy to co może przynieść jutro, chociaż nam jutra niema, ale pomimo wszystkiego, to się zawsze czeka na to jutro, jutro choć jest bez jutra, bez przyszłości, bez wypełnienia, wypróżnione, ale zawsze to ta nieznane jutro, do którego każdy dąży, bez różnicy, kto on czy on tylko by nie byli, jutro jest i będzie tylko jutro i nie więcej, bo ničem innym być nie może, tylko jutrem nam nie znamy, i nigdy znany nie będzie. Znowu pociąg, znowu ten sam stuk kół, ten sam obrót, ta sama melodia, ten sam śpiew, tylko nieś: we wagonie ci sami ludzie, część ludzi inna część ludzi kłudy przyszli z kądys indziej, jakby z innego świata, innej planety.

Znow we wagonie żulicy zabierają niejaka najgłównie, to jest na przycz, i przy oknie, żulicy to są jakoby krulowie Sowietckiego systemu wieziennego, klasa uprzywilejowana, klasa wyższa, arystokracja żegrów, zaraza jedząca ludzi połączonych, jak rak, jak tyfus, jak gangrena, jak cały system Sowietcki, bo cały system jest system oparty na złodziejstwu, na kłamstwie, na nie wiary, na oszustwie, bo nikt nie potrafi, bo nikt nie jest zdolny, bo system jest nie systemem, jest czeka czego nie można o-

niekiedy bo niema nato żadnego określenia, niema i nigdy nie będzie.

Pociąg już nie jedzie tak szybko, często się zatrzymuje ażeby dać wolne przejazdy dla transportów wojskowych, stale pędzących na zachód, widać to przez szpery w oknach, działa czołgi, ludzie wszystko idą na zachód, a zaś my odwrotnie, my idziemy na wschód, tak jak oni pędzą na zachód w nieznaną, tak są i my, na wschód w nieznaną, w obce w niepewne, w nie potrzebne.

Nie pamiętam jak długo jechaliśmy, ale zdaję się że jakieś dwa miesiące, jechaliśmy do Władiwostoku, człowiek już jest podrubany zmęczony, stale jedzenie czarne suchary, okropnie twarde, i solona ryba naigoczą, to dla tych że nie mają zębów, gryząc te suchary krwawymi dziąskami to nie jest tak łatwo.

Znow jak zawsze liczenie, niezawiska znow karany, żałnia, i już to ludzi ma dwusetnerę, wyglądają jak żywe trupy, umierają powoli, niema im żadnego ratunku, to są ludzie przeważnie z dobrych domów, z dobrych stanowisk, ludzie ktuży nigdy biedy nie znali, nigdy nie wiedzieli, nigdy nie mieli ręce zabrudzone, ludzi ktuży nie mają najmniejszej możliwości, ażeby mogli swoje sprunki, ośbyć do końca, to co najwięcej dało się żuć w oczy, to po przyjeździe do Władiwostoku.

Niewiem jak długo czekaliśmy, na dalszy transport, nic nie wiedząc że to ma być statek, nic nie wiedząc gdzie i dokąd, no zaczęto nas ładować na statek, już nie pamiętam jak się nazywał, tak był zapakowany, jak porętko sardynek.

Najgorsze to dokuczał smród, smród ludzi że nie zdążyli, zdążyć wymiotować na guze, lub się zakatwić na guze, niektuży paczkowali pod siebie, a wymiotowali z gurnych przychy na kogoś na ucie.

Także dokuczał już brak wody do picia, o myciu to wogule nie było najmniejszego mazenia, ja nie pamiętam ażeby miał jakiś kłopot na statku w czasie podróży, w czasie podróży dowiedziałem się że jedziemy do Kagułanu to jest na Kozymie.

To co słyszałem poprzednio o Kazywie, to nic dobrego nie można było słyszeć, bo nic dobrego nie bywało na Kazywie, oile ktoś powrucił do Rosji z Kazywy, to tylko złodziej, co zaś do wąpni politycznych, to z tamąd nikt jeszcze nie powrucił, to też już był ostatni przystanek, tylko czekanie na śmierć, ktura czasem za nowici nadchodzi.

#### Kazywa.

Była piosenka złodziejska, ktura się zaczynała "Kazywa Kazywa czudna planieta, dzinućca miesiącowa zima, a astelnoje leta", wyśiadający ze statku oort ze zwykłych desek i kłocy dzwaja, pierwszy rockan siadać po czterech, japożkuje że tam gdzie mam siadać jest błoto odpowiedź siadać, ja przykucnełem, nic mi nie powiedziano, od tej chwili coś mi powiedziało, Tadek tu już niema żadnych kartów, tu już trzeba wszystko wykonywać bez żadnego namysłu, tu już jest koniec, koniec dobrych ludzi, koniec wszystkiego to co można nazwać ludzkim, że tu od ludzi już niema, tylko są jakieś zwierzęta, że mają po dwie nogi, po dwie ręce, że rozmawiają tak samo jak i ludzie, ale to niema ludzi, to jest coś innego, coś wogule nie znanego, coś oczem nikt nigdy nie widzie, a kto wie to niechce wiedzieć, to jest jakiś świat zapomniany, świat zaginiony, świat bez światła.

Przeważają drogą ktura idzie woli pod gure, ciężarówkami podjadają ażeby pozabierać bagaże, bo niektuży z więźniów, mieli

dość duże bagaże, niewiedzieli że więcej już być może nigdy nie zobaczą, że to co trzymali jakiejś rzeczy parę tygodni, już tego niema już nie porzuci, jakoby nigdy nie było, tak jak we śnie, jak noce najczulsze.

Tak to już był koniec życia, życie już było zanieszczone, tylko zostało czekanie na dzień, godzinę i jak to bez rozkazy, tylko gązie, czyni wcześniej ten aspektu że będzie latiać, bo toco żyć bez życia. Po lewej stronie nagażony, nagażony bez konca, bardzo przydatny jedzenie ludzi bez życia, widok worki za-układane ogromnymi stosami, widok kilka magazynów zupełnie za-krutych, naprawdę że tamą jakimś lepsze tożary.

Schożizny na gure, widak już niesto, niesto kagoda niowien skąd ta nazwa, niesto rozducone wazpędzie widak balowanie, wazpędzie widak wiedzyc strażników, wazpędzie widak więźniów, nigdzie nie widak cywili ani dzieci, tak to niesto niesto więźniów, cywile to że są to ich nie widak, ta dzieci że są to są w szko-łach, jak to dzieci zostaną wychowane w otoczeniu więźniów, wi-dzących więźniów co dnia wszędzie, co jest z tamtych dzieci, że ja je kiedyś tam widziałem, tak to jest ciekawe.

Żyła otwarta obuz ogrona, można znaleźć kilka tysięcy więźni-ów, jak zawsze wszystko od początku, narowo rytanda przywra-nie, coś jedzenia, kąpiel segregacja, każdy czeka na swoje prze-znaczenie, tak jak na wygranie jakiejś loterii, loterii kura-nej niema żadnych nagród, czasami niczego może że wodnie ja-kaś nagroda, jakieś szczęście, no i niektórym wpadko, tak jak wpadko temu że teraz to pisze, ale ile takich to było??? bar-dzo, bardzo nie dużo, tylko jednostki, jednostki że wygrali, wygrali największą loterię, największą w świecie loterię życia, loterię ucieczki z ziemi, ziemi kura nie istnieje, ale jest.

Kiedys śpiewano, i dzisiaj się śpiewa, 1/2 ziemi Parsonów/ tak świat pamięta ziemię Parsonów, tak daleko, a tak blisko za-pomnianą, że dzisiaj żyje Parson, nie buduje piramidy z kamieni, lecz z ludzkich czaszek, z ludzkiego życia, z ludzkiej krwi, i tak i ten to Parson, jest teraz niedzieli nawi, i ży wolni bijemy mu pokłony, a Parson z nas wolnych ludzi się wymienia, to tu proszę pomysł, co my jesteście za ludzie, czy wy jesteście lep-si, od tego to Parson? nie bo gdybyśmy byli lepsi, to byśmy mu nato nie pozwolili, to wy jesteście nic a nic nie lepsi od tego to Parsona, tyć może że jesteście nawet gorsi, bo my mu do-pomagamy, bo my go uczymy.

Podzielono nas na grupy, poro- dzono na komisje lekarską, rozetrzani do naga, oocucić to wkolo, toczaje badanie, zdaje sie tak to wybierano ludzi na pewne roboty, nie zdaje sie ze sie ob-że uszko.

Pewnego dnia kuzie zabierac ze sobą wszystko, na transport, no pięciu siada wsamochodzie, to znaczny w ciężarówce, nięć żę-dów to dwadzieścia pięć ludzi na waz, dwóch strażników, jeden w kabinie, drugi s przodu wozu, takie specjalne miejsce do stania, samochody na dzewne paliwo, no i jazda znowu w nieznanie, pytamy gdzie jedziemy, zozaczysz gdy przyjeździesz, podrugie po-co tobie wiedzieć, i tak nigdy nigdzie stąd nie wyjeździesz, ta-zie to były odpowiedzi.

Okolice bardzo piękne, gury doko zieleni, konwuj zdajcie ja-kieś dziesięć samochodów, zdajcie cztery czy nięć dni jazdy, uocleli w specjalnych obozach, i gorące jedzenie, to co zawsze dużo więcej dostawali żywność, zozm zdaniem że zicownieje wja-kiś to sprosub zawsze sie poznają, bez dużo trudności.

Po drodze mi zdawia co to za obozy, w dolinach, to były kopai-

nie złota tego czego nawięcej się bać, bo tam to były naigorsze i niecięższe warunki, takie to informacje dostawałem od złodzieja, który siedział obok mnie.

Samochody dojeżdżają do końca drogi, w dole żeka, jaka, odpowiedź Koryma, z drugiej strony żeki bardzo ładne lasy, czekaliśmy kilka dni na taką barke, coś podobnego do wożenia towarów, oczywiście ze z motorem, także na dżewne paliwo, nie pamiętam jak długo jechaliśmy tą barką, zdążyliśmy że dwa dni, tylko jedno bardzo piękne okolice, żeka płynęła dosyć spokojnie, płyneliśmy z biegiem żeki.

wysiadamy z barki ustawiają jak zawsze po czterech, idziemy jakieś dwa czy trzy kilometry, przynajmniej do małego osiedla, w każdym zadżewieniu, ztem że wkroczko wszystkich budynków druty, szybko nas znowu podzielono na grupy, pytają kto jest kołchoźnik, ja się odzywam, że ja kołchoźnik, coś nas wystąpiło siedmiu, trzech naszych czterech Ukraińców Polakich.

Dwóch strażników, jeden na koniu drugi na pieszo, my pomiędzynymi, po wyjściu z zabudowań, zatrzymaliśmy się na chwilę, strażnicy dali nam zapalić, i zarytali czy my bedziem uciekać, tośmy powiedzieli że nie, sytuacja stała się mnie więcej luźna, tak szliśmy około dziesięć kilometrów, aż przysięliśmy do polany z bżegu kszaków.

To był mój ostatni obuz, w tak zwanym Niżnym Siemczanie, tak się nazywało to miasteczko, a zaś my przysięliśmy na sianokosy, norma na dzień puł tony siana już wysuszonego, zgrabionego i złożonego, norma bardzo duże, wprost nie do wykonania. Na bżegu polany, był obuz, dla pracowników jak i dla wipżni, obuz był zrobiony ze zwykłych szafłósów, zbudowanych z gałęzi tak jak to się budowało ze czasów dziecinnych, unas w Czarnobylu, szafłasy były pokryte gałęziami, i sianem, przynajmniej był ładny zapach.

Dostaliśmy po kosie grabie, no i każdy w swoją stronę, nikt nas nie pilnował, bo przytykliśmy że uciekać nie bedziemy, no po gdzie, także było kilka koni, dla koni była przywożona stęchła mąka, no także była dobra nas zacierka, którą żęmy gotowali wieczorem.

Ja zacząłem chodzić po lesie szukać grzybów, ale nie było lub wziętył namie czas, sni jagud nie było, w lesie była okropna cisza, cisza jakaś spokojna, jakaś nie do opisanja, jakaś majestatyczna, jakaś taka że człowiek mógł by tam pozostać, tak tam pozostać, sam z ciszą i wraz z lasem, lasem odwiecznym, lasem jak w bajce, jakoś tam w tym lesie to człowiek był bez myśli, okropnie spokojny, nikt nie widział, nikt nic nie cnciał, nikt nic nie kesał, tylko człowiek, cisza majestatyczna, i sam las, las jakby sędzia najwyższy, las jakiś majestatyczny, tak pamiętam tak jakby tam stał obecnie.

Polana była jakieś trzy kilometry na jakieś siedem kilometrów, w pewnym miejscu stał ogromny krzyż, dwa razy takiego rozmiaru, jak u nas w Czarnobylu, także zamieszkiwał tam jeden miejscowy mieszkaniec, napewno Ruski Eskimos wraz z rodziną, nic mu nie robiono, był sobie spokojnie, dosyć dużo z nim rozmawiałem, gdy mu powiedziałem że ja nie jestem Ruski.

Rytalem o historje krzyża to mi powiedział, że ten krzyż był postawiony, jako znak dla myśliwych i dla handlaży, którzy tam bywali kiedyś co roku, nawet że bywali z Kanady i Ameryki, tylko że on sam tego nie pamięta, także to skoczył opowiadania, jego rodzina się składała z jego i jego tony i brzoje dzieci.

Jaka była w kopcach, to kosa, nie siano no skoszeniu spadało między kopy, trzeba było wybierać rękoza, no i jak to można

dziennie dać im puł tony siana.

Tam byłem około dwóch tygodni, to co nie uratowało, bo ja nie mogłem mieć więcej siana jak puł tony, nierwiec co by było zemną, gdybym tam był dłużej, niewier, czasami myśle otem, co by było, na pewno byłbym ukarany za saboterz, bo z zasady to taki sposób był praktykowany.

Tam poznałem jednego Ruckiego który już siedział dwadzieścia lat, i nie wiedział zaco, bo jeszcze jego sądu nie było, tylko mówił że siedzi bo jest komunista, że w Sowietach odcienienia żadnego komunizmu, że Sowiety wszystkich doczyrnych komunistów to niszczą, tak samo jak i jego, to on mi też powiedział, czym mniej będziesz jeść, tem dłużej będziesz żył, ażęcy tak tylko pracować, aby nie bito, bo kto chce zarobić na większą normę jedzenia, to szybko sie fizycznie wykończy, a gdy żołądek już sie przyzwyczęży, to już głodu wogule sie nie słęszy.

Pewnego wieczora, przyjeżdża na koniu goniec, pyta kto na jakie nazwisko, ja mu powiedziałem moje, on powiedział abęcy zabrać wszystko to co jest moje, onrucił mnie dwoje innych, powiedziałem im że jesteśmy zwolnieni, do wojska bić Niemców, gdy kilku innych zępytało, dlażęcy ich nie zwolniono, to goniec odpowiędział że on tego nie wie, i być może że jutro, tak jak zawsze mówiono, nigdy nie dano odpowiędzi że nie, tylko zawsze powiędziano że jutro.

Już szarym wieczorem zęśmy powrucili do Mięznego Sięmczania, był dlanas już inny obuz, leprze pomieszczenie, leprze jedzenie, kilka dni czekaliśmy na tą samą barke, nie pamiętam ilu nas było.

Tylko wiem że ci kturezy pozostawali, prosili o zawiadomienie ich rodzin, im także mówiono że będą zwolnieni, oprucz nas zwolniono i złodziej, także do wojska, zdąjsie że nas jęchszło około stu, dzisiejsie dopiero to potrafiam docenić, że moge teraz to tu pisać, mieć wygodne mieszkanie, i najwężniejsze, mieć duży gębę, i nie pozwolić nikomu jęcy zamknąć, dopieroc zaczęcyar częściowio rozumieć, jakie szczęście musiełem mieć, często myśle że to moja Matka jakoć me pilnowała, oile to ma coś prawdy, ale tego to nikt nie może potwierdzić, ani nikt nie może zarrzucić.

Wchodzimy na tą samą barke, jest także zakładowana różnymi innymi towarami, tak sie zaczęła podruž powrotu, poczętek konca, poczętek zycia nowego, poczętek dalszej podružy, podružy bez konca, bo konca niema, koniec będzie, już gdy będzie, już gdy odejdzim nam w nieznanę w niewiadome, bez powrotne, tak tam to już będzie koniec podružy koniec konca, taki będzie spokój, ja ki miałem tam w lesie, tam w Mięznym Sięmczanie, taka piękna ralaną ogromna i świat taki podły, taki zdegenerowany, taki ślepy nic a nic nie widzący, dlażęcy nie dać ludziom spokój, co im ludzie zewadzają, czego oni chcą od ludzi, czy to jest za dużo, ażęby być wolnym, żeby można to robić to co kto chce, tylko żeby nie zewadzać komus innemu, czy to jest aż tak dużo, tak to jest za dużo, za dużo dla ludzi niskiej woli, tak to za dużo dla ludzi, ludzie tego są nie warci, ludzie sami tego to żędzili sami tego to chcieli, i dzisiejsie nie wiedzą co z tym fantęm robić, ludzie to są napewno najgłębrze istoty chodzące po kuli ziemskiej są najpodlejsi ze wszystkich stworzeń.

Jędąc żęcy Kaizmą, zdąjsie że mieliśmy dwa czy trzy postoje, barka od czasu do czasu sie zatrzymowała po kędanek dzęcy do palenia, strażnicy już nas przewie że nie pilnowali, rozmawiali z nami tak jakby z równymi sobie, tak jakby już byłibyśmy w mundurach.

Droga powrotna była taka sama, tylko na postojach dostawali-  
śmy więcej jedzenia, no i oczywiście mniej straży, tak powru-  
ciliśmy spowrotem do Magadanu.

Magadan.

Jesteśmy w obozie, do pracy nie gonią, jedzenie dosyć możli-  
we, to znaczy że jest trochę więcej, i jakoś można wytrzymać,  
dostajemy coś podobnego do paszportu, ze zdjęciem przyklejonym,  
po osiemset rubli, brama otwarta można wychodzić, przychodzić  
kiedy się tylko chce, no wogule jesteśmy zupełnie wolni.

Nie pamiętam jak długo tak się ciągnęło, bo sklepach w Magada-  
nie można było kupić dużo rybnych sęczy tak jak rybna kiełbasa,  
rybne kotlety, różne kisiele, sódki spirytus, ale nie chleb, ale  
nie mięso, i nic z ubrania, tak to stale spacerowałem po miejs-  
cach okolicznych.

Pewnego dnia mamy powiedziane, ażeby jutro nigdzie nie wy-  
chodzić, bo kładą się na statek, dostaliśmy prowiant coś ko-  
ło dwa kilo chleba kilo ślodzi, no i maszerujemy na statek, ma-  
szerajemy po lodzie, bo zataka zamrzła, poimno że na lądzie  
jeszcze nie ma śniegu.

Idziecie że byliśmy na statku dwa czy trzy dni, statek nie  
może ruszyć z miejsca, grozi że zal okropny, może że będziemy cze-  
kać do wiosny, tyle czasu, tyle znowu nie pewności, takie du-  
żo zwłóknienie.

Powracamy spowrotem, smutni nogą za nogą, do tego samego obo-  
zu, już długo nie chodziliśmy do pracy to już nie pamiętam, tyl-  
ko dość długi czas.

Kierownicz czy to prawda, ale zdajcie że tak, w obozie się wy-  
konania jakby żądają, to byli wyżsi oficerowie, nic nas nie pyta-  
jąc poszli do komendanta Kikymy, z prośbą o extra paczkę tyto-  
nu, i jakoś czy pądziliśmy do pracy, oczywiście że komendant to  
znajęca podchwycił.

Dnia następnego każą nam wychodzić do pracy, a my nic nie  
wiemy, do pracy nie idziemy, przychodzi szarża, i nam mówi że  
mamy iść bosmy sami się zgodziliśmy, że gdy nie pądzimy to nas  
obięją zimną wodą ze sikawek, no to poszliśmy.

Od tego to czasu dostalem jakiegos uprzedzenia do naszej in-  
teligencji, kturo posiedam do dzisiaj, być może że mi to dużo  
zarządziło w mojej służbie wojskowej, dostał do nich jakiegos  
niemiłości, jakiegos obzydzenia jako do ludzi, kturych kiedys  
szacowałem za ludzi wielkiej myśli, ludzi wielkich czynów, o ja-  
kiż też był żyłszy i teraz na nich spoglądam jak na robactwo.

Podzielono nas znowu na brygady, dano do zagru zwykłego, do  
bersów ze złodziejami, co naigorsze to nadeszła Kikymaska zima,  
zima że zaprawa sporo tych co mieli iść na zwolnienie, a takich  
to było dużo że zimy nie wytrzymali, i ja dzisiaj także winuje,  
tych co chodzili do komendanta, bo przecznic zginęło sporo lu-  
dzi, ktury mogli być dzisiaj jeszcze żyć.

Ja osobiście jakoś tam mi szło, tylko naigotziej to dokuczał  
zimny wiatr, specjalnie przy czyszczeniu dróg, dzwoniarymi ko-  
patami, jednego dnia to nos odmarzi trzy razy, zawsze ktoś mi  
go zauważył, i odtań śniegiem.

Często chodziliśmy do pracy do magazynów, o kturych już pi-  
sałem, to tak jeszcze było najlepiej, zawsze coś można było  
zjeść, choć surowej maki, lub surowego zboża, wszystko się ja-  
dło to co tylko było do zjedzenia.

Podrugie to tam nie trza było ciężko pracować, czasami to  
się nasklepio ciasta z maki i śniegu, pochowało się między nogi

pod pachy tam gdzie sie człowiek spodziewał że nie będą rewidować, raz mie tak zaspali, zdaisie że dostałem dwa czy trzy dni karceru to było w zimie, do karceru zamykano zmiejsca od pracy, bez obiadu czyli bez kolacji, jedno co tam najwięcej dokucało to mruz, było tam oprucz mnie dwóch złodziej, już nie pamiętam zaco, nic ciepłego w karceże nie dają, tylko zimną wodę, no i jakoś żem wytrzymał.

Także często chodziliśmy do pracy na budowe, zawsze żem sie starał robić jak najlepiej, jakiś doktor nam powiedziała że można troszke zjeść pokostu z chlebem, tylko był jeden kłopot, że śmierdział znalazłem małą butelke, to w niej nosiliśmy troszke pokostu, ażeby wlewać wieczorem do zupy, ale był smród.

Raz w miesiącu prowadzono do kaźni, to co było w zimie bardzo nie bezpieczne, ubranie szło jak zwykle na takie koca, i do pary, skąd wychodziło prawie że mokre, dobre gdy sie szło w druzgiej kolejce, to nie trza było czekać dopuki sie pierwszsz kolejka wykapie, bo kto był w pierwszej to czekał na dwoje dopuki sie wykapie druga, a takie to czekanie na mrozie, to nie było zbyt przyjemne.

Kilka razy pozbiierałem w magazynie ubranis, ubranie tych to ludzi że poprzywozili jeszcze z Polski, niektore zupełnie nowe, futra futrzane palta, piękne swetry, piękna bielizna ciepła, nowe buty, buciki, tego były okropne stosy.

Nic dziwnego że to wszystko im pozwalano zabierać ze sobą, bo ci ktuży pozwalali, to wiedzieli że to nie jest dla tych co to wiozą, że to jest dla tych, co pozwalają, tam były bardzo ładne rzeczy, jestem czasami ciekaw, co sie stało z tymi właścicielami, jak długo oni tam żyli, to jest ciekawe.

W obozie był taki obuz zwany samo rudy, to tacy ludzie że sami sobie obcieli część ręki lub nogi, bo tacy mieli jakies roboty w obozach, już ta myśl zezecha kielkomaż wemnie, bo najgożej to było układać beczki ze smołą, i to beczki z Ameryki, to była jedna z najgorszych robot, bo nie było gdzie nawet sie schować, a zaś najgożej to gdy wiaky wistry, to, to było coś okropnego.

Jeszcze była zima, pewnego wieczora wchodzi do baraku, strażnik i jeszcze ktoś z nim, jakiś więzienny użdnik, kzyhneli ażeby był kompletny spokuj, naco dwa razy nietrza powtażać, wyczytują nazwiska, jak zawsze kolejność alfabetowa, moje nazwisko zawsze na końcu, cisza jak w niebie, tylko szychać jak sie pali ogień w piecach z beczek od bany czy oliwy, wkońca alfabet dochodzi do końca, pada moje nazwisko, jak zawsze pytają imie ojca, powtażam imiona, moje i ojca /Tadeusz Wacławowicz/ takiego to im potrzeba.

Dali instrukcje żeby rano nie iść do pracy, że bądziery zwolnieni do wojska, nie pamiętam co było za rozmowy gdy już strażnik poszedł z baraku, zdejsie w tamtą noc z nas nikt nie spał, ci ktuży pozostawali, prosili ażeby onich sie upominać, już niewiem co była za radość, ale musiała być okropna.

Śniadanie dostaliśmy już lepsze, i więcej, pośniadaniu ustawiają znowu w czwurki, tylko jeden strażnik nas prowadził do miasta, do obozu przejściowego, znów nowe paszporty, zaopatrzenie na kilka dni, niepamiętam ile to dali znowu pieniędzy.

Po otrzymaniu paszportu, kazano iść do portu, nie pamiętam jak sie statek nazywał, stał przybity do portu, bo łanacz łodu zrobił droge, już niawiem, co to była za uciecha, statek zdajsie że sie nazywał Dombas, no ale mniejsza jsk tam sie on nazywał, to był statek zwykły towarowy.



Powłaziliśmy do dołu każdy gdzie kto tylko mógł, zapaliliśmy ogień na dole, bo gdy nie można byłoby zamażnąć, tylko poproszono żeby za dużo nie niszczyć, takich desek że się podkłada pod towary, ja znalazłem gdzieś na dole statku troszke rosyjskiej maki, no to już było co do gotowanie, bo ze statkowej kuchni nam nic nie dawano, na statku już jakoś człowiek poczuł troszke wolności, jakoś to było już milej że nikt nic nie każe, że żaden strażnik nie pilnuje.

Na statku domnie się dołączyło jeszcze trzech to zdajście że po znalezieniu przezemnie tej maki, bo ja się zniemi podzieliłem, no i jakoś żeśmy tak już zostali, popierwsze to ja nie miałem żadnych kłopotów z językiem rosyjskim.

We Władziwostoku, strach, snowu za druty coś byliśmy kilka dni, ja i moich dwóch przyjacieli, dostaliśmy papiery do Pietropawłowska, i zaopatrzenie do Nowo Żybirsk, to suchary i jakieś bardzo smaczne śledzie, takich śledzi nigdzie nie widziałem, były jakby kwadratowe nieduże bardzo tłuste, to się nawet jadło i głowy.

O co za cuda, wsiadamy do pociągu osobowego, cały pociąg sami rozwalnieni do wojska, to żeby coś dostać po stacjach, do kupienia to jest nie możliwe, do wezwskiego nas zulicy wyprzedzą, niema mowy ażeby zdobyć jakieś zaopatrzenie, nawet nie jest łatwo dostać się do kipiłatku, to jest do wody gorącej.

Po naradzie postanowiliśmy we troje żeby się zgubić od tak zwanego szakonu, no i tak żeśmy zrobili.

/.../ fragment nieczytelny

Niepamiętam jak długo jechaliśmy, no ale w końcu dojeżdżamy do Nowo Żybirsk.

Co za cudny widok, Polskiego oficera w munduże, Polska placówka, już Rosjanie nie mieszają się więcej, ja już się usuwam na bok i zaczyna już rozmawiać podchorąży, który oczywiście że się zameldował służbowo.

Zgroza mówią że już do wojska nie potrzeba, ażeby iść do koźchozu to były słowa naszego kapitana, prosze sobie wyobrazić, co za zawud co zostało do myślenia, to nie było do wiary.

Dostać się do pociągu, to bilet musi być podpieczentowany, a nam tu każą iść do koźchozu, tak zdajście żeśmy się kęcili po stacji, jakieś dwa tygodnie, gdzie dawano kartki do stołówki na obiady darmowe, powstają czarny rynek, niektuży kartek nie dostawali.

Żnów po naszej naradzie, mnie wysuwają do przodu, ażebym jakoś wykombinował, ażeby nasze bilety zostały w jakiś sposób to sposób podpieczentowane, bo nasza placówka nie pomoże, to także mi zaszkodziło, w przyszłości na nią służbę wojskową, bo poczujęm okropną pogardę dla naszych oficerów, to mam i dzisiaj, patrze na nich z gury.

Jakoś żeś się dostał do pułkownika H.K.W.D., i zacząłem mu tłumaczyć naszą chęć do wojenki, i że nasza placówka nam odmawia pomocy, on się popatrzył poprosił o nasze bilety, o nasze papiery, wziął pieczątkę i postępowakę, podziękowałem, i za dwa dni już byliśmy na peronie wchodząc do pociągu, w dalszą drogę.

Co co słyszałem że podobno ta placówka potem została spowrotem aresztowana, przez H.K.W.D.

Jakoś żeśmy się w końcu dostali do Pietro Pawłowska, już bez większych kłopotów i ze lżejszą myślą że jakoś się dostaniemy do wojska. Nigdy nam nie przyszło do głowy że wyjedziemy z Rosji, to nie było nawet możliwe do pomyślenia, i napewno że otem nikt sobie nie myśli.

Pietro Fawłowski

Na stacji dostaję adres naszej ambasady, ja znowu się usuwam na bok, niech kto inny rozmawia z naszymi.

Wchodzimy we troje witamy się jak przykazane, nie pamiętam jak tamten pan wyglądał, nawet nie pamiętam temat rozmowy, z poza kocy zawieszonych jako żesłona, wyzła jakaś pani, bo przez lekko odzionietą żesłoną, zauważyliśmy angielską czekolade, i konserwy, nie pamiętam kto c coś poprosił, ale nie dostał, dostaliśmy skierowanie do piekarni chleba, żeby czekać na komisje lekarską kturę może być nie wiadomo kiedy.

To już wiemy że będzie co jeść, bo gdzie jest piekarnia to tam jest i chleb, a gdzie jest chleb, to tam niema już grodu.

Ala dostaliśmy robote, wożenie mąki z magazynów do piekarni o chlebie bardzo jest nawet trudno myśleć, no ale jakoś to się wymyśli, no i się wymyśliło, bo się nauczyło kraść, wtedy gdy już wywożono chleb gorący po przez korytaż, tam była duża para, ten kto go wziął to nie mógł zauważyć, zmiejsze się chleb chcwało.

Dosteliśmy kwatere bardzo niskudną, ale blisko naszej stółki, gdzie mieliśmy się otywić, jedynie jedzenie to gęsta zupa z makaronu, dostaliśmy kartki na chleb i na cukier kturęgo wogule nie było, nie pamiętam w jaki sposób żesmy sprzedali komus jeden czy dwa worki mąki, tak zdaję się żesmy użępowali ookoło paru miesięcy wogule nie interesując się naszą żesasadą.

Pewnego dnia jesteśmy w pracy. Nam każą jutro iść do doktorów, na komisje wojskową, co za uciecha, co za szczęście, tu już nikt nikomu nie dopomoże.

Komisje się składała z trzech lekarzy Rosyjskich, jednego lekarza naszego, badanie powieszchowne, zdrowy było znani na komisję paru żydków i paru Polskich Ukraińców, to im powiedziano że oni wogule nie będą przyjmowani do Polskiego wojska, tylko rdzeni Polscy.

No takie to były historie dostania się do wojska, przed wojną to gdy wieśniaks brali do wojska to tak jakby na śmierć, a tutaj to każdy by szedł na kolansch by nic, a nic nie należał, no tak to się czasę zmieniają.

Gdy teraz to pisze, to sz mi się niechce wieżyć, że tyle człowiek może przejść, tak jak ci że siedzieli w obozach koncentracyjnych, tylko to że oni przeważnie siedzieli w tym serwa miasca, tak to są niesturę dosyć ciekawe żeszy, nigdy nie wysłażer że coś podobnego będe pisał, to co pisze to, tylko moge za wdzięczęd dla mojej bratowej, jakos ona to zemnie wyciąga, niewiem dlaczego, być może że nigdy ją nie widziłem, być może że są dosyć dobrze rozumiemy się listownie, być może wycówem że ją to interesuje, jakby nie było to pukar dwomas palcami, rbcie ciropną masę będzów, no ale co zrobit lepiej napisać z będziami, niz wogule nic no tak czy nie, napewno że tak.

Lugowaja.

23.7/30

Po komisji lekarskiej, skierowanie do żelni, bo bez żelni to niewolno i niewnaszczą do pocigu, no i dalsze pouzał, nie pamiętam ilu nas jechało, i nie pamiętam jak długo, tylko jednolifry dosyć wesoło, i żesmy dosyć dobrze popijali, wudke niętową z niedra, kolceru zielonego.

Dojeżdżając do stacji już widac dokoło namistów, jakby male miasto już wszyscy w mundurach angielskich, zrów komisje lekarska, przechodze bez kłopotu, także i moi znajaci.

Trzydziesiąk zdaję się że do pużku dziesiętego, ciropna masa cywili, dzieci bez doroszych, coś ciropnego, wygląid nie do opisania.

Jedzeniem musimy się dzielić wraz z cywilami, przeważnie zupa, z monej, chorąży stał przy wydawaniu, gdy przychodziły mu znajomi ludzie to chochłą zgarniał z dołu, a zaś dla innych to tylko z gury, gdy ktoś coś powiedział, to mówiono że gdy mu się nie podoba, to może iść do kołchozu, ten to chorąży to musiał być największa świnia jaka tylko istnieje, no ale ludzie muszą być różni.

Po chleb to się chodziło z waga, każda drużyna miała zrobioną wagę na sznurku, chleb się wazyło, żeby komuś nie wypadł czasami większy kawałek chleba.

Co dnia widziano jak tylko noszono chorych do szpitala, a stamtąd to już na cmentarz, najczęściej to umierało na tyfus.

Do wojska wstąpiłem 23-2-1942 wylądowałem w Persji 1/4/1942, tak długo służyłem w Rosji.

Pewnego wieczora kazano nam być przyszykowanym na wyjazd, jak i manewry to ja tylko widziałem, że jedziemy na manewry, po drodze dopiero żeśmy się dowiedzieli, że wyjeżdżamy z Rosji, że jedziemy na środkowy Wschód, nic dziwnego gdyśmy wsiadali do pociągu, to już było dużo zakładanych osob cywilnych, także rodzin, przeważnie oficerów, i starszych podoficerów, dobrych znajomych, oczywiście sporo dzieci.

Gdy to się dowiedziano to zaczęto uciekać, z każdej stacji gdzie pociąg nie stanął, uciekali ci ktuży pozostawili w obozie swoje rodziny, to mi też dało i daje dużo do myślenia, nawet i teraz.

W Krasno Wodzku kazano nam zdawać pieniądze, to będą rewidować i ukogo znajdują to zostanie zatrzymany, tak to zbierano w mojej kompanii, większość z nas nie wiedząc, że w Persji można wymienić czerwienice, ktoś się musiał okropnie wzbogacić, oczywiście że ten kto miał rozum, kto potrafił swoich podwładnych oszukać, i wywieźć worek pieniędzy, takie to rzeczy mi potem szkodziły, gdy to jeszcze pomyśle, to się bzydże takimi to ludmi, no coż zrobić taki to jest już świat, i nato niema rady i nie będzie, głupi gubi, mądry kożyste.

W Persji długo nie byłem, mój oddział pojechał do Palestyny tam nami uzupełniono, pierwszą brygadę Strzelców Karpackich.

W Palestynie to było tak jak by w Polsce, wszędzie można się domóc po Polsku lub po Rosyjsku, jakby nie było to niebyło żadnych kłopotów w komunikacji, tam dopiero czkówek zaczął odzywać.

Po jakimś czasie kazano w książkach wojskowych wyznaczyć miejscowości, kto jest urodzony we wschodniej Polsce, bo Sowiety nadal nam swoje obywatelstwo, a także zabroniono źle rozmawiać o Sowietach.

Palestyna

24/7/80

W Pachlewi nas zakładowano na wozy, kierowcami byli Persowie, droga prowadziła stale pod gure, bardzo powoli, czasami samochodzisił się cofać do tyłu, żeby mógł zawrócić, to wtakich wypadkach, żeśmy wsiadali z wozów, bardzo piękne widoki.

Postoje bywały zawsze przyszykowane, jedzenie łażnia z to różnicą że zamiast gorącej wody, to mieliśmy piękne chłodne prysznice, i woda do picia zowśze była z lodem.

Nie pamiętam jak długo jechaliśmy do jeziora Chałanija, tam staliśmy kilka dni, tam widziałem pierwszy Hamsin, to jest taki wiatr, że piasku nawieje nawet i w usta, tak coś wiać jeden dzień.

Tam czekaliśmy na dalszy transport, ktury jak się okazało, to przybył z Palestyny, autobusy pasażerskie, i wszyscy kierow-

cy żytki, to już niekiedy nasi Żydziowie nawiązali już znajomości, ze sobą.

Po tych to znanomościach niekiedy, już no przyjeżdżcie do Palestyny, zniknęli, czyli zdezertorowali, czego ja im wogóle się nie dziwię, i przyznaje im rację.

Przecież przyjechali do swojego Kraju, no to dlaczego mają ten Kraj znów zostawić, oile większość ich nawiąka, całe życie o Palestynie, przecież nie mogli popuścić takiej okazji.

Czy to można im winać za zło, ja mówię nie nie, czy był by nie postępił tak samo na ich miejscu? Naprawdę że tak, potem im sworii, nie pozwalali, kazali im się uczyć jak naivnej, to znaczy zawodu wojskowego, no oczywiście że oni tak robili, jak im kazano. No mieli rację, bo to nie nauczyli, we wojsku, było im bardzo potrzebne.

No i tak to człowiek się wsiąkał, po świątej ziemi, no ziemi Egiptowskiej, no ziemi Faraonów, kupał się w Bect rzece, to jest w Egipcie, kupał się po kąpieliach parowych, coś podobnego jak kąpiel Agreste w Wilnie.

Nigdy nie pamiętam to co kiedykolwiek żyłałem, nigdy nie pamiętam, gdzie i noco dążyć, dzimną to tego nie mogę sobie wyobrazić, no ale życie jakos to było, być noco tylko, żeby było, nabo to już nie wiem, tylko to wiem że jeszcze jest, i może być jeszcze dosyć długo, oile tak się będę czuł, jak się czuję teraz.

Jakos jest mi tutaj trudno pisać, wiem to co bym chciał, ale niewiem jak, i zdaję się że nie potrafie, tak napisać, jak bym chciał.

Będąc we wojsku, lubiałem troszka porić, bo były popiół dotrze, to nie było stać, trzy szpilki na dzień, to prawie że nie było nic, dotego trza było kupać pastę, papierosy, no i takie tam wszystkie inne rzeczy, czasem się przegadało w kartę, to nawet nie było nic na papierosy.

Co do naszych kobiet, to wogóle nie było mowy na te noco jak był potrzebny strzelec, było przecieź z czego to wybierać, a zwykły strzelec, to przecieź był jak zebrał.

Będąc w Palestynie, nie pamiętam gdzieś ry jechali, jechano nas osiemnastu, samochód spadł z mostu, dotakiej żeki, że w końcu tam niema wody, dziewięciu zabitych, siedmna ciałko rannych, no a dla Julowskiego nic.

Ja stałem na stojąco, a tyku samochodu, samochód był przyniety plandeko, a trzymałem się rękoma z gury, to mnie wyrzucił na bok, udeżyłem rękami o naryp bęgowy, zaś samochód leżał do gury kołami, tylko było szachać krzyk i jęki spod samochodu. Przedeżalem w szpitalu kilka dni na obserwacji, no i to było bo noco wypadku.

Wjgorsze choroby to co przechodziłem, to była malarja, no którą chorowałem coś kilka razy, zdaję się że dwa razy w Palestynie i raz w Iraku, nad żeką tygrysem.

Tam raz powracając z magazynu, zobaczyłem małego lisa, zatrzymaliśmy samochód, i ja go doznałem, zuchając na niego noży, bluzy, ale wkouciu się pokazało, że to nieżył lis, leca szkał, ale ja go już sprzodałem, za funta, no oczywiście że wkouciu ten szkał uciekł, i poszkodowany chciał pieniądze spowrotem, którym nie otrzymał.

Po obozach żołnierze chowali często, jakoby pry, no i takie to stwożenia które się dawały, no a gdy bywała zmiana obozu, to psów tylko można było zabierać oficerom, a zaś reszta to albo strzelano, lub zostawiano w pustyni na pastwę losu, ja nigdy nie nie chowałem.

Pomimo to że zwierzęta przeważnie są lepsi od ludzi.  
To i tak to życie biegnie, jak biegnie i dzisiaj, bez sensu  
bez celu, bez jutra, tylko szarym wczoraj, bo wczoraj nie nigdy  
nie straszcza, i ja nie chce żeby mnie opuściło, no bo co by by-  
ło, abych nie pamiętał wczoraj, co to będzie jutro, to niewiem.

27/7/80

Tyker prawie że po całym środkowym Wschodzie, nic nie widząc,  
nie nie oglądając, nie robiąc żadnych zdjęć, nie kupując żad-  
nym pamiętek, wogule tak jakby nie tam wogule nie było.

Wygódzie można było być, wszystko można było zwiedzić, bo by-  
ły do tego możliwości, możliwości, które ja nie chciałem, wyko-  
zystać, tak to ja je niechciałem wykorzystać, no i teraz to pi-  
sząc, to niewiem dlaczego, nic, a nic, nie nie obchodziło, to co  
sie dzisiaj wokoło mnie:

Były możliwości do kształcenia, mogłem skończyć szkoły, ale  
nie a nic nie nie ciągnę do nauki, coś napewno nie odepchało już  
za siebie, od nauki, już wtedy napewno że dostatek, tak dostatek  
żadne jakieś zniechęcenie, które posiadam nawet i teraz, jakie  
i dlaczego, to ani ja, ani nikt nie posiada odpowiedzi, bo odpo-  
wiedzi nie istnieje.

Idąc z Mosul, dostatek rozwolnienie żołądka, które trwało  
kilka miesięcy, pomimo że leżałem kilka razy w szpitalu, nic  
mi nie doznosilo, nic nie mogli znaleźć, byłem zupełnie zdrowy,  
dobry apetyt, no i stale rozwolnienie, i lekarze nie wiedzieli,  
i ja niewiedziatem.

Idąc w obozie nad żeką Tygryser, któregoś dnia, że sie na-  
pił taniego kwaśnego wina. O dziwo została zupełnie wyle-  
czony, i do czasu obecnego nie posiadam żadnego kłopotu z żo-  
łądkiem, no i tak to że sie wyleczył.

Jakby nie było, to ja dużo na środkowym Wschodzie nie widzia-  
łem, stale mi brakło winiędzy, przeważnie swuj czas spędzałem  
w obozie, no nawet teraz nie jestem zdolny, żeby to określić,  
jak, i w jaki to sposób spędzałem czas, którego przecież musia-  
ło być bardzo dużo.

Od czasu do czasu, jeżdząc na przypustki, to przeważnie że  
zawsze jeździłem sam, żebym mógł powiedzieć, że miałem jakiegoś  
dobrego przyjaciela, we wojsku, to szczerze nie mogę powiedzieć,  
że miałem, zawsze byłem i jestem trudny do towarzystwa, jak i

Idąc w Bejrucie, tam spotkałem Rosjanów, którzy służyli w tak  
zwanej Transjordańskiej Kawalerji, to byli Rosjanie którzy wraz  
z Anglikami, wydostali sie na zachod, po końcu rewolucji.

Rozmawiając z nimi, to oni nam już wtedy, powiedzieli że my  
tak Polste zobaczym, jak oni zobaczyli, Matuszku Rasieju, mnie  
wto niechciało sie wieżyć, tylko nastale to mi utkwilo w pamięci,  
no i tak sie stało, dobrze przewidzieli, musieli dobrze znać  
Anglików.

Co do ich opinj o Anglikach, to gorszej nie mogli mieć, bo  
gorszej niema, Anglików uważali za największych szubrawców na  
świecie, za największych uszkańców, za narud jak najpodlejszy,  
ale także za przebiegłych.

W Palestynie było dobrze dopuki nie przybyli Jankiesi, to by-  
ło znane jeszcze coś kupić ze nasz żołąd Angielski, bo my żęśny  
to samo zostawiali, co zaś do Australijczyków, to oni dostawali  
..... podkują, jeden swój, drugi Angielski, to wtedy jeszcze ja-  
koś to stało, ale jak już pokazali sie Jankiesi, to już koniec,  
nasz żołąd na nic nie wystarczał.

Idąc w Aleksandrię, chciałem wstąpić do cudzoziemskiej legij

ale nie nie przyjęto, z tego powodu, bo Sikorski zawarł urowe z Francją żeby naszych nie przyjmowali, dlaczego chciałem wstać, niewiem, tak jak większość rzeczy że robię, w moim życiu, poco naco i dlaczego, to też niewiem, tylko wiem, że mogłem być zdolnym, żeby siebie pokierować zupełnie inaczej.

Kiedyś znalazł napewno kogoś, kogoś takiego, żebyz faktycznie ja szanował, żebyz jej ufał, to być może że bym był, zupełnie ktoś inny, a że zostałem tym to czemu jestem, no to jestem, co zrobić, jestem takim jakim jestem, tak jak to mi pisze moja żatowa, że mnie lubią takim jakim jestem, a ja ich tak samo, bo człowiekiem nie jest, człowiekiem, gdy nie jest sam sobą.

Tak, żebyz miał kogoś, ile ludzi to mówi, ile ludzi otem ma-ży, tak mieć kogoś, to mieć wszystko, nawet więcej, jak wszystko, bo wszystko, bez kogoś, to jest nic, a ktoś to jest wszystko.

Ilu ludzi to posiada, posiada kogoś, kogoś ktorego można, uważać za kogoś, że dla tego kogoś, jest warto uważać ze siebie, tak ze siebie to wszystko, co jest do wydostanie, że ten ktoś dorozmoże, że ten ktoś jest wart, tego kogoś, tak takich to jest bardzo mało, to są ludzie no zwyczaj szczęśliwi, to są ludzie najbogatsi, to jest bogactwo ze żadne pieniądze nie kupią, bo to są ludzie, że im pieniądze nie są potrzebne, bo ich bogactwa pieniądze nie kupi, ale takich jest mało.

Niewiem, dlaczego jestem takim, jakim jestem, dlaczego jestem między ludmi, i jestem sam, dlaczego jestem sam, i wszystko jest zemną, dlaczego we wojsku, nie nie ciągle, do żadnych awansów, do żadnych zasług, do żadnych chwał, tylko to robiłem, co należało domnie.

No i tak to sie ciągnęz czasy Palestyńskie, czasy dobre, ale to co dobre to także ma swój koniec, także i te czasy, czasy przygotowania, czasy wyszkolenia.

Czasy wyszkolenia, jak zabijać, jak żebyz samemu nie dać sie zabić, tak czasami to trza być jak artysta, jak najleprzy fachowiec jak najleprzy żeniślnik.

Gdy już nas uznano za fachowców, no to musimy zarobić już sami na siebie, musimy coś zwrucić, dla naszych wykładowców, dla naszych nauczycieli, że wkońcu musimy wykazać, że teoria, to jest nietak ważna jak jest ważna praktyka, że to niejest arytmetyka, że to niejest pisownia, tylko ze to jest nauka, nauka w samym sobie, nauka ktura jest nie do nauczenia.

Tak w tej to nauce, niema co do uczenie, jest poczucie obowiązku, zaparcie samego siebie, zwyciężenie swojego strachu, tak jak zając i lis, jak kot i wrubel.

To jest polowanie, człowiek na człowieka, ktury jeden drugiego nigdy nie widział, ktury jeden drugiemu, nic złego nie zrobił.

W każdej religij, głosi nie zbijają, także ksiąpcz każdej religii błogosławią, żeżnięz na polowanie, błogosławią do zabijania, dlaczego, tylko dlatego, że sie boją, tak sie boją, zrobić odwrotnie, robią to, to co niecho, robią, to wco sami nie wiezą, bo gdzieś kilku ludzi, tak kilku ludzi decyduje takie to polowanie.

Dla czego, tylko dla tego, że tak zwani bohaterowie, są niczem więcej, jak tylko tchużami, tchużami sami siebie, tchużami swojego uczucia, tchużami swojej myśli, znova takich moim zdaniem, jest stano:czo za duzo.

Czy kiedyś tak myślałem, to niewiem, napewno że nie, bo tak to myśleć, a więcej powiedzieć, to faktycznie trza mieć odwagę.

o coś takich odważnych to być może, i zażęło ich nigdy nie będzie, to co jest największą szkodą, była jest i będzie, ale stale tych oważnych co nie coś przybywa.

No i tak to życie biegnie, raz do tyłu, raz do przodu, jeden byje, a drugim bez rozvodu, az w końcu przyszedł czas, czas na rozstanie, ziemi Świętej, ziemi Fersonów, ziemi Persów, piaski pustynne, Palestyńskie padesy, winiarnie, skłodzie daktyle, nadszedł czas żeby zapłacić za swoje utrzymanie.

Czesi byli najmądrzejsi, bo powiedzieli Anglikom, że oni za gorzką Angielską marmolade wojować nie będą, a i nie wojowali, tak patrząc nato spowrotem, to przyznaje im racje.

Myśmy chowali swoich ludzi do grobów, a zaś Czesi swoje zarobki do banków, kto lepiej wyszedł, to jest dużo do dyskusji, to może być dyskusja bez końca, tu przytocze przysłowie, /rabi panu miernie, a pan tobie piernie/, tak to sie stało z nami.

Zażujemy sie na statki w Port Said, wiery gdzie jedziemy, no i każdy z nas już zszczyła planować, kiedy i jak powruci do domu, czy wyjdzie z wojny caży, co będzie gdy powruci, czy ktoś tam pozostą, czy nikt, czy chłupa jeszcze stoj, takie to były rozmowy.

No coż miżem ja myśleć, tylko jedno niema gdzie, niema do kogo, niema poco, co robić, jak ta człowiek będzie żył, gdzie by nie żył, to w Czarnobylu niema miejsca, i tak to myśli człowieka dręczyły.

No bo gdzie jechać, gdzie powracać, poco do kogo, tylko jedna myśl pozostęła, to myśl o osadnikach, o tych ktuzy dostali ziemie.

Ja myśl zaczęła wernie już kiełkować, jeszcze będąc w Palestynie doczyć często nat tym to myślałem, że mam jedno tylko wyjście, zarobić sobie we wojsku, lub wogule nie powrucic, o tak nad tam bardzo dużo myślałem, zarobić albo łeb gdzieś zostawić, tylko żeby nie dostać sie do niewoli, lepiej niechaj już zabiją.

No ale stało sie zupełnie inaczej, nie zabili, do niewoli nie wzięli, na ziemie zarobiłem, no i ziemi nie dostałem, tak sie bałem że powruce, no i nie powrucilem, no i jak to teraz mam zrozumieć?????????

Mie wamiptem jak długo żeśmy płyneli do Włoch, czasami to nie wolno było nawet rozmawiać głośno, bo sie obawiano o podwodne łodzie dojechałiszy bez żadnego wypadku.

Myśli biegaly, co będzie po wojnie, gdzie i jak to człowiek będzie żył, czy nie wyjdzie jakimś tam inwalidą, to co największe bał sie bać, żeby zostać zabitym, to myślałem że to byłoby, jedno z najlepszych wyjść, no ale i to sie nie steło.

Dość zawsze myślałem, żeby gdzieś dostać taki kawałek ziemi, jakibyż w Skorbucianach, nawet teraz gdy już jestem na emeryturze, to także myśle, jak to byłoby ładnie, jak sie mówi, że mażęnia to jest głupiego rozum, ale kto to bez mażeń nie żyje, napewno ze nikt.

Co byłoby ze świata, bez mażeń, co byłoby ze życia, bez mażeń, co życie nie byłoby ciekawe, życie byłoby bez sensu, jestem ciekaw, czy moje życie miało jakiś tam sens, z zasady, czy wogule życie posiada, jakikolwiek sens, no bo poco jest, nato napewno że nikt nie posiada odpowiedzi.

No i jakos te wszystkie moje zmartwienia, nie były potrzebne, bo żyje sobie bez żadnego zmartwienia, bez żadnych kłopotów, poprostu można powiedzieć, że życie jakby wymażone, życie jakby w niebie.

Co brakuje, coś nie tak jak miałoby być, coś co nigdy nie będzie

dzie pasowało, jest wszystko, wszystko to co jest niezbędne, do życia codziennego, narzekać nie można.

Tak, to co człowiek teraz posiada, to co kiedyś chciał, posiadać, to co kiedyś chciał mieć, to teraz że to ma, to jest nic, tak to jest nic nie warte, bo to są rzeczy materialne, te rzeczy że tam pozostały, to są rzeczy ważne, ale wolność jest ważniejsza ponad wszystko, to co tylko tu człowiek posiada, to co tutaj jest czasami aż za dużo, co za dużo często szkodzi.

Tak za dużo wolności, także może być troszke szkodliwe, ale tylko troszke, lepiej niechaj troszke szkodzi, jakby miała jej nam zabraknąć, chociaż ci ktuży nadużywają, naszą wolność, są tak samo nam tu potrzebni, choć oni tą wolność nadużywają, pomimo tego to także, zawsze coś dobrego może wyjść, z ich nadużycia.

Tam gdzie jest wolność, tam jest wszystko potrzebne, bo wolności nigdy nie może być za dużo, poto przecież żyjemy, ażeby być wolni.

Zamienik bym wszystko na kawałek ziemi, ale wolności, to już nie, bo ziemia bez wolności, to nie jest ziemia, to są kajdany, to jest katoga, tylko jes. szkoda, że tutaj dużo ludzi tego nie rozumie, są niezdolni, do tego rozumienia, także są, ktuży niechcą, tego to zrozumieć, i takich to jest dużo.

-----  
x Tytuł przedstawionego fragmentu pochodzi od Redakcji

## E r r a t a, czyli b ł ą d j a k o o b r o n a

Tkwące w mowie siły przymusu są być może słabsze niż to się nam czasem wydaje. Język bywa bezbronny. Wystarczy odciąć go od zewnątrz lub - jak Tadeusz Żukowski - opuścić wspólnotę językową. Ale można jeszcze prościej, nie płacąc żadnej ceny. Maszynistka, która przepisywała większą część artykułów, nie ugięła się pod naciskiem norm języka polskiego określających zasady dzielenia wyrazów na części. Maszynistka jest osobą młoda. Nie zna jeszcze /?/ w pełni autorytetu ortografii. Przepraszamy. Z powodów praktycznych musieliśmy pozostawić liczne ślady praktykowanej przez nią wolności w pisaniu - wolności pocuniętej aż do anarchii. Gdzie tu władza? Gdzie tu siła języka, skoro słowa można rozrywać w każdym miejscu? Choćby i tak: rozma-itych, ga-nysterski, sy-mbol, Ba-rthes, ko-ńcu, te-ktu, ko-nsumpcyjnego, wic-rsza, wye-ksplikować, nędz-wyczej, obja-ktami, bezzę-bnyimi itd. itd.



